

Bohaterka pustyni

Donya Al-Nahi

Książkę tę dedykuję wszystkim dzieciom, które wciąż przebywają z dala od swoich matek i bardzo pragną do nich wrócić.

Wstęp

Niektórzy uważają mnie za współczesną świętą, myślę jednak, że po przeczytaniu tej książki przekonają się, że do świętości mi daleko. Nie jestem dumna ze wszystkich swoich dokonań, popełniałam błędy i chętnie się do nich przyznaję, zresztą każdy czasem błądzi, szczególnie w młodości. Przychodzi jednak taki moment w życiu, kiedy trzeba wydorosnąć - gdy sami zostajemy rodzicami, wtedy to właśnie dzieci stają się najważniejsze. Zbyt często jednak o tym zapominamy - zachowujemy się samolubnie i bezmyślnie, a one ponoszą tego konsekwencje.

Spółeczeństwo, w którym żyję, jest bardzo zróżnicowane kulturowo, dlatego dzieci wystawione są tu na wiele niebezpieczeństw. Członkowie takiego społeczeństwa powinni szczególnie chronić swoje dzieci przed problemami związanymi ze zderzaniem się różnych kultur.

Jestem przekonana, że dla małych dzieci najważniejsza jest możliwość przebywania ze swoją matką. Książka ta opowiada historie maluchów, które często w bardzo brutalny sposób odebrano matkom. Ich życie wywrócono do góry nogami właśnie wtedy, gdy powinny żyć w poczuciu bezpieczeństwa i stabilności. Zachwiano ich wiarę w rodziców, gdy stały się kartami przetargowymi w walce między dorosłymi. Możliwość pomagania kobietom w odzyskaniu

7

uprowadzonych dzieci uważam za największy zaszczyt, jaki mnie kiedykolwiek spotkał. Przedsięwzięcie to okazało się ryzykowne - często zmuszona byłam łamać prawo międzynarodowe oraz stawać do konfrontacji z ojcami, skłonnyimi walczyć do upadłego, by zatrzymać przy sobie dzieci.

Mam nadzieję, że po przeczytaniu niniejszej książki, podobnie jak ja, uwierzysz, że każdy z nas może przyczynić się do tego, by czyjeś dzieciństwo stało się szczęśliwe i bezpieczne.

Donya Al-Nahi

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

### Matczyna prośba

Moje przygody rozpoczęły się pewnego ciepłego, parnego dnia w 1998 roku, na przystanku autobusowym w Queensway Nawiązałam wtedy rozmowę z przypadkowo poznaną kobietą. Przystanek ten znajduje się zaraz przy wejściu do centrum handlowego Whitley's. W tym właśnie miejscu w ciągu kilku następnych lat miałam spędzić wiele godzin, wysłuchując szokujących i rozdzierających serce historii.

Queensway jest jednym z tych miejsc w Londynie, które można nazwać tygłem różnych narodowości. Jest to długa ulica ciągnąca się od północnej granicy Hyde Parku, niedaleko Kensington Palace oraz największych i najdroższych domów w Londynie, aż do Westbourne Grove, zamieszkiwanego przez przedstawicieli wszystkich narodów, jakie kiedykolwiek pojawiły się w Londynie. Queensway sięga także do zdominowanej przez imigrantów hinduskiej okolicy Landbroke Grove oraz do Maida Vale i Kilburn. Dziesiątki tysięcy rodzin o bardzo zróżnicowanej sytuacji ekonomicznej i odmiennych sposobach życia zamieszkują labirynty apartamentów i domów - niektórych przestronnych, innych ciasnych i podzielonych na mniejsze, tańsze lokale, które mieszczą o wiele więcej osób niż pierwotnie planowali architekci.

9

Po jednej stronie tego sektora znajduje się West End ze wszystkimi swoimi turystycznymi i rozrywkowymi atrakcjami, po drugiej - Notting Hill, które szybko zmienia swój artystyczno-etniczny charakter i przekształca się w modną dzielnicę ludzi zamożnych, podobną do West Endu. Od południowej strony Queensway sąsiaduje z Hyde Parkiem, a na północ ciągną się w nieskończoność anonimowe przedmieścia.

Samo Queensway sprawia wrażenie uroczo niechlujnej dzielnicy - dominują tu arabskie sklepy i restauracje. Sklepikarze wystawiają na ulicach swoje stragany z owocami i warzywami ułożonymi w wysokie stosy, a sklepy wypełnione są egzotycznymi towarami. Często całe rodziny obsługują klientów, a gdy nie ma kupujących, żywo dyskutują między sobą. Wydaje się, że wszystko tutaj ma charakter przejściowy, jakby mieszkańcy znajdowali się tu tylko chwilowo, planując powrót w rodzinne strony lub przejście do czegoś lepszego. Prawdopodobnie mieszkańcy tej dzielnicy wywodzą się z różnych kręgów kulturowych, ale ogólnie rzecz biorąc panuje tu klimat Środkowego Wschodu - słyhać to w mowie, czuć w zapachu gotowanych potraw, sklepy mają arabskie szyldy, kobiety noszą nakrycia głowy, a w ciepłe dni na ulicach słyhać arabską muzykę. Dobrze znam tę okolicę i świetnie się tu czuję - stała się moim domem.

Whitley's był kiedyś jednym z najbardziej eleganckich domów towarowych w Londynie, ale obecnie jest tylko jednym z tysięcy anonimowych centrów handlowych, pełnym tych samych produktów, podłóg pokrytych chodnikami, ruchomych schodów, palm, fontann i planów pięter dla zagubionych klientów. Teraz

jest to miejsce odwiedzane głównie przez okolicznych mieszkańców - nie przyciąga już klientów z bardziej eleganckich dzielnic Londynu.

10

Tego dnia miałam ze sobą czwórkę moich dzieci, wśród nich był także nowo narodzony synek Ma. Amira i Khalid byli mali, a znacznie starszy Marlon miał zaledwie siedem lat. Każda kobieta, która kiedykolwiek była na zakupach z czwórką małych dzieci, wie, jak bardzo są one absorbujące. Wciąż trzeba uważać, by nie zgubić żadnego dziecka, zaspokajać wszystkie ich potrzeby, zanim zaczną się awanturować, odpowiadać na pytania i łagodzić sprzeczki. Tym razem jednak na przystanku było bardzo spokojnie. Dzieci zachowywały się wręcz wzorowo, a ja zyskałam kilka minut, by się rozejrzeć. Zwróciłam uwagę na czekającą na autobus kobietę, która ze smutkiem na twarzy, tęsknym wzrokiem patrzyła na moje dzieci. Poczulałam matczyną dumę, uśmiechnęłam się do niej i powiedziałam „Dzień dobry”. W odpowiedzi nieśmiało się uśmiechnęła i rozpoczęłyśmy rozmowę.

Okazało się, że podobnie jak ja i wiele innych Brytyjek mieszkających w tej okolicy jest muzułmanką. Wyglądała na styranizowaną, ale nie zdziwiło mnie to. Ubrana była dość niechlujnie, nie miała też makijażu. Chyba nie obchodziło ją, jak wygląda. Sprawiała wrażenie znacznie starszej niż była w rzeczywistości, co zapewne spowodowane było jakimiś przytłaczającymi problemami - żyła, bo nie miała innego wyjścia. Pochwaliła moje dzieci za ich wygląd i dobre zachowanie.

- Dziękuję - odparłam. - A pani ma dzieci?

- Tak - odpowiedziała, wbijając wzrok w ziemię i wpatrując się w grunt pod nogami tak uważnie, jakby próbowała znaleźć zamaskowaną minę. - Mam córeczkę.

π - Ile ma lat? - zapytałam.

- Wkrótce skończy sześć.

- A gdzie jest teraz? - spytałam. Nie wyglądała na kobietę, którą byłoby stać na opiekunkę do dziecka, więc

//

wydało mi się dziwne, że podczas wakacji wyszła z domu sama.

- W Libii - wymamrotała tak cicho, że przez chwilę za-stanawiałam się, co powiedziała.

- Wyjechała na wakacje? - zapytałam niewinnie, nie zwracając uwagi na sposób jej zachowania, ponieważ skupiona byłam głównie na pilnowaniu, by dzieci się nie oddaliły.

- Nie - odpowiedziała i wtedy z przerażeniem zauważyłam, że w oczach ma łzy. - Jej ojciec zabrał mi ją sześć miesięcy temu.

- To okropne! - byłam zszokowana, choć już wcześniej słyszałam o takich przypadkach. - Ma pani z nią jakiś kontakt?

- Przez cały ten czas zadzwoniła tylko raz.

Bardzo jej współczułam, widać było, że ogromnie cierpi. Wkrótce jednak nadjechał mój autobus i musiałam zająć się dziećmi, kupowaniem biletów, wchodzeniem do autobusu z wózkiem i znalezieniem dla nas miejsc. Podczas moich wysiłków inni pasażerowie stojący w kolejce zaczęli się przepychać, a zirytowany kierowca popędzał wszystkich, chcąc wreszcie odjechać.

Wieczorem tego dnia w domu w Maida Vale, szykując się do snu, zajrzałam do

pokoju dzieci i przyglądałam się mojej śpiącej córeczce Amirze. Wyglądała niewinnie i anielsko - jej loki rozsypały się na poduszce, oddychała tak cichutko, że ledwo ją słyszałam. Czułam fizyczny ból, myśląc jak bardzo ją kocham.

Wzdrygnęłam się na wspomnienie kobiety spotkanej na przystanku i dotarło do mnie, jak okropnie czułabym się, gdyby zabrano mi jedno z dzieci. Nie zniósłabym widoku pustego łóżeczka w nocy i poranków bez tego zamieszania i szczebiotów.

Spędzałam niekończące

/2

się dni w samotności, bez celu, pozostając przy życiu tylko dzięki nadziei, że kiedyś jeszcze je zobaczę. Uklękałam przy łóżeczku Amiry i w świetle księżycy przez chwilę bawiłam się jej włosami, prostując loki. Potem pocałowałam delikatnie główkę, uważając, by nie obudzić córeczki, sprawdziłam, co u innych dzieci, i wycofałam się na palcach.

Przygotowując się do snu, nie mogłam przestać myśleć o jednym - nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak matka, którą w tak brutalny sposób pozbawiono kontaktu z dzieckiem, mogła pozostać w domu, zamiast rozpocząć poszukiwania. Gdyby mnie przydarzyło się coś takiego, z pewnością znalazłabym się na pokładzie pierwszego samolotu, lecącego do kraju, do którego wywieziono moje dziecko. Nalegałabym na możliwość spotkania się z nim, robiąc wokół tyle szumu, że nikt nie zdołałby mnie powstrzymać. Mogłabym też odpowiedzieć tym samym, to znaczy wykraść dziecko w taki sam sposób, jak jego ojciec zabrał je mnie, sprowadzić z powrotem do Wielkiej Brytanii i ukrywać się tak długo, jak byłoby to konieczne. Po prostu nie mogłabym bezradnie czekać w domu, codziennie zastanawiając się, jak zmienia się moje dziecko, czego się nauczyło, co myśli, czego się obawia. Jak mogłabym wytrzymać, nie wiedząc podstawowych rzeczy: co jadło na śniadanie, jaką przytulankę zabrało do łóżeczka albo kim są jego szkolni koledzy? Jakże nieznośne byłyby jego urodziny czy inne uroczystości! W tym czasie siedziałabym sama, oglądając stare fotografie i zastanawiając się, co robi moje małeństwo, oddalone kilka tysięcy mil ode mnie.

Odkąd zostałam muzułmanką i zamieszkałam wśród wyznawców islamu, poznałam kobiety podobne do tej z przystanku. Wiele z nich nie wiedziałyby, jak zachować się w takiej sytuacji. Jeśli nawet wychodząc za mąż, nie

13

były ciche i uległe, ich mężom udało się sprawić, że stawały się takimi niedługo po ślubie. Swego czasu kilku mężczyzn starało się zrobić podobnie ze mną i nie udało im się to, ale wiem, że jestem wyjątkiem w świecie mu-żulmanek wywodzących się z innych kultur. Bardzo współczułam tej kobiecie i długo nie mogłam zasnąć.

Zastanawiałam się, czy mój mąż, Mahmud, byłby zdolny do wykradzenia mi dzieci oraz nad tym, jakie środki przedsięwziąć, by nigdy nie mógł tego zrobić. Spał spokojnie obok mnie, nieświadomy powstających w mojej głowie skomplikowanych scenariuszy, w których odgrywał główną rolę. Był dobrym człowiekiem i wiedziałam, że mogę mu ufać, ale z drugiej strony, czyż nie tak właśnie myślały wszystkie te kobiety tuż przed tym, gdy okazało się, że ich mężowie wcale nie zasługują na zaufanie? Tego rodzaju rozterki w środku nocy nie sprzyjają dobremu odpoczynkowi.

W ciągu kilku następnych tygodni przyłapywałam się na rozmyślaniu o tamtej kobiecie. Zdarzało mi się to w najdziwniejszych momentach: podczas ścielenia łóżeczek dzieci, sprzątanania po nich lub podczas obserwowania, jak siedzą przed telewizorem czy przy stole - wtedy bez reszty ogarniała mnie fala miłości do nich. Tamto spotkanie uzmysłowiło mi, jakie to szczęście mieć przy sobie dzieci, ale także to, jak ostrożna muszę być, żeby ich nie stracić. Nie miałam żadnych powodów, by przypuszczać, że Mahmud planuje je porwać. Zrobiłam jednak wszystko, by mu uświadomić, że jeśli kiedykolwiek spróbuje to zrobić, będę go ścigać niczym anioł zemsty. Mimo wszystko, myśli o tym wciąż mnie dręczyły. Kiedy do niego mówiłam, słuchał mnie w milczeniu, a jego ciemne oczy były poważne. Kiedy kończyłam, wzruszał ramionami i uśmiechał się ła-

\4

godnie po swojemu, żeby mi dać do zrozumienia, iż gadam bzdury i sama powinnam wiedzieć, że nic takiego się nie zdarzy. W ten sposób po raz kolejny mnie uspokajał. Po pięciu miesiącach od spotkania na przystanku ponownie natknęłam się na tę kobietę, tym razem w Hyde Parku. Był piękny dzień, a ja szłam z dziećmi przez ogrody Kensington, ciesząc się słońcem i ich towarzystwem. Od razu ją rozpoznałam, choć ubrana była podobnie jak inne muzułmanki: w długą, bezkształtną, brązową suknię, płaskie buty, a włosy ukryte miała pod białą chustą, twarz bez makijażu. Wciąż sprawiała wrażenie osoby, która nie przejmuje się swoim wyglądem, jakby życie tak jej dopiekło, że całkowicie się poddała. Starła się nie rzucać w oczy, idąc samotnie wśród szczęśliwych rodzin, myślami błądząc setki mil stąd.

- Dzień dobry - zawołałam, gdy przechodziła obok. - Pamięta nas pani?

Podskoczyła, jakby przebudziła się ze snu, po czym, rozpoznawszy nas, uśmiechnęła się nieśmiało.

- Miała pani jakieś wieści od córeczki? - zapytałam, zgadując po jej minie, że od naszego poprzedniego spotkania nic się nie zmieniło.

- Nie - pokręciła przecząco głową, a jej oczy napełniły się łzami. - Nic o niej nie wiem. Kiedy dzwonię, odkładają słuchawkę.

- To okropne - powiedziałam, kątem oka widząc, jak moje dzieci rozbiegają się, każde w inną stronę. - Nie powinna pani pozwolić, żeby im to uszło na sucho.

Dziecko powinno mieć matkę. Naprawdę tak uważam - powinna pani jechać do Libii i odzyskać córeczkę.

Jej beznadziejne spojrzenie zdradzało, że nie miała pojęcia, o czym ja mówię.

/5

- Proszę posłuchać - powiedziałam, łapiąc za kołnierz Khalida, który szedł wprost pod koła rowerzysty - ciężko jest rozmawiać, gdy muszę pilnować dzieci. Może spotkałybyśmy się jutro na kawie?

- Dobrze-odparła-bardzo chętnie!

- Wtedy będziemy mogły spokojnie o wszystkim porozmawiać.

Po tym jak entuzjastycznie przyjęła moją propozycję, wywnioskowałam, że nie ma nikogo, komu mogłaby opowiedzieć o swojej tragedii, jakże trudno musi być samotnie i w milczeniu znosić rozłąkę z dzieckiem. Zastanowiłam się ile - w ciągu tych kilku miesięcy, odkąd spotkałam ją po raz pierwszy - wspaniałych chwil

przeżyłam razem z dziećmi. Chodziliśmy do znajomych, do rodziny, do lekarza, do dentysty, na przyjęcia dla dzieci, na szkolne przedstawienia. Pomyślałam też o wszystkich śmiesznych powiedzonkach oraz o ich dokonaniach - świętowaliśmy za każdym razem, kiedy nauczyły się czegoś nowego. Przez cały ten czas ona była zawieszona w samotności, wpatrywała się w zdjęcia swojej córeczki, patrzyła na dzieci w parku, próbując sobie wyobrazić, co robi w tym momencie jej własne dziecko.

- Spotkajmy się w Cafe Rouge w domu handlowym Whitley's jutro o jedenastej - powiedziałam, a ona przyjęła propozycję.

Następnego ranka zostawiłam dzieci pod opieką Mah-muda, który szedł do pracy dopiero po południu i pojechałam autobusem na spotkanie. Kiedy dotarłam na miejsce, już na mnie czekała. Jak się potem okazało, było to pierwsze z wielu takich spotkań, które odbyłyśmy w ciągu następnych tygodni.

Usiadłyśmy pośród innych klientów i popijałyśmy kawę. Powiedziała, że ma na imię Mary, a jej córka - Leila. Opo-

/6

wiała o wszystkim, co się wydarzyło od czasu, gdy po raz ostatni widziała córkę, zupełnie jakby to działo się wczoraj. Każde słowo zdawało się sprawiać jej ból i co jakiś czas musiała przerywać, by nabrać sił.

- Tego dnia odprowadziłam Leilę rano do szkoły. Ten dzień był jak każdy inny.

Wróciłam do domu, by posprzątać i przygotować lunch. Po drodze chyba zrobiłam małe zakupy. Leila miała zajęcia tylko rano, więc w porze lunchu, jak zawsze, poszłam odebrać ją ze szkoły, miałyśmy spędzić razem popołudnie. Kiedy była ładna pogoda, chodziliśmy do parku. Lubiła patrzeć, jak ludzie puszczają łódki na wodę. Gdy padał deszcz, zostawałyśmy w domu i oglądałyśmy razem jej ulubione programy w telewizji lub bawiłyśmy się. Mój mąż zawsze po południu wychodził z przyjaciółmi, więc zostawałyśmy same.

Mary przerwała i sięgnęła po kawę, żeby się nieco uspokoić. Wzięłam ją za rękę i, nic nie mówiąc, czekałam, aż będzie mogła znów mówić. Otarła łzy, wyczyściła nos i kontynuowała swoją opowieść.

- Dotarłam pod szkołę i tak jak zawsze czekałam na nią z innymi matkami. Dzieci wyprzedziły nauczycieli i podbiegły, każde do swojej mamy. Wiesz, jak się zachowują, gdy są podniecone i chcą opowiedzieć wszystko, co robiły w ciągu dnia spędzonego w szkole. Leila zwykle wychodziła jako jedna z pierwszych. W pierwszej chwili nie zaniepokoiłam się, bo pomyślałam, że pewnie poszła do toalety, rozmawia z nauczycielem albo zgubiła coś i teraz tego szuka. Jednak w pewnej chwili zostałam sama. Widziałam, że nauczycielka dziwnie mi się przygląda, aż w końcu do mnie podeszła.

- Gdzie ieşİ,eİİa? - zapytałam ją.

- Odeh^^ pattJ^eż - odpowiedziała.

Iю ^ 1

I 0> A •' N i

Nie rozumiałam, co mówi. Mój mąż nigdy wcześniej tego nie robił. Uważał, że takie obowiązki należą do kobiety. Nigdy nie zwracał zbytniej uwagi na córkę.

- Mój mąż? - upewniłam się i chyba głupio to zabrzmiało.

- Tak - potwierdziła - przyszedł zaraz po rozpoczęciu lekcji i zabrał Leilę do dentysty. Zapomniała pani o tym?

Udałam, że rzeczywiście zapomniałam. Przez chwilę nawet uwierzyłam, że tak było. Jednak Leila nie miała tego dnia wizyty u dentysty, a jeśli nawet, to ja bym ją odebrała ze szkoły, a nie mój mąż. On przecież nawet nie miał pojęcia, do którego lekarza chodzi. Wybiegłam ze szkoły tak szybko, jak tylko mogłam. Czułam się głupio i nie chciałam, żeby nauczycielka zadawała mi kolejne pytania. Próbowałam znaleźć jakieś wytłumaczenie. Może mój mąż chciał zrobić córce przyjemność i nie przyznał się do tego nauczycielce. Wymyślałam mnóstwo powodów i próbowałam zachować spokój.

Poszłam do domu, przygotowałam dla niej lunch i czekałam. Wmawiałam sobie, że po powrocie Leila będzie głodna. Każda minuta dłużyła się w nieskończoność, ale ona nigdy już nie wróciła. Zrobiło się ciemno, a ja wciąż siedziałam i czekałam. Nie wiedziałam, że w czasie, kiedy stałam pod szkołą, oni byli już na pokładzie samolotu lecącego do Libii. Tymczasem bałam się, że może mieli wypadek. Zaczęłam wydzwaniać do kolegów męża. Musiałam chyba wpaść w histerię, aż jeden z nich powiedział mi, żebym się nie martwiła, ponieważ mój mąż pojechał z córką do Libii, by odwiedzić rodzinę.

Zadzwoiłam do rodziny męża i błagałam, żeby pozwolili mi porozmawiać z córką, ale się nie zgodzili. Powie-

/8

dzieli, że jest zmęczona podróżą i już śpi. Próbowałam się z nią skontaktować następnego dnia. Wtedy powiedzieli, że wyszła z ojcem. Dzwoniłam bez przerwy i w końcu oznajmili, że od tej pory to oni będą opiekować się Leilą i powinnam o niej zapomnieć. Potem już nawet ze mną nie rozmawiali i za każdym razem, gdy dzwoniłam, odkładali słuchawkę. To było prawie rok temu, przez cały ten czas nie miałam z nią kontaktu. Ciągle próbowałam z nadzieją, że może to ona odbierze telefon i porozmawiamy chwilę, zanim nas przyłapią. Chciałam tylko usłyszeć jej głos i powiedzieć, że o niej nie zapomniałam. Potem przenieśli się do innego domu, a ja nie znałam nowego numeru telefonu. Wtedy już straciłam nadzieję, że uda mi się z nią skontaktować, chyba że sama do mnie zadzwoni.

Rozplakała się. Objęłam jej drżące ramiona i mocno przytuliłam, zastanawiając się, co powiedzieć, aby ją pocieszyć i dodać nieco otuchy. Nic nie mogłam wymyślić. Jej opowieść była podobna do innych, które później usłyszałam. Zawsze były jakieś wcześniejsze sygnały, na które kobieta powinna zwrócić uwagę, gdyby tylko wiedziała, co mogą oznaczać. Dzieci prawie zawsze porywano ze szkoły pod pretekstem wizyty u lekarza albo dentysty, prawie zawsze obecny był przy tym inny mężczyzna - brat, kuzyn lub przyjaciel. Poza tym, jakiś czas przed porwaniem ojcowie, których zazwyczaj mało obchodziły sprawy dziecka, zaczęli naraz wykazywać niezwykle dla nich zainteresowanie potomkiem; zadawali wiele pytań, na przykład chcieli wiedzieć, gdzie jest jego paszport.

Na ogół mężczyźni ci nie mogli ułożyć sobie życia w Wielkiej Brytanii, byli bezrobotni, tęsknili za rodzinnym domem. Cierpieli na depresję lub krytykowali Wielką Brytanię i Brytyjczyków, z nostalgią mówili o swoim ojczystym

'9

kraju i wartościach rodzinnych. Zaczynali marzyć o zabraniu tam swoich dzieci. Wierzyli, że w ten sposób ochronią je przed pokusami, które oferuje Zachód i zapewnią życie w prostej i czystej moralnie kulturze.

Bywało, że podczas planowania takiej wyprawy, stawali się niezwykle troskliwi i mili dla swoich żon, na przykład robili im herbatę, podczas gdy wcześniej nie mieli w zwyczaju nawet ruszyć palcem, by w czymkolwiek pomóc. Zrozumiałam, że są to sygnały alarmujące. Jednak łatwiej takie rzeczy dostrzec patrząc z boku, a dużo trudniej zorientować się w sytuacji, przebywając z daną osobą na co dzień.

W innych przypadkach, mężczyźni, którzy zaczęli rozmyślać nad powrotem do ojczyzny, krytykowali wszystko, co robiły ich żony i sposób, w jaki wychowywały dzieci. „Czemu nosisz taką krótką spódnicę? Czemu malujesz tak mocno usta?”.

Wszystko, co na początku im się podobało, teraz stawało się przedmiotem krytyki. Kobiety były porównywane, oczywiście na niekorzyść, do mieszkających w rodzinnym kraju matek i sióstr.

Zazwyczaj małe dziecko podczas podróży musi mieć ze sobą sporo rzeczy. Na ogół matki wcześniej zauważały, że różne drobiazgi znikają z domu, ale mimo wszystko niczego nie podejrzewały. Chcę opowiedzieć te historie między innymi po to, by w ten sposób zwrócić uwagę na sygnały alarmowe kobiet znajdujących się w podobnej sytuacji. Być może uda im się dzięki temu zapobiec tragedii.

Za każdym razem, gdy spotykałam się z Mary, mówiła wciąż o swojej córce i widziałam, że ma złamane serce. Była dobrą żoną, robiła wszystko, czego od niej wymagano i niczym nie zasłużyła na utratę jedyne dziecko. Czasami Brytyjki, które wyszły za mąż za muzułmanów, wracały do swoich dawnych zwyczajów - niekiedy nadużywały alkoholo-

20

lu lub nawet zażywały narkotyki; nosiły ubrania, które ich mężowie uważali za nieprzyzwoite, umawiały się z innymi mężczyznami. Mary starała się być dobrą muzułmańską żoną, a jednak została ukarana w najokrutniejszy sposób.

Opowiedziała mi o różnych osobach i instytucjach, do których zwracała się o pomoc, ale nikt nie poświęcił jej większej uwagi, ani nie zaproponował pomocy. Uważałam, że to absolutnie nie w porządku i ze wściekłości wszystko się we mnie gotowało.

Dlaczego odzyskanie dziecka miałoby być takie trudne? Ojciec Leili przecież porwał ją bez żadnego problemu, czemu więc Mary nie miałaby zrobić tego samego w Libii? Wiedziałam jednak, że sama nigdy się na to nie zdobędzie.

- Pojadę tam i odzyskam ją dla ciebie - słowa wydobywające się z mojego własnego gardła dotarły do mnie w tym samym momencie co do Mary. Wcale się nad tym nie zastanowiłam, po prostu wydawało mi się, że w tych okolicznościach tak właśnie powinnam postąpić. Gdyby ktoś zabrał jedno z moich dzieci, na pewno nie siedziałabym beczynnym, czekając, aż władze podejmą jakieś działania. Już następnego dnia byłabym w samolocie. Wiedziałam, że Mary nie jest w stanie działać samodzielnie. Przerazała ją już sama myśl o tym, co musiałaby zrobić po ewentualnym dotarciu do Libii. To jedno zdanie zmieniło całe moje życie.

Wypowiedziawszy te słowa złożyłam obietnicę, której nie mogłam złamać. Nie wolno mi było zawieść tej biednej kobiety, tak jak czynili to inni do tej pory. Bez względu na rezultat musiałam zrobić wszystko, co w mojej mocy, by spróbować



sprowadzić Leilę z powrotem do Wielkiej Brytanii. Poczułam podniecenie, zupełnie jak w czasach młodości, gdy przeżywałam wiele przygód, Przez kilka ostatnich lat w pełnym wymiarze godzin pełniłam rolę matki, a teraz

2/

znów zaczynało mnie gdzieś gonić. To była szansa na przeżycie przygody; wiedziałam, że Mahmud potrafiłby zająć się dziećmi, gdybym wyjechała na kilka dni. Wręcz nie mogłam się doczekać podróży.

Cała akcja musiała być dobrze zorganizowana. Choć niecierpliwie wyczekiwałam wyjazdu, musiałam wszystko starannie przemyśleć, nie mogłam ryzykować niepowodzenia. Najprawdopodobniej miałyśmy tylko jedną szansę. Gdyby ojciec Leili i jego rodzina zwietrzyli niebezpieczeństwo, natychmiast przenieśliby dziewczynkę w jakieś nieznane nam miejsce lub pilnowali tak czujnie, że już nigdy nie miałybyśmy szansy wykradzenia jej. Zawsze znajdują się kuzyni mieszkający w odległych wioskach lub samotnie stojących posesjach, którzy chętnie zaopiekują się dzieckiem tak długo, jak jest to konieczne. Ewentualnie mogliby zapewnić Leili ochronę. Miałyśmy przewagę choć w jednym: krewni męża Mary nigdy nie czuli się przez nią zagrożeni, nawet nie chcieli rozmawiać, gdy dzwoniła. Po prostu zakładali, że opuszczona i samotna musi dać za wygraną. Nigdy nie przyszło im nawet do głowy, że mogłaby się pojawić u ich drzwi. Dopóki tak myśleli, sytuacja była dla nas korzystna. Byłoby znacznie gorzej, gdyby dowiedzieli się, że Mary ma przyjaciółkę, która zachęca ją do walki o dziecko.

Czas za to nie działał na naszą korzyść po prostu dlatego, że nie miałyśmy funduszy na pozostanie w Libii choćby jeden dzień dłużej, niż było to konieczne. Mary miała pieniądze tylko na bilety i kilkudniowy pobyt w hotelu. Jeśli nasz wyjazd miał się zakończyć sukcesem, musiałyśmy od razu po przybyciu na miejsce szybko i zdecydowanie działać.

Mary niechętnie jechała do Libii, ponieważ nie znała języka - jej mąż nigdy jej nie zachęcał do nauki. Rozróżniała tylko kilka słów, a to zdecydowanie za mało, by

przepr-

22

wadzić planowaną akcją. Tymczasem ja, jeszcze jako nastolatka przez osiemnaście miesięcy mieszkałam w Jordanii, a od tamtego czasu kilkakrotnie odwiedzałam sąsiednie kraje, więc dobrze znałam arabski. Mary również była kiedyś w Libii - gdy jej mąż z dumą przedstawiał ją swojej rodzinie. Wiedziała mniej więcej, co zastaniemy, potrafiła także opisać dom, w którym - była tego prawie pewna - przetrzymywano jej córkę.

Mój mąż Mahmud uznał, że oszalałam, decydując się na takie przedsięwzięcie. Gdy po raz pierwszy mu o tym powiedziałam, po prostu z niedowierzaniem pokręcił głową i roześmiał się. Wydaje mi się, że ani przez chwilę nie myślał, że mówię serio. Kiedy zorientował się, że nie żartuję, zaczął przekonywać mnie, że taka akcja może skończyć się tragicznie i to z bardzo wielu powodów.

- Prawdopodobnie ktoś ciągle pilnuje dziecka. Jak zamierzasz je porwać? - pytał.  
- Poczekamy na dogodną chwilę. Przecież nie mogą być przy niej przez cały czas. Zaczekamy, aż pójdzie do toalety i jeśli będzie trzeba, to zabierzemy ją stamtąd! - odpowiadałam.

- Ale w chwili, gdy zorientują się, że zniknęła, zaczną dzwonić na policję i obserwować lotniska - kontynuował.
- W takim razie będziemy musieli wyostać się z kraju inną drogą.
- Będą kontrolować wszystkie drogi wyjazdowe.
- Więc trzeba będzie działać bardzo szybko.
- Donya - powiedział, zmieniając taktykę - czy zdajesz sobie sprawę, co z tobą zrobią, gdy cię złapią?
- Nie złapią mnie - odpowiedziałam szybko. Niestety, tak naprawdę wcale nie byłam tego taka pewna, jak się wydawało.

23

- Jeśli cię złapią - kontynuował, jakbym wcale mu nie przerwała - zamkną cię na długie lata w więzieniu na pustyni.
- W takim razie muszę zrobić wszystko, żeby mnie nie złapali - odpowiedziałam.
- A co z naszymi dziećmi? Co z nimi będzie, jeśli dostaniesz wyrok dziesięciu lat?
- Nie mogę zawieść Mary - powiedziałam z nadzieją, że przestanie. Nawet nie chciałam myśleć o niepowodzeniu. - Podjęłam się tego zadania, więc muszę zrobić wszystko, co w mojej mocy.

Wiedziałam, że to, co mówił, było bardzo rozsądne, ale przecież dałam Mary słowo. Nie mogłam się wycofać, szczególnie teraz, gdy zaczęła mieć nadzieję na odzyskanie córki. Poza tym czułam, że tak trzeba. Nie mogłam pozwolić, by ta sytuacja trwała dłużej tylko dlatego, że rozwiązanie nie było proste.

Wkrótce Mahmud zdał sobie sprawę, że nie uda mu się mnie powstrzymać. Mimo że nie pochwalał tego, co chciałam zrobić, obiecał, że będzie mi pomagał. Nadal martwił się z powodu potencjalnych niebezpieczeństw, które mi groziły, ale już nie próbował mnie zniechęcać.

Po opracowaniu dokładnego planu działania poleciałyśmy z Mary do Trypolisu - starożytnej stolicy Libii, położonej na północnym wybrzeżu Afryki. Wchodząc na pokład samolotu czułyśmy, że rozpoczynamy wielką podróż w nieznaną. Nie miałam pojęcia, czy za kilka dni uda nam się szczęśliwie wrócić do domu razem z córką Mary, czy może znajdziemy się w więzieniu gdzieś na pustyni. Nasza wyprawa była tym bardziej ryzykowna, że Mary przekraczała granicę okazując paszport swojej siostry, która na podstawie jednego dokumentu, mogła podróżować z córką. Dzień-

24

ki temu możliwe było wywiezienie Leili. Wiedziałyśmy, że nie uda nam się zdobyć jej paszportu - ojciec z pewnością dobrze go ukrył, może nawet w domu przyjaciół lub krewnych. Chociaż konsekwencje podróżowania z cudzym paszportem mogły być tragiczne, jednak dzięki niemu wyjazd z Libii był w ogóle możliwy - nawet gdyby szukała nas policja. Ten dokument pozwalał uzyskać wizę dla matki i córki, dzięki czemu mogłybyśmy podróżować z Leilą bez wzbudzania podejrzeń.

Na lotnisku w Trypolisie panował zgiełk. Zaraz po wyjściu z samolotu dotarły do mnie cudowne zapachy i poczułam żar pustyni. W tej części świata czułam się najlepiej - właśnie w tym rejonie spędziłam najbardziej ekscytujące i najpiękniejsze lata młodości. Zawsze gdy znajdowałam się na podobnych lotniskach, czułam, że absolutnie wszystko jest możliwe - panujący wokół chaos pobudzał mnie do życia. Przechodząc przez terminal rozglądałam się uważnie dokoła, próbując dostrzec

ochronę i kamery. Nie mogłam stwierdzić, czy zainstalowano tu jakieś systemy rejestrujące wchodzących i wychodzących pasażerów, ani czy zwracano szczególną uwagę na nielegalnie wywożone z kraju dzieci. Chociaż miałyśmy zarezerwowane bilety powrotne na samolot wylatujący za trzy dni, nie byłam pewna, czy uda nam się wydostać tą drogą. Mahmud miał rację mówiąc, że lotnisko będzie pierwszym miejscem, w którym rozpoczną poszukiwania.

Mimo że zaplanowałyśmy naszą podróż bardzo dokładnie, większość wydarzeń od tej pory zależała od naszej intuicji i była dziełem przypadku. Moja intuicja podpowiadała mi, że informację o zniknięciu Leili jako pierwsze otrzymają właśnie władze lotniska. Gdybyśmy się wtedy tam znalazły, byłoby nam bardzo trudno uciec.

Coraz

25

bardziej zaczynał mi się podobać pomysł pozostania na otwartym terenie i przekroczenia granicy samochodem. Chyba lepiej też byłoby skierować się w stronę wybrzeża, niż wracać na zatłoczone lotnisko.

Gdy wyszłyśmy na zewnątrz, uderzyło nas gorące, suche i przesycone zapachami powietrze. Zaczęłyśmy szukać taksówkarza, który zgodziłby się zawieźć nas do miasta, w którym przetrzymywano Leilę. Bardzo ważne było dla nas znalezienie takiego kierowcy, który byłby skłonny nam pomóc, ponieważ wiedziałyśmy, że wcześniej czy później będziemy musiały wyjawić mu nasze zamiary. Wiedziałam, że większość Arabów w sporach małżeńskich automatycznie przyznaje rację mężczyźnie. Najgorsze, co mogło nas spotkać, to zaangażowanie kierowcy, który w ostatniej chwili by nas zdradził. Wybór miałyśmy ogromny - wszyscy taksówkarze mówili jednocześnie, chcąc, byśmy ich zatrudniły, choć nie mieli pojęcia, na czym miałyby polegać ich prace. Polegając na intuicji, musiałam szybko podjąć decyzję, próbowałam wyszukać kogoś o uczciwym i życzliwym wyrazie twarzy. Podeszłam do mężczyzny, który wydawał mi się godny zaufania, a inni, widząc, że zaczęłam rozmowę z ich kolegą, rozeszli się w poszukiwaniu następnego klienta.

- Potrzebujemy kierowcy na kilka dni - wyjaśniłam.

- W porządku - odpowiedział z uśmiechem, zadowolony, że będzie miał zapewniony większy zarobek.

- Ile to będzie kosztowało?

Po kilku chwilach ustaliliśmy stawkę w wysokości dziesięciu funtów za dzień. Cena nie wydawała się wygórowana, tym bardziej że przez następne kilka dni samochód miał stać się naszym domem. Kierowca był bardziej niż zadowolony. W nocy spałyśmy w hotelu, ale już wcześniej rano wracałyśmy do taksówki, by prowadzić z niej obserwa-

20

cje rodzinnego domu ojca Leili. Mary była prawie pewna, że właśnie tam znajduje się jej córka. Nasz samochód nie był zbyt wygodny, stare skórzane siedzenia, dziurawe, pokryte lepкими plamami. Nie było klimatyzacji i we wnętrzu taksówki unosił się zapach benzyny, potu i dymu papierosowego. Musieliśmy siedzieć przy otwartych oknach, choć w panującym upale nie przynosiło to ulgi.

Dom wyglądał zwyczajnie, zbudowany z pustaków, z pewnością nie był żadną rezydencją. Nie zdziwiło mnie to, a nawet nieco uspokoiło, ponieważ z opowieści

Mary wynikało, że jej mąż nie był zbyt dobrze sytuowany. Gdyby jego rodzina miała znajomości wśród wpływowych ludzi, znacznie szybciej podniesiono by alarm po zniknięciu dziecka i dużo bardziej prawdopodobne byłoby, że władze zareagują natychmiast i dołożą wszelkich starań, by nas złapać. Ten dom jednak nie wyglądał na mieszkanie wysoko ustosunkowanej rodziny.

Nasze działania rozpoczęłyśmy od obserwowania domu. Musiałyśmy dobrze poznać rozkład dnia wszystkich domowników, by móc określić najbardziej dogodny moment porwania. Nie chciałyśmy doprowadzić do ostateczności - wydzierania Leili z rąk ojca lub babki. Zależało nam, by nie bala się bardziej niż było to konieczne. Mimo że chciałyśmy wykorzystać pierwszą nadarzącą się okazję, musiałyśmy wykazać się cierpliwością. Mary zakryła twarz, by nikt jej nie rozpoznał, obie ukryłyśmy włosy pod chustami. Miałyśmy nadzieję, że nikt nie zwróci uwagi na dwie kobiety siedzące w samochodzie, wyglądające tak, jakby czekały na swoich mężów. Okazało się, że dobrze wybrałyśmy kierowcę. Wkrótce zorientował się, jakie mamy plany i poparł nas z całego serca. Wciąż powtarzał, że każde dziecko potrzebuje matki. Wydawał się

27

gotów czekać w nieskończoność, jeśli tylko miało to służyć tak szlachetnemu celowi. Poczulałam ogromną ulgę, widząc, że intuicja mnie nie zawiodła.

Cały pierwszy dzień spędziłyśmy na obserwacjach. Zjawiłyśmy się przed domem zaraz po wschodzie słońca, kiedy na ulicach było bardzo mało ludzi. Od czasu do czasu jakiś pies albo kot wychodził z zaułka, w którym spędził noc i przeciągał się, budząc ze snu. Pierwszą oznaką życia był autobus szkolny, który o godzinie ósmej przejechał obok obserwowanego domu i zatrzymał się kilka metrów dalej na rogu ulicy. Siedziało w nim już kilkoro dzieci - przez brudne szyby widziałyśmy ich podskakujące główki. Kierowca zatrąbił, by dać znać, że przyjechał. Po kilku sekundach z domu wybiegła ubrana w białą sukienkę Leila, przeszła przez drogę, wznecając sandałkami tumany kurzu i wsiadła do autobusu. Czulałam, że Mary ma napięty dosłownie każdy mięsień ciała. Wysunęła rękę w kierunku drzwi, jakby coś silniejszego od niej kazało jej wysiąść.

- Nie tutaj - powiedziałam ostro. - Jeszcze nie teraz.

Mogłam sobie tylko wyobrazić, co wtedy czuła. Widziała córeczkę pierwszy raz od roku i jedyne, czego pragnęła, to wziąć ją w ramiona i ucałować.

- Musimy jechać za nią do szkoły, żeby zobaczyć, co się tam będzie działo - wyjaśniłam. Pokiwała głową, nic nie mówiąc, a w jej oczach widziałam radość i frustrację - była tak blisko swojego dziecka, a jednak nie mogła go przytulić.

- Jeśli teraz ją porwiemy, to w domu mogą coś usłyszeć albo kierowca autobusu powie im, co się stało i natychmiast złączą nas ścigać. Musimy to zrobić gdzie indziej, by mieć jak największą przewagę. Najlepiej byłoby ją zabrać spod szkoły.

28

Nie było kabli telefonicznych prowadzących do domu, co wyjaśniałoby, dlaczego po przeprowadzce Mary straciła kontakt z rodziną męża. Oznaczało to także, że o zniknięciu dziecka ktoś ze szkoły musiałby poinformować rodzinę osobiście. Potem znów zyskałybyśmy trochę czasu, zanim dotarło by na policję i rozpoczęto poszukiwania. Miałybyśmy więc kilkugodzinną przewagę.

Wszystkie te myśli przelatywały mi przez głowę podczas dwudziestominutowej jazdy

za autobusem. Niekiedy musieliśmy wyprzedzić autobus albo na chwilę stanąć na poboczu, gdy kierowca zatrzymywał się i zabierał kolejne dziecko. Kiedy stanął przed szkołą, zatrzymaliśmy się sto metrów za nim, by zobaczyć, co stanie się dalej. Nie było żadnych nauczycieli ani opiekunów czekających na dzieci, więc porwanie Leili nabierało realności na odcinku między autobusem a szkołą. Istniała szansa, że nikt nie zauważy jej zniknięcia, dopóki się nie okaże, że nie ma jej w klasie. Wszystko to wyjaśniałam Mary, ale ona skupiła się na tym, by jak najdłużej nie spuszczać córki z oczu.

Cały czas zajęć szkolnych przesiedziałyśmy przed gmachem szkoły, a kierowca regularnie dostarczał nam jedzenie i napoje. Chciałyśmy zobaczyć, czy dzieci wyprowadzano na zewnątrz, by mogły się pobawić albo żeby przeszły do innego budynku. Okazało się jednak, że wyszły dopiero po skończeniu lekcji, gdy podjechał po nie autobus. Uczniowie wybiegli ze szkoły i w tłoku, jaki powstał w drzwiach autobusu, nie udało nam się dostrzec Leili. Gdy wszystkie dzieci wsiadły, kierowca powoli ruszył w drogę powrotną. Zazgrzytały biegi, autokar wypuścił chmurę czarnego dymu, a nauczyciele wrócili do szkoły. Po chwili nasz kierowca również włączył silnik i wyjechał na drogę. Od autobusu oddzielało nas kilka innych aut. Jechaliśmy tą samą drogą

29

co rano, zaparkowaliśmy przed domem Leili i obserwowaliśmy, jak do niego wchodzi. Mary bardzo cieszyła się z odnalezienia córki, ale jednocześnie przepelniało ją smutkiem to, że po raz kolejny straciła ją z oczu.

Autokar odjechał, zostawiając nas w kłębach dymu i kurzu. Czekaliśmy pod domem aż do zachodu słońca, by sprawdzić, czy Leila wyjdzie pobawić się z przyjaciółmi albo może kogoś odwiedzić. Widzieliśmy wchodzących i wychodzących dorosłych, najprawdopodobniej wracających z pracy, ale Leila została wewnątrz. W końcu, gdy zapadł zmrok i w domu zapalono światła, zdecydowałyśmy, że na kilka godzin możemy przerwać obserwację i wrócić do hotelu, by się przespać.

Chociaż byłyśmy bardzo zmęczone, żadna z nas nie wypoczęła dobrze tej nocy. Nerwy miałyśmy napięte do granic wytrzymałości. Wciąż powtarzałyśmy sobie nasz plan, chcąc upewnić się, że wszystko potoczy się dokładnie tak, jak chciałyśmy. W końcu zapadłyśmy w nerwową drzemkę, bojąc się, że zaśpimy.

Tuż przed świtem wstałyśmy, ubrałyśmy się i wyszłyśmy na ulicę, gdzie czekał już na nas przysypiający nad kierownicą taksówkarz. Gdy wsiadłyśmy do samochodu, obudził się, przywitał nas szerokim uśmiechem i podał torbę ze śniadaniem.

Zjadłyśmy je po drodze, a potem powtórzyły się czynności z dnia poprzedniego. Wszystko wyglądało dokładnie tak samo, łącznie z przebudzeniem ulicznych psów i kotów. Ten sam kierowca autobusu zatrzymał się dokładnie w tym samym miejscu o tej samej godzinie i jak wczoraj zatrąbił. Znowu spędziłyśmy w samochodzie cały dzień, najpierw przed szkołą, a potem przed domem. Czekałyśmy tak na wszelki wypadek, gdyby nadarzyła się jakaś idealna sytuacja sprzyjająca porwaniu

30

(jziewczynki albo pojawiły się nieprzewidziane trudności. Wszystko jednak odbyło się dokładnie tak jak poprzednio.

Tej nocy długo rozmawiałyśmy z Mary, leżąc w hotelowych łóżkach. Miałyśmy

świadomość, że nadszedł czas, by podjąć ostateczną decyzję i rozpocząć konkretne działania. Bilety powrotne były zarezerwowane na następny dzień. Jeśli miałyśmy wybrać tę drogę ucieczki, musiałyśmy wszystko zaplanować bardzo dokładnie. Nie mogłyśmy zjawić się na lotnisku za wcześnie - rodzina miałaby wtedy wystarczająco dużo czasu, by zawiadomić policję. Nie mogłyśmy się też spóźnić na samolot, ponieważ musiałybyśmy godzinami czekać na następny. Na lotnisku stanowiłybyśmy łatwy cel, zarówno dla rodziny Leili, jak i dla policji.

- Najlepiej byłoby zabrać ją rano spod szkoły - powiedziałam. - Właśnie wtedy jest tam najwięcej ludzi i nikt nie zwróci uwagi na dwie kobiety. Możliwe też, że nauczyciele wcale nie powiadomią rodziny o nieobecności dziewczynki. Mogą pomyśleć, że źle się czuła i została w domu.

Mary podekscytowana myślą, że już za kilka godzin znów będzie mogła trzymać córkę w ramionach, zachowywała się tej nocy jak dziecko. Zresztą i tak nie liczyłam na to, że dobrze się wyśpimy.

Trzeciego dnia o świcie znów czekałyśmy w taksówce przed domem Leili, obserwując budzącą się do życia okolice. Żołądek miałam ściśnięty ze strachu, a Mary, jak się domyślałam, czuła się jeszcze gorzej niż ja. Żadna z nas nie mogła nawet spojrzeć na jedzenie, które przyniósł nam kierowca. Wszystko odbywało się dokładnie tak samo, jak podczas ostatnich dwóch dni. Gdy dziewczynka wsiadła do autobusu, ruszyliśmy za nim tą samą trasą, co poprzednio. W naszym aucie atmosfera była tak napięta, że nawet nasz rozmowny

31

zwykle kierowca zupełnie zamilkł. Zdawał sobie sprawę, że zaraz zostanie uwikłany w niebezpieczną sytuację. Uznałam, że trzeba go uprzedzić o naszych zamiarach, żeby nie ryzykować, że wpadnie w panikę i ucieknie, gdy my będziemy dokonywać porwania. Kiedy wyjaśniłyśmy mu całą sprawę, ze zrozumieniem pokiwał głową i od tamtej chwili stał się niezwykle cichy i zamyślony. Wciąż nie byłam pewna, czy w decydującym momencie nie puszczą mu nerwy i nas nie zawiedzie, ale nie byłam w stanie już nic więcej zrobić. Miałam tylko nadzieję, że nie zaryzykuje utraty zapłaty za trzy dni pracy, porzucając nas w ostatniej chwili.

Czułam się, jakbym przygotowywała napad na bank, ale w głębi duszy wiedziałam, że to, co chcemy zrobić, jest słuszne. Wciąż sobie powtarzałam, że nie można zabraniać matce kontaktu z dzieckiem. Zdawałam sobie sprawę z tego, że łamiemy prawo, ale nasze pobudki były jak najszlachetniejsze. Jechaliśmy za autobusem wąskimi uliczkami, na których kolejne dzieci czekały na transport do szkoły, potem wyjechaliśmy na tereny wiejskie, a następnie dotarliśmy do małego miasteczka. Spojrzałam na Mary - jej oczy były rozbiegane, a nerwy napięte do granic możliwości. Miałam nadzieję, że opanuje się i nie zepsuje całej akcji. Chwilami sprawiała wrażenie, jakby miała stracić przytomność.

W końcu dotarliśmy pod szkołę i Leila wysiadła. Zatrzymaliśmy się bezpośrednio za autobusem, tak by jego kierowca nie mógł nas widzieć w lusterkach.

Ścisnęłam dłoń Mary.

- Teraz-poleciałam. - Ruszajmy.

Nie wahała się ani chwili. Pierwsza wysiadła z samochodu i z rozpostartymi ramionami pobiegła w stronę małej dziewczynki ubranej w białą sukienkę. Chusta

Mary powiewała na wietrze, odsłaniając jej twarz. Leila odwróciła się

32

^leżanki i zobaczyła zbliżającą się ku niej mamę. Upuściła książki i wpadła w jej ramiona. Mary uniosła dziewczynkę. Przez dłuższą chwilę stały tak wtulone w siebie. Spojrzałam na naszego kierowcę, by zorientować się, czy nie ma zamiaru teraz zniknąć, zostawiając nas bez środka transportu. W bagażniku znajdowały się także nasze bagaże, pieniądze, paszporty i bilety lotnicze. Gdyby teraz odjechał, wpadłybyśmy w pułapkę - nie mogłybyśmy legalnie opuścić Libii. Taksówkarz jednak uważnie obserwował Mary z Leilą i rozglądał się, czy nikt inny nie zwraca na nie uwagi. Musiałam mu zaufać, nie miałam innego wyjścia. Trzeba było skupić się na jak najszybszym i możliwie dyskretnym doprowadzeniu Mary i jej córki do samochodu.

Wciąż stały na poboczu drogi, tuląc się do siebie. Matka gładziła włosy córki, wchłaniając ich zapach. Obie płakały z radości, zamknięte w swoim małym świecie. Zauważyłam, że za nimi stoi nauczycielka, która liczy przechodzące przez bramę dzieci. Najwyraźniej do tej pory nic nie zauważyła, ale w każdej chwili mogła odwrócić głowę i zorientować się w sytuacji. Natychmiast podeszłam do niej, by spróbować odwrócić jej uwagę. To dałoby Mary czas na otrząśnięcie się i zaprowadzenie Leili do taksówki, której drzwi były otwarte.

- Niedawno się tu przeprowadziłam - zwróciłam się do opiekunki, stając tak, by patrzyła na mnie i nie mogła widzieć Mary. - Szukam szkoły dla mojej córki. Czy mogłabym umówić się z panią na spotkanie w tej sprawie?

- Oczywiście - uśmiechnęła się słodko, wciąż licząc przechodzące obok niej dzieci, ale teraz jej uwaga była już rozproszona.

- Ta szkoła wygląda na bardzo sympatyczną. - powiedziałam - Dzieci wydają się szczęśliwe.

33

- Dziękuję - spojrzała na mnie i uśmiechnęła się z dumą; nie policzyła przechodzących obok niej kilku uczniów. Miałam nadzieję, że dzięki temu dłużej nie zorientuje się, że Leila zniknęła.

- Widzę, że jest pani teraz zajęta - spojrzałam przez jej ramię i zobaczyłam, że Mary i Leila są już bezpieczne w samochodzie i czekają na mnie. - Zadzwoń dzisiaj po południu, żeby umówić się na spotkanie, dobrze?

- Oczywiście, będę czekać na telefon - odpowiedziała uprzejmie i wróciła do liczenia uczniów. W tym czasie dotarłam do samochodu, starając się nie iść zbyt szybko.

Wskoczyłam do środka, krzycząc na kierowcę, by ruszał. Ruszyliśmy z piskiem opon. Spojrzałam za siebie i zobaczyłam, że nauczycielka, z którą rozmawiałam, obserwuje nasz samochód. Była zdziwiona tym, że tak pośpiesznie odjechałam.

Przy odrobinie szczęścia powinno minąć trochę czasu, zanim zauważy, że nie ma Leili, a zresztą nawet wtedy zapewne pomyśli, że dziewczynka po prostu została w domu. Bardzo możliwe, że nikt nie zorientuje się w sytuacji do chwili, gdy powrotny autobus zatrzyma się przed domem dziewczynki. Było też prawdopodobne, że uda nam się wylecieć z kraju, zanim rozpoczną się poszukiwania.

Początkowe podniecenie Leili na widok mamy przerodziło się w panikę, gdy usłyszała mój krzyk, trzaśnięcie drzwi i pisk opon. Prerażona zwymiotowała do

torebki, a Mary tuląc ją, wchłaniała zapach jej włosów, jakby chciała odzyskać wszystkie stracone chwile.

- Mamy kilka godzin przewagi - powiedziałam. - Jedźmy od razu na krajowe lotnisko, tam złapiemy samolot do Trypolisu.

Wychodziłam z założenia, że w najgorszym przypadku, to znaczy gdyby od razu zauważono nieobecność dziecka,

34

oolicja i tak me zclązy zawiadomic władz lotniska w ciągu dwóch godzin, a może im to zająć dużo więcej czasu. Kierowca skręcił w ulicę prowadzącą na lotnisko. Mary była zbyt zajęta Leilą, by interesować się tym, dokąd jedziemy. Ucieczkę zostawiła na mojej głowie. Przez całą drogę wydawało mi się, że każdy kierowca znajdujący się na drodze próbuje spowolnić naszą podróż. Chociaż wiedziałam, że było mało prawdopodobne, by rozpoczęto już poszukiwania, widok policjanta czy żołnierza przyprawiał mnie o dreszcze. Zająłam się przygotowywaniem pieniędzy, biletów i paszportów, by móc od razu wejść na pokład samolotu. Gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, powinnyśmy znaleźć się poza granicami kraju, zanim rodzina Leil zorientuje się, że dziewczynka zniknęła. Nie mogłam uwierzyć, że wszystko miało pójść tak łatwo.

Gdy z dźwigającym nasz bagaż kierowcą i Mary z córką na rękach wpadliśmy na lotnisko, nikt oprócz nas się nie spieszył. Atmosfera była bardzo senna.

- Wasz lot do Trypolisu jest opóźniony - powiedział nam mężczyzna odprawiający pasażerów, gdy pokazałam mu nasze bilety.

- Opóźniony? O ile? - zapytałam z zamartwym sercem. Wzruszył ramionami i oznajmił: „Cztery godziny, może więcej”. Odeszliśmy od stanowiska odpraw, by się naradzić.

- Wydaje mi się, że nie powinnyśmy ryzykować, czekając na lotnisku tyle czasu - powiedziałam. - Widziałas, ilu tu było strażników, gdy przyleciałyśmy. Gdyby samolot był opóźniony o kolejne cztery godziny - co jest możliwe - ojciec Leili zdążyłby zrobić zamieszanie.

- Więc co zrobimy? - zapytała Mary, przytulając córkę. Na myśl o ponownej rozłące była przerażona.

35

- Myślę, że powinnyśmy wykorzystać te kilka godzin przewagi, by wydostać się z kraju samochodem - odpowiedziałam. - Jest mniej prawdopodobne, by patrole na granicy zwracały szczególną uwagę na zaginione dzieci. Będąc w ruchu, jesteśmy w miarę bezpieczne.

- Jechać całą drogę samochodem? - Mary wyglądała na osłupiałą.

- Myślę, że tak będzie najbezpieczniej.

- Dobrze.

Wróciłyśmy do auta i powiedziałyśmy kierowcy, że jedziemy do oddalonej o siedemnaście godzin granicy z Algierią. Właśnie w ten sposób miałam w przyszłości spędzić wiele tygodni: jadąc godzinami po bezkresnych drogach, starając się przekroczyć jak najwięcej granic, by uciec w ten sposób przed rodzinami ojców, którzy przetrzymywali dzieci wbrew ich i matek woli. Czasami było mi bardzo ciężko - podróżowałyśmy w nieznośnym upale i wszechobecnym kurzu,



zatrzymywałyśmy się w obskurnych restauracyjkach i sklepach, żeby choć trochę się odświeżyć. Toalety były w strasznym stanie, niekiedy brałyśmy prysznic na ulicy, próbując zmyć z siebie pot i kurz. Kupowałyśmy chleb, miód i melony na przydrożnych straganach, by jakoś przetrwać i próbowałyśmy zachowywać się jak turystki.

Takie podróże były męczące szczególnie dla dzieci, ale dawały się we znaki także dorosłym. Muszę jednak przyznać, że podczas tych wypraw czułam się fantastycznie, ciągle wypatrywałam oznak niebezpieczeństwa na posterunkach kontrolnych, podejrzliwie obserwowałam wszystkie napotkane osoby, czy gdzieś nie dzwonią albo zapisują numer naszego samochodu. Podczas ucieczki każdy stawał się potencjalnym wrogiem, choć na pozór mógł wydawać się bardzo miły i gościnny.

30

Zbliżając się do granicy z Algierią zaczęłam się niepokoić że celnicy dopatrzą się różnic między Mary i Leilą a fotografiami w paszporcie, z którym podróżowały. Mary była wprawdzie nieco podobna do swojej siostry, ale Leila przez ostatni rok urosła i mało przypominała młodszą kuzynkę. Z doświadczenia wiedziałam, że rzadko kiedy dzieci wyglądają na fotografiach w paszportach tak jak w rzeczywistości, ponieważ bardzo szybko się zmieniają. Modliłam się, żeby celnicy sprawdzający nasze dokumenty też tak uważali.

Gdy zbliżyliśmy się do posterunku na granicy, byłam chora ze strachu i bałam się, że zwymiotuję i zwrócę tym uwagę celnika. Spojrzałam na Mary, która była tak samo blada jak ja i wręcz bliska utraty przytomności. Zapłaciliśmy kierowcy za wszystkie dni, przez które dla nas pracował i dodałyśmy spory napiwek. Lubię wynagradzać ludzi, którzy chętnie mi pomagają i okazują mi wsparcie. Dał mi swój adres oraz numer telefonu i nalegał, bym koniecznie do niego zadzwoniła, gdybym kiedykolwiek potrzebowała taksówki w Libii. Przyrzekłam, że tak zrobię.

- Przewiozę was przez granicę - powiedział - a potem będziecie musiały znaleźć innego kierowcę.

Kiwnęłam głową z wdzięcznością. Powoli zbliżyliśmy się do posterunku. Wszyscy zamilkliśmy. Leila kurczowo trzymała mamę za ramię i rozglądała się wokół okrągłymi z przerażenia oczami. Chociaż nie rozumiała, co się dzieje, musiała wyczuć, że obie z mamą jesteśmy bardzo zdenerwowane. Celnik okropnie długo zajmował się sprawdzaniem ciężarówki stojącej przed nami. Przeglądał ładunek, potem wracał do papierów, ale w końcu pozwolił jej odjechać i przyszła nasza kolej. Kierowca podał wszystkie nasze dokumenty przez otwarte okno. Wydawało mi się, że

31

nawet on podejrzanie wygląda. Miałam wrażenie, że celnik sprawdza nasze dokumenty w nieskończoność. Przyglądał się najpierw Mary i mnie, a potem Leili, która utkwiała w nim wzrok, trzymając się kurczowo mamy. W kolejce do odprawy celnej stanął za nami kolejny samochód, a jego kierowca nacisnął klakson. Oficer spojrzał na niego i spokojnie powrócił do sprawdzania naszych dokumentów, jakby chciał jeszcze dłuższym oczekiwaniem ukarać kierowcę za okazywanie zniecierpliwienia. W końcu oddał nam dokumenty i powolnym gestem odprawił. Opuściliśmy terytorium Libii i znalazłyśmy się w Algierii.

Nasz taksówkarz podwiózł nas do grupy kierowców czekających na klienta i rozpoczął z nimi negocjacje w naszym imieniu. Czekaliśmy w samochodzie, obserwując jak mężczyźni częstują się papierosami, piją kawę i rozmawiają, jakby nigdzie im się nie spieszyło. Miałam okropną świadomość tego, że kilka metrów za nami znajduje się punkt graniczny i bardzo chciałam się od niego oddalić możliwie najszybciej. Zdawałam sobie jednak sprawę, że nie mogłyśmy się spieszyć, by nie wzbudzać podejrzeń. Wreszcie, po nieskończone długim czasie, nasz kierowca przyprowadził taksówkarza, którego zatrudnił na dalszą drogę, i zaczął przekładać nasz bagaż do jego samochodu. Nowy kierowca również był miły i życzliwy, zgodził się także pracować za taką samą stawkę co jego poprzednik. Przesiadłyśmy się do jego auta, które było dokładnie w takim samym stanie jak poprzedni środek transportu. Czułam ogromną ulgę, oddalając się od granicy z Libią.

Tej nocy spałyśmy w samochodzie zaparkowanym na poboczu drogi, a ja wciąż wyobrażałam sobie, że słyszę policyjny śmigłowiec, który przylatuje, by odebrać dziewczynkę, a policjanci aresztują nas i wtrącają do więzienia. Siedzenia

38

w aucie były niewygodne już podczas jazdy, a spanie na nich okazało się prawie niemożliwe, szczególnie gdy Leila ułożyła się na naszych kolanach, a śpiący na przednim siedzeniu kierowca strasznie chrapał. Mimo wszystko byłyśmy tak bardzo zmęczone wydarzeniami, które rozegrały się podczas kilku ostatnich dni, że udało nam się trochę zdrzemnąć. Następnego dnia pokonaliśmy ponad tysiąc dwieście kilometrów, jadąc po drogach Algierii aż do Maroka. Doszłam do wniosku, że bezpieczniej będzie znaleźć się w kolejnym kraju, zanim spróbujemy skorzystać z samolotu. Teraz policja libijska miała już ponad dwadzieścia cztery godziny na działania i mogła powiadomić sąsiednie kraje o porwaniu Leili.

Na granicy marokańskiej nie zwrócono na nas praktycznie żadnej uwagi. Wraz z nami zjawily się na posterunku autokary z mnóstwem turystów i celnicy byli najbardziej zainteresowani odprawieniem dużej grupy podróżnych, by zyskać chwilę spokoju. Nie zaprzatali sobie głowy poszukiwaniem kidnaperów.

W Maroku kupiłam bilety na samolot i odleciałyśmy do Londynu/Jednak strach wciąż mnie nie opuszczał, nawet wtedy, gdy szybowałyśmy w przestworzach i opuściłyśmy Afrykę. Na widok brytyjskich policjantów na lotnisku poczułam taki sam skurcz w żołądku jak w trakcie samego porwania. Podróżowałyśmy z cudzym paszportem, a to mogło stać się przyczyną poważnych kłopotów, zarówno na Heathrow jak i w Trypolisie. Mogło się również tak zdarzyć, że odesłano by Mary i Leilę do Libii, nie dając wiary w to, że są obywatelkami Wielkiej Brytanii, skoro podróżują z cudzymi dokumentami.

Kolejka do odprawy na lotnisku w Trypolisie była strasznie długa. Leila ożywiła się w samolocie, gdzie stewardesy poświęcały jej dużo uwagi, a ona zadawała im mnóstwo

3Q

pytań. Gdy znalazłyśmy się na pokładzie samolotu, Mary po raz pierwszy rozluźniła się i wręcz zarzuciła córkę pytaniami o to, jak wyglądało życie z tatą. Chciała znać każdy szczegół z ostatniego roku życia córki, a ta - jak każda mała dziewczynka, zadowolona z tego, że znalazła się w centrum zainteresowania - opowiadała o

wszystkim z detalami. Kiedy samolot wylądował w Londynie, Leila po kilkugodzinnym opowiadaniu o sobie była w dobrym humorze. Nie starałam się jej uciszać. Pomyślałam, że może rozproszyć w ten sposób uwagę urzędników, którzy z kamiennymi twarzami przepytują pasażerów przybywających na Heathrow. Gdy przyszła nasza kolej, podeszliśmy do kobiety, przyglądającej się Leili. Serce mi zamarło. Urzędniczka popatrzyła mi prosto w oczy, po czym spojrzała na mój paszport, metodycznie przewracała jego kartki, przeglądając stemple i wizy. W końcu oddała mi dokument i kiwnęła głową, bym przeszła przez bramkę.

Nie odwróciłam się, gdy sprawdzała dokumenty Mary i Leili. Znalazłam krzesło i zaczęłam, aż do mnie dołączą. Miałam nadzieję, że nie różnię się od pozostałych podróżnych, choć byłam bardzo zdenerwowana.

Gdy wreszcie przeszły przez odprawę, odebrałyśmy bagaż i po drugiej stronie barierek ujrzalam czekającego na mnie Mahmuda, poczułam tak wielką ulgę, że o mało się nie rozplakałam. Musiałam jednak zachować zimną krew i grać dalej, na wypadek, gdyby filmowały nas kamery. Wyszliśmy na parking w takim samym tempie jak inni podróżni, uważając, by nie wyglądało na to, że zbyt szybko się spieszymy. Drogę do miasta pokonaliśmy w zupełnej ciszy - byliśmy wyczerpane, ale szczęśliwe.

Mary z córeczką musiały zniknąć i zmienić imiona, ponieważ bały się, że ojciec Leili mógłby wrócić i próbować ją

40

ownie uprowadzić. Uzgodniłyśmy, że nie będziemy się e sobą kontaktować, więc nie wiem, dokąd się przeniosły. Nigdy nie zapomnę wyrazu ich twarzy, gdy po miesiącach rozłąki spotkały się przed szkołą w Libii.

Wkrótce zapomniałam o przerażeniu i zmęczeniu, jakie towarzyszyły mi podczas tej podróży i zaczęłam tęsknić za kolejną dawką adrenaliny. Lubiłam to uczucie podekscytowania, a poza tym czułam, że wyświadczam dobro, pomagając matce odzyskać dziecko. Chciałam ponownie przeżyć taką przygodę i okazało się, że nie musiałam na to długo czekać.

% i' -.' \*' u ' ' - .\* ,i ;. ■,Γ;<ч

..»'■\*••. ." ч - . Mu. ; sl , \,иЯк/i

.' ' -.,, , . ■ • T/f-' .,,' o., ' ' .i: ' ' 'i H\*.i • III: .liii\*: " . fta..- . '

## ROZDZIAŁ DRUGI

### Jak zostałam muzulmanką

■

Muszę przyznać, że moje dzieciństwo nie było szczęśliwe. Stwierdzając ten fakt, jest mi tym bardziej przykro, ponieważ wiadomo, że najmłodsze lata powinny być wspaniałym okresem w życiu. Nie chcę jednak udawać, że wszystko było w porządku. Nigdy nie miałam dobrego kontaktu z mamą i może właśnie dlatego tak bardzo zależy mi na tym, aby dzieci, takie jak Leila, które mają troskliwe i kochające matki, mogły spędzać z nimi każdą chwilę. Osobiście nie miałabym nic przeciwko temu, żeby ktoś uprowadził mnie z rodzinnego domu, gdy byłam mała - czułabym się

nawet szczęśliwa z tego powodu.

Gdy byłam jeszcze zbyt mała, by cokolwiek pamiętać, moi rodzice przenieśli się ze Szkocji do Anglii. Razem ze mną mieli trzy córki - starszą ode mnie Sandrę i młodszą Tracy. Mama obchodziła się z nami dość surowo. Wyładowywała na nas swoje frustracje, zarówno słownie jak i fizycznie - a prawda jest taka, że prawie zawsze była zestresowana i wciąż na nas o coś się złościła. Myślę, że znęcając się nad nami, dawała upust uczuciu rozczarowania życiem. Nic nigdy nie poprawiało jej nastroju, wciąż była zła i na wszystkich obrażona.

Tata pracował jako inżynier w przemyśle lotniczym i bardzo dużo czasu spędzał poza domem. To oznaczało, że przez

42

większość czasu mama musiała sobie sama z nami radzić. W miarę jak dorastaliśmy, było jej coraz trudniej nas kontrolować. Lotnictwo było dla taty nie tylko pracą, ale także jego hobby i pierwszą miłością. Mieszkaliśmy w dużym domu pod Cambridge i mieliśmy kilka akrów ziemi, właśnie tam tata składował wraki starych samolotów. Całymi godzinami majstrował przy nich, jakby były gigantycznymi modelami do sklejanego. Kiedy udało mu się złożyć jakąś maszynę, ponownie rozbierał ją na części. Wtedy wywożono ją na przyczepach do jakiegoś hangaru, gdzie pod czujnym okiem taty mogła zostać ponownie złożona. Wydaje mi się, że jako eksponaty trafiały do muzeów. Tata był bardzo sprawny manualnie, jednak emocjonalnie niezbyt dobrze sobie radził w życiu. Zupełnie nie wiedział, jak uporać się z coraz większym gniewem ogarniającym moją mamę.

Kłócili się dosłownie zawsze, nie mogli przebywać w jednym pomieszczeniu przez dłuższy czas, by nie wdać się w sprzeczkę. Taka nieprzyjemna atmosfera udzielała się wszystkim domownikom. Po szkole ja i moja siostra

- w przeciwieństwie do wszystkich naszych przyjaciółek

- wcale nie cieszyłyśmy się z powrotu do domu. Gdy widzę swoje dzieci, jak podniecone biegną po zajęciach do domu, przykro mi, że ja nigdy nie wracałam do domu z radością.

Mama stosowała żelazną dyscyplinę i wszystko musiałyśmy robić same: słać łóżka, sprzątać pokoje przed pójściem do szkoły, czyścić buty, a przy stole zachowywać nienagane maniery.

Oczywiście nie ma nic złego w uczeniu dzieci samodzielności i dyscypliny, jeśli tylko robi się to z miłością. Chyba powinnam bardziej wpajać swoim dzieciom karność, ale jakoś nie potrafię się na to zdobyć. Lubię za nie wykonywać różne czynności. Cieszę się z tego, że są beztroskie

43

i szczęśliwe. Nie chcę, by żyły w atmosferze ciągłego zrzę-1 dzenia i besztania. Moje siostry i ja nie lubiłyśmy zapra-1 szać innych dzieci do domu. Nigdy nie wiedziałyśmy, czyi mama będzie dla nich przyjemna, czy nie wkurzą jej, albo I czy nie zaczną na nas krzyczeć za jakieś wykroczenie i na- | robi nam wstydu.

Mama nie miała wielu przyjaciół, a gdy zawierała jakąś I znajomość, nie trwała ona długo. Nasze koleżanki przy- I chodziły bardzo rzadko, a wychodziły już o szóstej po po- I łudniu, gdyż my pół godziny później musiałyśmy znaleźć 1 się w łóżkach. Leżąc słyszałyśmy, jak inne dzieci jeszcze I przez wiele godzin bawią się na

podwórku. Od samego rana, aż do chwili gdy kładłyśmy się spać, w domu panowała męcząca atmosfera małostkowości.

Mama zawsze mówiła nam, że powinniśmy poślubić I bogatych mężczyzn. Myślę, że sama była nieszczęśliwa I właśnie dlatego, że nie wyszła za majątnego człowieka. | Nam zaś w zupełności wystarczało to, co tata przynosił do I domu. Mama zawsze interesowała się sprawą palestyńską i miała w tamtym regionie wielu znajomych. Nie wiem, jak I doszło do tego, że się z nimi skontaktowała, ani nigdy do końca nie rozumiałam relacji między nią a tymi ludźmi, ale bardzo możliwe, że swoją fascynację tym regionem przejęłam właśnie od niej.

Rodzice mieszkali razem, dopóki nie wyprowadziłyśmy się z domu, a potem się rozwiedli. Myślę, że byłoby dużo lepiej, żeby wcześniej przyznali się, że popełnili błąd. Gdyby ich małżeństwo było szczęśliwe, my z pewnością miałybyśmy szczęśliwsze dzieciństwo. Ludzie nie powinni utrzymywać na siłę swoich związków tylko dlatego, że mają dzieci. Gdy jednak postanawiają się rozstać, żadna ze stron nie powinna utrudniać drugiej kontaktu z dziećmi.

44

Mimo wysiłków nasi rodzice nie zdołali nieprzerwanie . razem Przez cały okres naszego dzieciństwa. Gdy mia- m siedem lat, mama odeszła od nas na rok z innym mężczyzną i tata sam musiał się o nas troszczyć. Biedak «tarał się. Jak m<sup>o</sup>gf. zrezygnował nawet z pracy, by się nami opiekować. Pamiętam, jak robił dla nas „gorące lody” - tak nazywał puree z ziemniaków. Dzięki niemu, choć przez krótki czas, czułyśmy radość dzieciństwa, której ni- sdy nie doświadczyłyśmy, kiedy opiekowała się nami mama. Przez pewien czas musiałyśmy chodzić do świetlicy, ponieważ tata nie mógł nam poświęcać tak dużo czasu, ale zawsze wracałyśmy do domu na noc. Nie mam pojęcia, co wtedy zaszło między rodzicami, ale w końcu mama do nas wróciła, nigdy nie wytłumaczyła, czym zajmowała się podczas swojej nieobecności, ani gdzie była. Potem zarejestrowano nas w ośrodku pomocy społecznej, ponieważ wciąż byłyśmy bite. Naprawdę współczuję ojcom, którzy samotnie wychowują dzieci, gdy ich żony opuściły rodzinę z własnej woli. Po powrocie naszej mamy przeprowadziliśmy się do Bushey w hrabstwie Hertfordshire. Bushey znajduje się daleko na północnych obrzeżach Londynu, niedaleko obwodnicy M25, ale kulturowo oddalone jest od międzynarodowego centrum stolicy o tysiące kilometrów. W związku rodziców nic się nie zmieniło i wciąż byliśmy nieszczęśliwą rodziną. Gdy skończyłam piętnaście lat, uciekłam z domu. Miałam dosyć. Byłam pewna, że cokolwiek spotka mnie poza domem, na pewno nie będzie gorsze od tego, co już w nim przeżyłam. Do takiego wniosku doszłam, obserwując rodziny przyjaciół i przyglądając się stosunkom rodzinnym pokazywanym w telewizji. Życie wcale nie musiało być takie przygnębiające. Miarka się przebrała, gdy

45

pewnego zimowego popołudnia mama za jakąś drobnostkę znów uderzyła mnie, ale tym razem zrobiła to mocniej niż zwykle - nabiła mi dużego guza na głowie. Myślałam, że tym razem tata jakoś zareaguje, stanie po mojej stronie i każe jej przestać, ale jak zwykle nie zrobił nic. Wtedy wybiegłam z domu, tak jak stałam, i nigdy już tam nie

wróciłam.

Nie mając pojęcia, dokąd się udać, poszłam do kościoła na Bushy High Street. Zamierzałam spędzić tam noc i następnego dnia zacząć nowe życie. Żeby dobrze oddać całą sytuację, muszę wspomnieć o tym, że wtedy padał śnieg i było mi strasznie zimno - wszystko przypominało scenę z Dickensa. Nie dbałam jednak o fizyczne niewygody, byłam podekscytowana myślą o tym, że będę mogła robić, co tylko zechcę i pójść tam, gdzie będę chciała. Gdy dotarłam do kościoła, okazało się, że frontowe drzwi są zamknięte. Przeszłam dokoła budynku w poszukiwaniu innego wejścia, ale w środku panował mrok - wszystko było zamknięte na noc. Nagle uświadomiłam sobie, że jestem tam zupełnie sama, wokół mnie słychać było tylko wiatr hulający w gałęziach drzewa. Wróciłam na ganek, który dawał choć trochę schronienia przed śniegiem i wiatrem. Ułożyłam się w kącie i próbowałam zasnąć, ale przez głowę przelatywało mi tysiące różnych myśli.

Gdy weszło słońce, już nie spałam, całe ciało miałam odrętwiałe i cieszyłam się, że noc wreszcie minęła. Wstałam i otrząsnęłam się jak pies, próbując przywrócić krążenie w zamarzniętych kończynach. Byłam zdeterminowana, wiedziałam, że na kolejną noc muszę znaleźć jakieś ciepłe miejsce do spania. Nie miałam zamiaru powtarzać eksperymentu z poprzedniej nocy. Gdy się zrobiło jasno, przeszłam na Watford i wałęsałam się po pustych ulicach, aż

40

nalazłam restaurację, która była już otwarta i oferowała 'niadania robotnikom oraz osobom wracającym z nocnej miany. Okna były zaparowane, ale widać było przez nie ludzi jedzących ciepłą strawę. Wtedy uświadomiłam sobie, iak bardzo jestem głodna. Już z daleka poczułam zapach smażonego bekonu, tostów i kawy. Weszłam do środka i zapytałam, czy nie potrzebują kogoś do pracy. Po nocy spędzonej pod gołym niebem wyglądałam zapewne okropnie, ale właściciel zlitował się nade mną i dał mi pracę na część etatu, a na dobry początek talerz pełen jedzenia. Wbijając widelec w jajka na bekonie i pijąc gorącą herbatę, poczułam, że właśnie rozpoczęło się moje dorosłe życie.

Kolejnym problemem było znalezienie jakiegoś lokum, w którym mogłabym mieszkać do chwili otrzymania pierwszej wypłaty. Zadzwoiłam do przyjaciółki i powiedziałam jej, że uciekłam z domu. Nie wydawała się zaskoczona - była u mnie kilkakrotnie i poznała moją matkę. Chętnie zgodziła się, żebym u niej została, aż będę miała wystarczająco dużo pieniędzy, by coś wynająć. Ostrzegła mnie tylko, że będę musiała spać na sofie, ale nie miało to dla mnie znaczenia. Najważniejsze, że byłam z daleka od matki, wszelkie niewygody nie liczyły się. Już nawet spanie na ulicy wydawało się lepsze niż powrót do domu. Kilka tygodni później z niewielką ilością zarobionych pieniędzy mogłam już wynająć pokój i wreszcie stać się niezależna. Moja starsza siostra Sandra miała wtedy chłopaka, który pochodził z Włoch. To on pomógł mi w zapłaceniu pierwszego czynszu.

- Myślisz, że dobrze robię? - zapytałam go, gdy staliśmy na środku mojego nowego małego pokoju.

- Oczywiście, że tak - odpowiedział. - Nigdy nie powinnaś tam wracać. Będiesz tu o wiele szczęśliwsza.

47

Zachęczone moim przykładem, zarówno Sandra, jak i Trący odeszły z domu niedługo po mnie. Od chwili ucieczki czułam się szczęśliwa, a po jakimś czasie mogłam już nawet odwiedzić matkę, by spróbować zbudować nowy, bardziej dojrzały związek. Nigdy jednak nie można było < powiedzieć, że stałyśmy się sobie bliskie. Mój pierwszy chłopiec, Karim, studiował na Watfordj University. Miałam wtedy szesnaście lat, a on całkowicie] zawrócił mi w głowie. Był niezwykle przystojnym Jordańczykiem, polubiliśmy się od pierwszego spotkania. Na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych wielu młodych Arabów przyjeżdżało na studia do Wielkiej Brytanii i wszyscy chętnie umawiali się z miejscowymi dziewczynami. Wielu z nich pochodziło z krajów, w których dziewczynki po ukończeniu dwunastego roku życia, aż do chwili wydania ich za mąż za mężczyznę wybranego przez rodziców, chodziły zasłonięte od stóp do głów. Niewielu z tych młodych mężczyzn w ogóle było na randce przed przyjazdem do Wielkiej Brytanii. Kiedy odkrywali, że tutejsze dziewczęta chętnie wiążą się z nimi bez ślubu, a w dodatku na spotkania z nimi nie trzeba zabierać osób towarzyszących, musieli czuć się jak w niebie. Niektórzy z nich jednak, gdy poznawali dziewczynę, zaraz myśleli o ślubie. Być może wynikało to ze sposobu wychowania - mieli wpojone, że należy ożenić się z kobietą, z którą się sypia.

Niektórzy, po skończeniu studiów, chcieli zostać w Wielkiej Brytanii, a wiedzieli, że małżeństwo z obywatelką tego kraju zapewni im prawo przebywania tu. Ośmielę się też powiedzieć, że byli i tacy, którzy korzystali z okazji, by zbuntować się przeciw swoim rodzicom. Chcieli zaszokować bliskich przywożąc do domu przemądrzałą dziewczynę z Zachodu ostentacyjnie pokazać ją starszym członkom rodziny.

48

^usiałyśmy wydawać się im tak egzotyczne jak oni am, a tak naprawdę żadne z nas nie miało pojęcia o kulturze partnera, nie byliśmy przygotowani do podejmowania rozsądnych decyzji dotyczących wspólnej przyszłości. Skąd mieliśmy to wiedzieć? Byliśmy przecież jeszcze dziećmi, chociaż te w pewnym wieku potrafią się wpędzić w sytuacje charakterystyczne dla dorosłych. Niektóre dziewczęta zachodziły w ciążę, inne godziły się wyjść za mąż za buńczucznych, czarujących i na pozór bogatych młodych mężczyzn, nie mając najmniejszego pojęcia o konsekwencjach swojej decyzji. Zazwyczaj po upływie kilku lat takie pary dochodziły do wniosku, że popełniły błąd, ale wtedy często było już za późno, by uniknąć tragedii, gdyż na świecie pojawiły się dzieci.

Naprawdę lubiłam Karima i gdy zaproponował, żebyśmy pojechali do Jordanii, bym poznała jego rodzinę, pomyślałam, że to świetny pomysł. Nic nie trzymało mnie w kraju i miałam wielką ochotę poznać nowe miejsca i zdobyć nowe doświadczenia. Bardzo chciałam zwiedzić kraje, o których ci chłopcy z zachwytem opowiadali i dowiedzieć się, jak naprawdę żyli przed przyjazdem do mojej ojczyzny. Chciałam też poznać kulturę, w jakiej wychowano Karima. Byłam przekonana, że jest ona zupełnie inna od wszystkiego, czego do tej pory doświadczyłam w Wielkiej Brytanii. Nie czułam się związana z moją rodziną i bardzo chętnie zostawiłam ją, by poszukać czegoś lepszego.

Zdawałam sobie sprawę, że Karim i ja możemy kiedyś się pobrać, ale na razie nie było mi spieszo do małżeństwa. Odpowiadał mi nasz dotychczasowy związek.

Chciałam jedynie cieszyć się swoim chłopakiem bez zamartwiania się o przyszłość, ani podejmowania jakichś zobowiązań. Zawsze gdy zaczynał do tego podchodzić

4Q

zbyt poważnie, rozśmieszałam go i szybko zmieniałam temat rozmowy. Może właśnie dlatego, że nie zobowiązałam się spędzić z nim reszty swojego życia, tym bardziej mi na nim zależało. Chociaż go zwodziłam, jego zainteresowanie mną wcale się nie zmniejszało.

Po przyjeździe do Jordanii wszystko okazało się tak egzotyczne, jak się tego spodziewałam i od chwili, gdy wysiedliśmy z samolotu, poczułam się zauroczona. Pokochałam gorące powietrze i wszechobecny charakterystyczny zapach oraz ruchliwe ulice, którymi przejeżdżaliśmy w drodze z lotniska. Wszyscy członkowie rodziny wykonywali swe zajęcia na zewnątrz domów w słońcu lub w cieniu parasoli i drzew palmowych. Wszystko było takie inne. Karim i jego domownicy okazali mi wiele troski i życzliwości. Ktoś z jego rodziny czekał na nas na lotnisku i razem wyjechaliśmy poza miasto w piękną wiejską okolicę, gdzie rodzina Karima miała swoją posiadłość.

Jego rodzinny dom nie przypominał żadnego innego domu, jaki kiedykolwiek widziałam. Odróżniało go nie tylko to, że zbudowany był w typowo jordańskim stylu, tak by wewnątrz utrzymać chłód i pomieścić dużą rodzinę, ale też dlatego, że był pełen dbających o siebie, szanujących się nawzajem łagodnych ludzi. Panowała tam zupełnie inna atmosfera niż w moim domu, w którym ciągle narzekanie i urazy, złość i kary fizyczne były czymś normalnym. Tutaj nikt nikogo nie beształ, nie krzyczał, ani nie obmawiał drugich za ich plecami. Wszyscy śmiali się i obejmowali, okazując swoje emocje oraz dzielili się ze sobą tym, co mieli. Młodzi i starzy spożywali wspólnie posiłki i rozmawiali ze sobą jak równy z równym. Stanowili zgodną, ciepłą i kochającą się rodzinę. Skoro tak wyglądało życie muzułmanów, to ja zdecydowałam, że chcę je z nimi dzielić.

50

Budynek był bardzo obszerny, stał pośrodku małej wioski otoczony pięknymi ogrodami na zupełnym pustkowiu, y/e wszystkich okolicznych domach mieszkali członkowie rodziny Karima. Ta mała społeczność połączona była więzami krwi i historią. Wszyscy się znali i kochali, a obcy ludzie, tacy jak Ja- przyjmowani byli z wielkimi honorami. Zatrzymałam się w domu jednego z wujów Karima, który mieszkał w tej samej wiosce. Większość czasu jednak i tak spędzałam w głównym domu, pomagając innym kobietom, gdy mi na to pozwalały, albo tylko słuchając ich i rozmawiając z nimi. Wszyscy byli dla mnie cudowni, okazali mi niezwykłą gościnność, od rana do wieczora mogłam cieszyć się wspaniałym jedzeniem i zapachami. Od przyjazdu byłam jak zaczarowana. Po raz pierwszy w życiu poczułam się akceptowana i całkowicie zaangażowana we wszystko, co się wokół mnie działo. Karim już otwarcie mówił, że chce się ze mną ożenić, a jego rodzina bardzo nas do tego zachęcała. Wyglądało na to, że podobam im się jako przyszła synowa. Ich entuzjazm mi schlebiał, ale wciąż nie chciałam podejmować pochopnych decyzji. Zdawałam sobie sprawę, że jestem jeszcze bardzo młoda i naiwna, i łatwo mogę ulec ich zachętom. Było jeszcze tak wiele rzeczy, które chciałam odkryć przed założeniem rodziny - cały świat, którego jeszcze nie poznałam. Wiedząc, jak wyglądało



małżeństwo moich rodziców, dość niechętnie podchodziłam do tak poważnych zobowiązań. Nie chciałam popełnić takiego samego błędu.

Mieszkając tam, zaczęłam dogłębnie studiować religię islamu i powoli zmieniałam swoje poglądy praktycznie na każdy temat. Wszystko co czytałam i słyszałam, wydawało mi się dobre. Muzułmanie mieli znacznie zdrowsze i łagodniejsze podejście do życia niż chrześcijanie, których znałam w dzieciństwie. Zaczęłam sobie nawet wyobrażać,

5/

jak wychodzę za Karima i staję się członkiem jego rodziny! żyjąc w pełnym szczęściu i zadowoleniu. Powoli podjęcie! takiego zobowiązania przestawało mnie przerażać. W Jor-I dani czułam się jak w domu i już widziałam siebie miesz-l kającą w tej pięknej i przyjaznej krainie do końca życia wychowującą dzieci w kochającej wielopokoleniowej rodzi-l nie. Nieśmiały głos wewnętrzny podpowiadał mi jednak że powinnam zaczekać. Ostrzegał mnie, że jestem zbyt młoda na tak poważny krok. Z każdym mijającym miesi-1 cem głos ten jednak stawał się coraz słabszy.

Mieszkałam tam przez rok, a Karim coraz bardziej do-j magał się podjęcia przeze mnie decyzji w sprawie ślubu! Już prawie się zgodziłam, choć miałam dopiero siedemna-j ście lat, gdy dowiedziałam się, że z Wielkiej Brytanii maj przyjechać jego brat wraz z żoną, która pochodziła z Walii. Bardzo chciałam zobaczyć nowe twarze, a poza tym koniecznie porozmawiać z kobietą, która podjęła już decyzję, nad którą ja wciąż się zastanawiałam.

Gdy wreszcie ją poznałam, byłam zszokowana jej wy-1 głądem i sposobem zachowania. Ubrana była w brązową męską koszulę, nie nosiła biżuterii, nie miała też makijażu. Wyglądała na styranizowaną i nieszczęśliwą kobietę. Przyglądałam się jej relacjom z mężem i zdecydowanie nie chciałabym żyć w takim związku. On był ciągle w centrum uwagi, a jej rolą było spełnianie jego życzeń. Nie chodziło o to, że był złym człowiekiem, nie, ale takie zachowanie było postrzegane jako całkowicie naturalne - tak po prostu miało być. Wciąż kochałam Karima, ale teraz zaświeciła mi się w głowie ostrzegawcza czerwona lampka. Czy tak samo będzie mnie traktował, gdy zostanę jego żoną? Czy za kilka lat też będę styranizowaną kobietą, tak jak jego szwagierka?

52

Spędziłam mnóstwo czasu, zastanawiając się, jak wy-hrać z tej sytuacji. Z jednej strony bardzo chciałam należeć do kochającej się rodziny i mieszkać w tej wspaniałej części świata, ale z drugiej strony niepokoiłam się utratą wolności tak młodym wieku. Mało jeszcze znałam otaczającą mnie rzeczywistość. Podczas jednej z bezsennych nocy rozważałam: jeśli przyjazd do Jordanii miał być doświadczeniem otwierającym mi oczy na wiele rzeczy, to być może jest wiele innych miejsc, które uznam za jeszcze bardziej ekscytujące i pouczające. Zaczynałam zdawać sobie sprawę, że jestem wciąż za młoda na podjęcie tak poważnego kroku i zupełnie nieprzygotowana do małżeństwa. Byłam dość próżna i lubiłam się stroić. Zrozumiałam, że jeszcze nie chcę z tego zrezygnować po to, by stać się styranizowaną żoną i matką. Tak naprawdę wcale nie byłam pewna, czy w ogóle chcę wychodzić za mąż, skoro miałoby to oznaczać przyjęcie roli służącej własnego męża. Po roku spędzonym w Jordanii uznałam, że nadszedł czas, by poznać samą siebie i

otaczający mnie świat. Zarezerwowałam bilet na samolot do Wielkiej Brytanii, udając, że jadę odwiedzić rodziców. W głębi serca wiedziałam, że już tu nie wrócę. Jednak to, czego się dowiedziałam o sposobie życia muzułmanów i ich kulturze, zapadło mi na zawsze głęboko w pamięć. Może nie znalazłam jeszcze mężczyzny, z którym chciałabym spędzić resztę swojego życia, ale dokonałam wyboru religii dla siebie i swoich dzieci. Wychowywano mnie w duchu ateistycznym i teraz cieszyłam się, że wreszcie w coś wierzę. Nauczyłam się też języka, którego nigdy nie zapomnę, a umiejętność posługiwania się nim pomogła mi w późniejszych latach podróżować po Afryce. Wróciłam do Wielkiej Brytanii o wiele mądrzejsza i bardziej zrównoważona.

53

Choć powiedziałam, że wyjeżdżam tylko w odwiedziny do rodziców, zaraz po przyjeździe do kraju wyznałam Ka-rimowi, że nie mogę za niego wyjść. Okazał bardzo dużo zrozumienia i przebaczył mi. Później zawsze, gdy przyjeżdżał do Wielkiej Brytanii, spotykaliśmy się, nie mogliśmy o sobie zapomnieć. Żadne z nas nie chciało się rozstawać, ale w głębi duszy wiedzieliśmy, że kiedyś będziemy musieli pójść własnymi drogami. Wydaje mi się, że wiedział, iż poślubienie go nie byłoby dla mnie dobre, ale jeszcze przez jakiś czas łudził się nadzieją.

Poślubienie Karima, zamieszkanie z jego rodziną i prowadzenie takiego życia jak jego matka, babka i kobiety żyjące w poprzednich pokoleniach wydawało się bardzo proste - nie uważałam jednak, żeby było dla mnie odpowiednie.

Niedawno, gdy byłam w Jordanii podczas jednej z moich misji, odwiedziłam jego rodzinę. Nic się nie zmienili. Byli tak samo gościnni i kochający, jak ich zapamiętałam. Ka-rim ma teraz szczęśliwą rodzinę - żonę i dzieci. Nie żałuję swojej decyzji. Było to dla mnie najcudowniejsze miejsce na świecie, w którym spędziłam rok swojego młodego życia, ale nie mogłabym zostać tam na zawsze. W pewnym momencie chciałabym od życia więcej niż całkowitego spokoju. Gdybym przez ostatnie dwadzieścia lat mieszkała na tym pustkowiu, ważyłabym pewnie ponad sto kilogramów, a Karim zostałby największym pantoflarzem świata.

Nawet po tylu latach potrafiłam bez mapy odnaleźć jego dom. Czułam, jakbym wracała do swojego domu, do korzeni, do miejsca, w którym rozpoczęłam życie jako muzuł-manka - właśnie tam przestałam być smutną brytyjską dziewczynką z nieszczęśliwego domu.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Scarlet Pimpernel



Po tym jak pomogłam Mary w odnalezieniu i odzyskaniu Leili, w środowisku muzułmańskim na West End w Londynie szybko rozeszła się wieść, że jest ktoś gotów pomagać zrozpaczonym matkom, gdy nikt inny nie chce ich nawet wysłuchać. Chociaż Mary wyprowadziła się z tej okolicy, jej przyjaciele i krewni musieli przekazywać informację o tym, że Leila wróciła razem z mamą i że została wykradziona przez muzułmankę pochodzącą z Wielkiej Brytanii, która w dodatku nie żądała za to zapłaty.

Zaczęły kontaktować się ze mną różne kobiety, prosząc o pomoc w odzyskaniu dzieci. Przychodziły we własnym imieniu albo w imieniu swoich przyjaciółek lub

krewnych. Byłam przerażona tym, jak wiele dzieci jest uprowadzanych przez ojców. Wyglądało to tak, jakby połowa mieszanych małżeństw rozpadła się nagle w tym samym momencie. Za każdym razem, gdy te zdesperowane kobiety opowiadały mi o swoich tragediach, widziałam ten sam wzorzec zachowania mężczyzn, który tylko od czasu do czasu czymś się różnił. Czasami kobiety, podobnie jak Mary, żyły w przeświadczeniu, że w swojej rodzinie mogą czuć się bezpiecznie. Jednak pewnego dnia budziły się i okazywało się, że ich mężowie zniknęli razem z dziećmi. Te przypadki były najtragiczniejsze, ponieważ kobiety nie

55

wiedziały, gdzie popełniły błąd. Nie dana im była możliwość zmiany zachowań, by mogły uniknąć najgorszego. Gdyby tylko ich mężowie zwrócili im uwagę na to, co powinny zmienić, z pewnością by to zrobiły, by zatrzymać: przy sobie dzieci i uratować małżeństwo. Żaden jednak tego nie powiedział. Może gdyby były mniej uległe, takie wydarzenia nie miałyby miejsca.

Inne kobiety czuły wprawdzie, że ich małżeństwo niej układa się najlepiej i być może nawet były współwinne rozpadowi rodziny, ale nigdy nie spodziewały się takiego roz-1 waju wypadków. Wychowane były przecież w kraju, w którym po rozwodzie opiekę nad dzieckiem prawie zawsze przyznaje się matkom. Były wśród nich takie, które zachowywały się nieodpowiednio, pijąc, biorąc narkotyki lub nawet zdradzając swoich mężów. Mogłam nie pochwalać ich postępowania, ale bez względu na to, jak wyglądały ich związki, nigdy nie wydawało mi się, by zasłużyły na odebranie im dzieci.

Za każdym razem, gdy mi się zwierzały, rozpoznawałam pewne sygnały, wysyłane wcześniej przez ich mężów, świadczące, że nie są oni zadowoleni czy to z życia w Wielkiej Brytanii, czy z małżeństwa, albo boją się, że ich dzieci wystawiane są na niebezpieczne wpływy zachodniej kultury. Gdy zostawali ojcami, szczególnie dziewczynek, ich liberalne do tej pory poglądy na życie, radykalnie się zmieniały. Przedtem widok skąpo ubranych i umalowanych dziewcząt w dyskotekach i klubach mógł im absolutnie nie przeszkadzać - choć piły alkohol, czy paliły papierosy. Nie chcieli jednak nawet myśleć o tym, że ich córki mogłyby się podobnie zachowywać. Większość rodziców krajów zachodnich codziennie strofuje swoje dzieci, by doprowadzać je do porządku. Mężczyźni pochodzący z krajów muzuł-

50

mańskich mają jeszcze inne wyjście: mogą wywieźć córki do rodzinnego kraju, którego kultura będzie je chronić. My-śliCi że niektórzy ojcowie z Zachodu też mieliby czasem ochotę podobnie postąpić ze swoimi córkami.

W niektórych przypadkach małżeństwa rozpadały się jeszcze przed porwaniem dziecka, a kobieta wyprowadzała się do nowego partnera. Ojcowie nie mogli znieść myśli, że ich dzieci są pod opieką innego mężczyzny, szczególnie, gdy nie był on muzułmaninem i miał europejskie poglądy na temat wychowywania dzieci. Mogę sobie wyobrazić, jak musieli być zdesperowani. Wiem, że chcieli dla swoich dzieci jak najlepiej, a to dawała możliwość dorastania w ich dużych kochających rodzinach. Wciąż jednak stoję po stronie kobiet. Choć współczuję tym mężczyznom i rozumiem ich rozterki, to jednak nie wydaje mi się, aby cokolwiek usprawiedliwiało odebranie matkom dzieci. Poza tym w większości przypadków małym dzieciom bardziej

potrzebna jest matka niż z ojciec, bez względu na to jak dobre miałyby intencje i jak bardzo by je kochał.

W każdym razie w środowisku, w którym się obracałam, rozeszła się wieść, że chętnie pomagam kobietom w odzyskaniu ich ukochanych dzieci. W przeciwieństwie do organizacji charytatywnych i innych, które zostały powołane po to, by służyć pomocą w takich przypadkach, ja naprawę byłam gotowa do działania. Każda grupa ludzi, która chce zostać zarejestrowana, musi co do joty przestrzegać skomplikowanego prawa międzynarodowego. Nawet jeśli matka, która się zwraca do nich o pomoc, ma prawo po swojej stronie, procedury trwają miesiącami, czasem nawet latami, zanim organizacje te mogą rozpocząć konkretne działania. Żadna matka nie zrozumie tego, że musi przebywać z dala od swojego dziecka przez

57

tak długi czas tylko dlatego, że prawo działa powoli. Rozeszła się fama, że ja nie czuję się ograniczona takimi formalnościami i najpierw działałam, a dopiero potem zastanawiam się nad tym, jakie przepisy złamałam. Wiadomo też było, że nie chcę zapłaty za pomoc. Tymczasem niektóre organizacje założone przez byłych żołnierzy SAS i innych jednostek wojskowych żądały tysięcy funtów za swoje usługi, nie dając żadnych gwarancji na to, że przyniosą one pożądaną rezultaty. Wiele zamożnych kobiet straciło w tych organizacjach majątek.

Matki, które do mnie przychodziły, były już na skraju wytrzymałości. Zwykle wcześniej wykorzystały już wszystkie inne możliwości, większość z nich zwracała się o pomoc do mediów i nie miały pojęcia, kto jeszcze mógłby im pomóc. Wtedy zdałam sobie sprawę z tego, że zyskując sławę kobiety porywającej dzieci, narażam siebie oraz własną rodzinę na niebezpieczeństwo i powinnam podjąć pewne środki ostrożności. Nie chciałam, żeby jakiś wściekły ojciec zjawił się w moim domu w środku nocy, więc postarałam się, aby jak najmniej osób znało moje nazwisko albo adres. Każdemu, kto się do mnie zwracał o pomoc, przedstawiałam się jako „Dee”. To ja zawsze dzwoniłam z telefonu komórkowego, a mój numer znało niewiele osób. Wolałam zbierać numery telefonów zainteresowanych i sama do nich dzwonić, aby chronić swą prywatność i zapewnić sobie bezpieczeństwo.

Pomimo zastosowania wszystkich tych środków ostrożności, jednak wiele kobiet potrafiło do mnie jakoś dotrzeć. Nawiązywały kontakt poprzez wspólnych znajomych, błagały o pomoc spotkawszy mnie na ulicy lub przed szkołą, skąd odbierałam moje dzieci. Brałam od nich numery telefonów i obiecywałam oddzwonić. Nie potrafiłam im odmó-

58

wić, a jeśli mówiłam, że zadzwonię, zawsze dotrzymywałam słowa. W efekcie tego pod koniec każdego kwartału dostawałam rachunek za telefon w wysokości czterystu funtów. Nigdy nie obciążałam nikogo żadnymi kosztami. Kobiety zwracające się do mnie o pomoc musiały jedynie pokryć wydatki związane z podróżą, na przykład kupić bilety lotnicze, zapłacić za taksówki i noclegi w hotelach.

Mój mąż, Mahmud, zawsze mnie wspierał - nie byłabym w stanie niczego zdziałać, gdybym nie miała pewności, że mogę spokojnie zostawić dzieci pod jego opieką nawet na kilka tygodni. Znał mnie dobrze i zdawał sobie sprawę, że gdy już się czegoś podejmę, nic nie może mnie powstrzymać. Wiem, że gdybym nie pomogła

tym kobietom, nie zrobiłby tego nikt inny. Do końca życia pozostałyby bez swoich dzieci, a ja nie potrafiłabym pogodzić się z tak jawną niesprawiedliwością, jak mogłabym się od nich odwrócić?

Następna misja, której się podjęłam, polegała na odzyskaniu dziecka uprowadzonego do Maroka. Było ono mniej więcej w wieku Leili. Ofiarami porwań są zazwyczaj pięcioletnie- lub sześciolatki - w tym właśnie wieku muzułmańscy ojcowie zaczynają mieć obiekcje, że ich dzieci wychowywane są w zepsutym zachodnim świecie. Niekiedy poszukiwałam również starszych dzieci, ale nigdy nie proszono mnie o pomoc w odnalezieniu niemowlęcia, zresztą wątpię, czy byłoby to w ogóle możliwe.

Na ogół ojcowie nie porywają dzieci, które wymagają nieustannej, troskliwej opieki matki. Chętnie przekazują wtedy obowiązki wychowania kobietom, nawet jeśli uważają, że ich żona nie jest odpowiednią matką dla starszego dziecka. Boją się, że nie poradzą sobie z malutkim dzieckiem w podróży. Prawie niemożliwe byłoby też, żeby

5Q

nie zauważono na pokładzie samolotu ojca z płaczącym niemowlęciem. Musieliby także podróżować z całym zestawem niezbędnych rzeczy: pieluszkami, specjalnym pokarmem i zabawkami, wszystko to stanowi zbyt duży problem, więc cierpliwie czekają, aż dzieci będą w takim wieku, by bez problemu móc z nimi podróżować, nie zwracając na siebie uwagi. Ale muszą być na tyle małe, by ufnie pójść z ojcem Wszędzie, gdzie je zabierze.

Dla takich ojców nie ma znaczenia, w jakim kraju wychowują się ich niemowlęta. Poza tym zdają sobie sprawę, jak trudno byłoby im samym dbać o tak małe dzieci. Zawsze chętne do pomocy babcie także boją się brać odpowiedzialność za niemowlę. Poza tym w krajach zachodnich małe dzieci mają zapewnioną znacznie lepszą opiekę medyczną.

Kobieta, która zwróciła się do mnie w sprawie wyprawy do Maroka, miała r\ a imię Debbie. Dowiedziała się o mnie od swojej przyjaciółki, a gdy udało jej się ze mną skontaktować, zgodziłam się na spotkanie. Opowiedziała mi swoją historię podczas zwyczajowej kawy w domu handlowym Whitley's. Jej małą córeczkę zabrano ze szkoły, tak jak Leilę, i wywieziono u0 Maroka. Debbie jednak była w gorszej sytuacji - nie wiedziała, gdzie mieszka rodzina jej męża. Nie miała nawet pojęcia, w którym mieście mogą przebywać. Gdy kobiety nigdy nie odwiedziły swoich teściów, nie przyswajały arabskich nazw miasteczek i wiosek, prowadziło to d0 tego, że rodzinne strony ich mężów pozostawały zamkniętą księgą- Nie zadawały żadnych pytań i nie interesow-ały się niczym poza własnym domem. Bywało i tak, że mężowie roztaczali aurę tajemniczości nad swoją przeszłością i rozmyślnie nie mówili o niej swoim żonom albo je wyręczy oszukiwali.

ÓÓ

- Zanim zaczniemy, powinniśmy mieć rozeznanie, gdzie szukać - powiedziałam. - Musimy znać przynajmniej nazwę miejscowości, aby odnaleźć rodzinę po nazwisku albo odwiedzić wszystkie szkoły, które przyjmują dzieci w tym wieku. Maroko to duże państwo, potrzebny jest jakiś punkt zaczepienia.

Debbie była rozczarowana. Może myślała, że tak jak wszyscy, do których do tej pory się zwracała o pomoc, chce ją zbyć. Pozostałam z nią jednak w kontakcie

telefonicznym i zachęcałam do ciągłego poszukiwania jakichś informacji, dzięki którym mogłybyśmy zacząć działać. Wreszcie spotkało nas szczęście. Gdy do mnie zadzwoniła, była tak podekscytowana, że mówienie sprawiało jej dużą trudność.

- Właśnie zadzwoniła do mnie moja przyjaciółka, która jest teraz na wakacjach w Maroku - wydusiła z siebie. - Przebywa w ośrodku wypoczynkowym na wybrzeżu i jest pewna, że widziała Aminę na plaży razem z rodziną.

- Więc musimy się tam jak najszybciej dostać - powiedziałam. - Z tej informacji niewiele wynika. Równie dobrze może tam być ostatni dzień. Jeśli wrócą do domu, będziemy mieli bardzo małe szanse na odnalezienie jej.

Szybkość nigdy nie stanowi problemu. W razie potrzeby mogę zaplanować podróż i dostać się w wybrane miejsce w ciągu jednego dnia, jeśli tylko istnieje wystarczająco dużo połączeń lotniczych.

Dwadzieścia cztery godziny po tamtej rozmowie znalazłyśmy się w hotelu na terenie ośrodka wypoczynkowego, w którym widziano Aminę. Debbie była tak podniecona szaleńczym tempem podróży i nadzieją ujrzenia córeczki po miesiącach rozłąki, że o mało nie wylazła ze skóry. Obie byłyśmy zmęczone, ale nie mogłyśmy stracić ani chwili. Każdą godzinę, którą dzieci spędzały na powietrzu, musiałyśmy

6/

poświęcić na poszukiwanie. Plaża nie była zbyt duża i większość maluchów widziałyśmy z balkonu naszego pokoju.

Gdy wpatrywałyśmy się w gęsty tłum kotłujący się pod nami, zrobiło mi się słabo. Jak z tak dużej odległości miałyśmy rozpoznać dziewczynkę pośród tylu podobnych do siebie? Było ich wiele - miały ciemne włosy, siedziały w piasku lub wbiegały z krzykiem w fale rozbijające się o brzeg. Przypominało to zabawę w „Gdzie jest Wally?“, w której na rysunku wśród gęstego tłumu musisz odnaleźć jedną małą postać. Debbie lustrowała plażę intensywnie skupionym spojrzeniem, jakby chciała zmusić Aminę, by pojawiła się przed jej oczami.

- Może powinnyśmy zejść na dół i przejść się po plaży? - zaproponowałam. - Jesteśmy zbyt daleko, by móc ją wypatrzeć.

- Nie - zdecydowanie potrząsnęła głową. - Rozpoznam ją stąd.

Podziwiałam jej pewność siebie, ale nie wierzyłam w to. Uznałam jednak, że nie ma sensu spierać się, gdy jest w takim nastroju. Czekałam cierpliwie, stojąc obok na balkonie, ciesząc się słońcem i widokiem szczęśliwych ludzi spędzających tu urlop. Po południu, gdy upał nieco zelżał, więcej rodzin zdecydowało się wyjść z chłodnych pokoi hotelowych z dziećmi wypoczętymi po popołudniowej drzemce. Debbie zupełnie jak radar wciąż przeszukiwała wzrokiem teren ośrodka.

- Jeśli nie zejdziemy na dół, wkrótce zrobi się ciemno i będziemy musiały zaczekać do rana - ostrzegłam ją.

- Tam - wykrzyknęła nagle, wskazując ręką i omal nie wypadła przez barierkę. - To Amina! Tam jest!

- Gdzie? - spojrzałam we wskazanym kierunku, ale nie byłam w stanie odróżnić żadnej konkretnej osoby.

02

Z trzema kobietami i innymi dziećmi. Siedzą na krze-łach, a ona biegnie do wody z czerwonym dmuchanym Kotem. Widzisz ją?

Teraz zobaczyłam dziecko, o którym mówiła, ale było dla mnie zbyt daleko, bym mogła rozpoznać twarz.

- jesteś pewna, że to ona? - zapytałam.

- Tak. Chodź, szybko, musimy tam iść i ją zabrać \_ wbiegła do pokoju i już zakładała na głowę chustę.

- zaczekaj! - wykrzyknęłam. - jeśli teraz tam pójdziemy, dowiedzą się o naszym przyjeździe, a przecież nie przygotowałyśmy żadnej drogi ucieczki. Jak ich przestraszysz, natychmiast znikną i nigdy więcej ich nie zobaczysz. Spokojnie, trzymaj się z tyłu, a ja pójdę porozmawiać z kobietą, która ją pilnuje. Dowiem się, jak długo zamierzają tu zostać, i zorientuję się jak dużo pracy nas czeka.

Zatrzymała się na chwilę i spojrzała na mnie gniewnie. Było jasne, że chciała skrócić swoje cierpienie i jak najszybciej uściskać córeczkę. Milczałam, odwzajemniając tylko jej spojrzenie. Po chwili rozluźniła się.

- Dobrze - powiedziała. - Masz rację. Zostanę gdzieś z tyłu i zakryję twarz.

Wyszłyśmy na drogę od strony morza, kierując się w stronę plaży. Ze wszystkich sił starałyśmy się zachowywać tak swobodnie jak otaczający nas turyści. Debbie usiadła w pewnym oddaleniu od grupy, w której bawiła się jej córka, a ja podeszłam do niej bliżej. Przez kilka minut przyglądałam się, jak Amina bawi się w wodzie z kilkorgiem starszych dzieci, zapewne kuzynami. Zachowywali się wobec niej bardzo uprzejmie, jakby była ulubienicą całej rodziny. Ona zaś, jak wszystkie dziewczynki, które wiedzą, że znajdują się w centrum zainteresowania, zachowywała się apodyktycznie. Jedna z kobiet, starsza od dwóch pozostałych, wyraźnie

63

sprawowała rządy. Nasze spojrzenia spotkały się i jednocześnie uśmiechnęłyśmy się do siebie.

- Jaka śliczna mała dziewczynka - powiedziałam. - To pani córeczka?

- Moja wnuczka - odpowiedziała, pusząc się z dumy. - Uwielbia morze.

- Czuje się tutaj jak w domu - zauważyłam. - Mieszkacie w tym mieście?

- Nie, jesteśmy tu na wakacjach. Pojutrze wracamy do domu.

- Będzie ci przykro wyjeżdżać z nad morza - powiedziałam do Aminy, która przybiegła pokazać babci jakiś skarb, który znalazła w morzu.

- Babcia mówiła, że będziemy na plaży cały dzień - powiedziała, wypinając swą wątlą pierś, jakby chciała sprowokować mnie lub swoją babcie do tego, byśmy temu zaprzeczyły.

- Tak, Amino - starsza kobieta roześmiała się i czule uścisnęła ubrudzoną piaskiem rączkę małej. - Cały dzień spędzimy nad wodą.

Pogawędziłam jeszcze przez chwilę z pozostałymi kobietami, a potem pożegnałam się z nimi. Powoli skierowałam się do drogi oddzielającej plażę od hotelu. Po chwili Debbie poszła w moje ślady. Dogoniła mnie, gdy wchodziłam do hotelu.

Zauważyłam, że płakała, ale nie była przygnębiona. Wpadła w histeryczną radość - odnalazła córeczkę, a myślała, że straciła ją już na zawsze.

- Czego się dowiedziałaś? - zapytała, gdy wchodziłyśmy do hotelu.

- Jutro będą na plaży - zrelacjonowałam - ale następnego dnia. wracają do domu,

więc musimy działać szybko.

- Co zrobimy?

64

Trzeba zorganizować samochód, który będzie na nas zekać - wyjaśniłam. - Musimy też kupić bilety na popołudniowy samolot.

Następnego dnia rano poszłam porozmawiać z taksówkarzami, którzy chronili się w cieniu nieopodal naszego hotelu. Jeden z nich wydał mi się godny zaufania, więc poprosiłam go, by zarezerwował dla mnie cały dzień. Chętnie się zgodził i dał mi numer swojego telefonu. Miałam zadzwonić, gdy będę gotowa.

\_ Musi pan przyjechać w ciągu kilku minut od mojego telefonu - ostrzegłam go.

- jasne - uśmiechnął się uspokajająco. - Nie ma problemu.

Obserwowałyśmy plażę z naszego balkonu i gdy tylko zauważyłyśmy Aminę z rodziną, zeszyfśmy nad wodę. Debbie ponownie zakryła twarz i usiadła w tym samym miejscu co wczoraj. Tym razem ja także zasłoniłam twarz chustą i usadowiłam się pomiędzy nią a rodziną Aminy, tak aby słyszeć, co mówią. Debbie nie знаła arabskiego. Opiekunki dziewczynki nie zwracały na mnie najmniejszej uwagi, nie próbowały nawiązać rozmowy.

Ranek minął na zabawach dzieci i rozmowach pilnujących je kobiet. Po jakimś czasie jedna z nich stwierdziła, że jest głodna, a inne jej zawtórowały. Zaczęły zastanawiać się nad tym, co chciałyby zjeść. Zorientowałam się, że planowały kupić kanapki ze stojącego niedaleko straganu.

- Zaraz pójdą po coś do jedzenia - szepnęłam do Debbie. - To może być najlepsza okazja. Teraz będą roztargnione.

Czekając, aż kobiety zdecydują, dokąd pójść, poczułam w żołądku znajome uczucie strachu. Amina nadal była na brzegu i próbowała zbudować z piasku zamek, który wciąż niszczyły fale. Starsze dzieci pływały nieco dalej w morzu

05

i wydawało się, że nie zwracają uwagi na nią ani na nikogo na plaży. W końcu opiekunki podjęły decyzję i wstały, rozsypując piach zebrany na sukniach. Spojrzały w kierunku morza, by sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, a następnie skierowały się do odległego o dwadzieścia metrów baru z kanapkami.

- Szybko - syknęłam do Debbie. - Zabierz ją do pokoju, a ja do was dołączę, gdy dowiem się, jak zareagowały. Gdy dotrzesz do hotelu, zadzwoń natychmiast po kierowcę i powiedz, że jesteśmy gotowe.

Nie trzeba jej było dwa razy powtarzać. Podbiegła do Aminy i odsłoniła twarz.

Dziewczynka upuściła wiaderko, wyciągnęła rączki i pisnęła z radości, gdy Debbie podniosła ją i mocno przytuliła. Sprawdziłam, czy kobiety przy straganie coś zauważyły bądź usłyszały, ale wszystkie patrzyły na sprzedawcę, gestykulując i wskazując na jedzenie, wyjaśniały co chcą kupić. Dzieci bawiące się w morzu były zbyt zajęte chlapaniem się, by widzieć, jak Debbie odchodzi z Aminą wiszącą na jej ramieniu jak mała małpka. Na miejscu, w którym przed chwilą się bawiła, pojawiły się inne dzieci.

Wycofałam się w bardziej zatłoczone miejsce, by móc obserwować rozwój wypadków, nie rzucając się jednocześnie w oczy. Gdy kobiety wracały z jedzeniem, wymieniając między sobą uwagi na temat swoich zakupów, Debbie przeszła już co



najmniej sto metrów w kierunku hotelu. Ubrana była w długą, luźną suknię i z tyłu nie było widać, że niesie na rękach dziecko. Kobiety usiadły i rozpoczęły posiłek, dzieląc się jedzeniem. Jedna z nich machnęła w stronę dzieci bawiących się w wodzie, by przyszły na lunch. Następnie babcia gromkim głosem zapytała, gdzie jest Amina. Pozostałe kobiety rozejrzały się, z początku

66

nie zaniepokojone, bardziej zainteresowane jedzeniem. Wszystkie przez chwilę przeszukiwały wzrokiem plażę, a następnie wstały, by mieć lepszy widok. Zakryły dłońmi oczy przed słońcem i zaczęły systematycznie przeglądać dalsze części plaży. Im bardziej były poruszone, tym głośniej się zachowywały. Pobiegły w kierunku morza, krzycząc, by pozostałe dzieci natychmiast z niego wyszły i zaczęły szukać Aminy. Spojrzałam niespokojnie w stronę drogi, ale po Debbie nie było już śladu. Udało jej się dotrzeć bezpiecznie do hotelu.

Tymczasem na plaży panowała już całkowita panika. Kobiety przeszukiwały wzrokiem morze, zakładając, że Amina zapewne utonęła. Pozostałe dzieci wyszły już z wody i teraz otrzymywały burę za niedopilnowanie młodszej kuzynki. Ludzie na plaży zauważyli panujący zamęt i wdali się w dyskusję, radząc, co należy teraz zrobić. Z uwagą słuchałam, co mówiono, ale najwyraźniej nikt nie zwrócił uwagi na Debbie, która wzięła ze sobą dziewczynkę. Babcia rozplakała się i zrobiło mi się jej żal. Widać było, że kochała Aminę. Miałam nadzieję, że za jakiś czas dowie się, że jej wnuczka jest bezpieczna i mieszka ze swoją mamą. Mogłam sobie wyobrazić, jak strasznie czułaby się, gdyby myślała, że dziecko, będące pod jej opieką, utonęło. Nawet gdyby poznała prawdę, wciąż czułaby się odpowiedzialna za to, że pozwoliła Debbie wykraść Aminę sprzed jej nosa. Bardzo chciałam ją pocieszyć i powiedzieć, że nic złego się nie stało, ale wiedziałam, że nie mogę tego zrobić. Naraziłabym w ten sposób na niebezpieczeństwo całą naszą misję.

Nikt nie zwracał na mnie uwagi - byłam kolejną anonimową kobietą z zakrytą twarzą, poza tym nie miałam przy sobie dziecka. Wymknęłam się i dołączyłam do Debbie i Aminy, które siedziały w hotelowym pokoju.

61

- Kierowca jest pół godziny drogi stąd - powiedziała Debbie, gdy tylko weszłam. Musiała być w strasznym stresie, który potęgował stan uniesienia po odzyskaniu Aminy. - W takim tempie nie zdążymy na samolot.

- Dlaczego dojazd ma zająć mu pół godziny? Powiedziałam, żeby był gotów cały dzień.

- Pewnie wydaje mu się, że tak właśnie jest.

Nic nie mogłyśmy zrobić. Było za późno, by szukać innego kierowcy i liczyć na jego dyskrecję. Zeszłam na dół z bagażami, by móc wsiąść do samochodu od razu po jego przyjeździe. Na wypadek, gdyby do hotelu przyszedł ktoś pytać o zaginione dziecko, Debbie i Amina zostały w pokoju. Widziałam, że na plaży wciąż jeszcze panuje zamęt. Wezwano policję i funkcjonariusze dołączyli do grupy wykrzykujących coś i gestykulujących ludzi. Panował tam całkowity chaos. Wcześniej czy później powinni jednak zacząć poszukiwania wzdłuż drogi i w okolicznych budynkach. Musiałyśmy szybko wy dostać się z hotelu.

Pół godziny minęło, a naszego kierowcy wciąż nie było. Zadzwoiłam na numer,

który mi podał i jakaś kobieta poinformowała mnie, że jest w drodze i nie powinnam się martwić. Gdy zapytałam, kiedy przyjedzie, kobieta odpowiedziała „wkrótce”. Do wylotu naszego samolotu zostały tylko dwie godziny, a następny był dopiero rano. Mogłyśmy jeszcze polecieć w inne miejsce, ale nie miałyśmy już prawie pieniędzy, a poza tym musiałybyśmy lecieć z brytyjskimi paszportami i dzieckiem do Paryża lub Amsterdamu. Do jutra rana policja mogła już rozprowadzić zdjęcia Aminy na lotniskach, chyba że uznano by, że utonęła. Wydawało się to jednak mało prawdopodobne, skoro matka dziecka była obywatelką Wielkiej Brytanii. Wkrótce powinni się domyślić, co

68

się stało. Wszystkie te myśli kłębiły mi się w głowie i nie mogłam logicznie przeanalizować sytuacji. Chodziłam w tę i z powrotem przed drzwiami hotelowymi. Wciąż nie było widać naszego samochodu i zaczynałam już zastanawiać się, czy nie złapać okazji, jednak, co by się stało, gdyby przygodny kierowca znajdował się wcześniej na plaży i wiedział, że zginęło małe dziecko? Uznałam, że nie jest to dobry pomysł.

Po godzinie od naszego powrotu objawił się niczym nie przejęty taksówkarz.

Wzruszył ramionami, gdy powiedziałam mu, co o nim myślę i wskazałam na ruch na drodze, który wydawał mi się absolutnie normalny.

Kazałam mu zapakować nasze bagaże i zaczekać dokładnie przed drzwiami hotelowymi. Zadzwoiłam do pokoju. Rachunek był już zapłacony, więc gdy Debbie z Aminą zeszły na dół, od razu wsiadłyśmy do samochodu, nie zwracając uwagi pracowników hotelu.

- Proszę nas jak najszybciej zawieźć na lotnisko - poleciłam kierowcy, gdy Debbie wsiadła z Aminą ukrytą pod połą sukni, by nikt z przechodniów jej nie zauważył.

Wzdłuż plaży wciąż stały samochody policyjne, ale tłum już się zmniejszył.

Kierowca obdarzył nas szerokim i uroczym uśmiechem, jakby nie mógł się doczekać, by spełnić nasze polecenie i spokojnie odjechaliśmy.

- Jak długo zajmie nam dojazd na lotnisko? - zapytałam.

- Godzinę, może półtorej. Zależy od tego, czy będą korki - ponownie wzruszył ramionami.

- Musimy się tam dostać tak szybko, jak tylko to możliwe - powiedziałam. - Musimy złapać samolot.

- Zostawcie to mnie - odpowiedział i wcisnął pedał gazu. Jechał bardzo szybko, chyba dwukrotnie przekraczając

dozwoloną prędkość. Bałam się, że zaraz pojawią się za

69

nami policyjne samochody na sygnale, ale jeszcze bardziej obawiałam się, że nie zdążymy na samolot, więc siedziałam cicho. Gdy wreszcie dotarliśmy na lotnisko, do wylotu ] zostało jeszcze czterdzieści pięć minut. Pobiegłyśmy szybko do stanowiska odpraw, które zaraz miało zostać zamknięte. Odprawiono nas tak szybko, że nikt nie przyjrzał się paszportom Debbie i Aminy - równie dobrze mogły podróżować z cudzy™ dokumentami. Przeprowadzono nas przez terminal i do samolotu, w którym za chwilę zamknięto drzwi.

Podczas startu, a nawet jeszcze wtedy, gdy pod nami widać było morze, ca<sup>^</sup> trzęsłam

się ze zdenerwowania. Amina wesoło rozmawiała ze stewardesą, a Debbie patrzyła na nią z dumą. Na jej twarzy pojawił się matczyzny uśmiech pełen ulgi. Takiej reakcji nie widziałam nigdy wcześniej. Wydawało się, że w ciągu kilku minut ubyłoby jej dziesięć lat.

W moich żyłach zamiast krwi wciąż pulsowała adrenalina. Wzięłam kilka głębokich wdechów, by się nieco uspokoić. Po raz drugi u(ła)ło mi się oddać matce dziecko. Miałam wrażenie, że jestem niepokonana. Czułam się jak Scarlet Pimpernel, fikcyjna osiemnastowieczna bohaterka, która ratowała francuskich arystokratów przed śmiercią na gilotynie i zapewniała im ucieczkę do Wielkiej Brytanii.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

### Moja pierwsza ucieczka

■  
Odkąd w wieku piętnastu lat opuściłam rodzinny dom i wzięłam los we własne ręce, stosunki między mamą a mną zdecydowanie się polepszyły. Żadna z nas tak do końca nie akceptowała drugiej, ani nie zamierzała przebaczyć czy zapomnieć krzywdzących słów i czynów, ale byłyśmy już w stanie spędzać ze sobą trochę czasu. Czasami nawet jechałyśmy na wspólne wakacje, jak przyjaciółki - no, prawie. Ahmeda spotkałam podczas urlopu w Tunezji, niedługo po moim powrocie z rocznego pobytu w Jordani. Powszechnie znane są przestrogi przed wakacyjnymi romansami, ale przez to wcale nie stają się one mniej atrakcyjne. Gdy zrelaksowana i zadowolona znajdujesz się w egzotycznym kraju, życie wydaje się zupełnie inne i nie potrafisz odpowiednio ocenić napotkanych ludzi. Robi się wtedy takie rzeczy, które w normalnym szarym życiu nigdy nie przysłyby do głowy. Nawiązuje się przyjaźnie z osobami, na które nie zwróciłoby się uwagi w normalnych warunkach, gdy jesteśmy zajęci problemami życia codziennego. Ojciec Ahmeda pochodził z Kataru, a matka z dużej farmerskiej rodziny w Tunezji. On sam był drobnym, niewysokim mężczyzną, czymś jednak zwrócił moją uwagę. Miałam dziewiętnaście lat i wciąż jeszcze żywiłam uczucia do Karima, który odwiedzał mnie kilkakrotnie w Londynie

7/

po moim powrocie. Nie wiem, czy miała to być dla mnie odskocznia, w każdym razie z pewnością nie myślałam trzeźwo. Czy chciałam być niczym nie skrzepowana i nie zakochana, czy może właśnie chciałam trwałego związku i założenia rodziny? Czasami byłam pewna, że chcę wybrać pierwszą opcję, ale zaraz potem byłam równie pewna, że drugą. Nic dziwnego, takie uczucia są typowe dla dziewczyny mającej dziewiętnaście lat. Wtedy też bardzo ciężko jest sobie z nimi poradzić, szczególnie jeśli niezbyt szanuje się zdanie własnej matki i nie szuka się u niej rady. Jaki by nie był wtedy stan mojego umysłu, gdy Ahmed poprosił mnie o rękę, byłam przekonana, że jestem w nim zakochana i pragnę małżeństwa. Może spowodował to

zapach jaśminu wypełniający nocne powietrze w Tunezji, może pełne romantyzmu przejażdżki na wielbłądach wzdłuż plaży, a może było to coś więcej niż tylko wakacyjny romans. W każdym razie, zgodziłam się wyjść za niego za mąż i prawie przekonałam samą siebie, że tego pragnę.

Moja matka zachęcała mnie do małżeństwa, widząc szansę pozbycia się raz na zawsze Karima. Nigdy nie wydawał jej się wystarczająco bogaty, aby stanowić dobry materiał na mojego męża. Zdecydowanie wołała, by zastąpił go ktoś bardziej majątny. Ahmed mieszkał w dużym domu w Tunisie i jeździł bmw. Spełniał więc podstawowe wymagania, które moja matka stawiała przyszłemu zięciowi. Rodzina Ahmeda również była zachwycona ślubem, więc nie było w pobliżu nikogo, kto mógłby podsycić moje wątpliwości, które chwilami dawały o sobie nieśmiało znać. Zarówno mama jak i ja chciałyśmy urządzić oficjalne przyjęcie weselne. Rodzina Ahmeda była skłonna zapłacić za przedweselne przyjęcie urządzone w tunezyjskim stylu, a mama zamówiła dla mnie suknię ślubną z Beketexu

72

w Londynie. Do Tunisu przywiozła ją moja siostra, Sandra. Wydarzenia następowały po sobie bardzo szybko i wyglądało na to, że tym razem się nie wycofam i złożę przysięgę małżeńską.

Czułam coraz większe zdenerwowanie, ale myślałam, że tak właśnie czuje się każda panna młoda, gdy zbliża się dzień ślubu. „Wcześniej czy później musisz podjąć to zobowiązanie”, wmawiałam sobie, choć powinnam była raczej przekonywać się w inny sposób: „Na litość boską, masz dopiero dziewiętnaście lat, nie musisz podejmować żadnych zobowiązań, jeśli nie masz na to ochoty”. Zdecydowanie zbyt łatwo można dać się ponieść różnym wydarzeniom, zamiast kontrolować całą sytuację. Myślę, że tak właśnie dzieje się z wieloma Brytyjkami, które wychodzą za muzułmanów ze Środkowego Wschodu czy Afryki Północnej. Prawdopodobnie przed ślubem odczuwają niepokój i mają wątpliwości, ale po prostu zbyt trudno jest zatrzymać bieg wydarzeń, które toczą się jak lawina. Być może przyjaciele lub krewni ostrzegali je przed niebezpieczeństwami związanymi z takim krokiem, ale one nie chciały ich słuchać. Traktowały małżeństwo jako przejaw buntu i próbowały udowodnić, że przestrzegający je bliscy są ograniczonymi ignorantami i rasistami. Taka determinacja z pewnością potrafi zagłuszyć wszelkie wątpliwości. Postanowiły coś w imię miłości i nie zamierzały z tego rezygnować, bez względu na konsekwencje.

W dniu ślubu, gdy goście zebrali się na wystawne przedweselne przyjęcie, moje wątpliwości sięgnęły zenitu. Było mi słabo ze zdenerwowania. Z boku być może wyglądałam jak idealna panna młoda, ale naprawdę byłam bardzo roztrzęsiona. Miałam trudności ze skupieniem się na tym, co dzieje się wokół. Gdy siedziałam w swojej pięknej, białej

73

sukni i co chwilę przyjmowałam pocałunki od rozmaitych wujków i ciotek, miałam wrażenie że wokół mnie wirują setki osób. Wszyscy byli niezmiernie mili i tak dobrze się bawili, że nie wiedziałam, co im powiedzieć. Przyjęcie trwało w najlepsze, a mnie kręciło się w głowie. Gdy pomieszczenie było tak zapełnione gośćmi, że wydawało się, iż nie zmieści się w nim już ani jedna osoba, odwróciłam się i

zobaczyłam, jak w całej swej chwale wchodzi do niego pan młody. Przyjrzałam mu się uważnie. Właściwie nie mogłam go rozpoznać i przez chwilę nie wiedziałam, dlaczego. Nagle zorientowałam się, że na tę uroczystość wyprostowano mu włosy. Wcześniej wydawał się wątpy, ale teraz wyglądał idiotycznie. Wszystkie wątpliwości, które do tej pory nachodziły mnie dość nieśmiało, odezwały się ze zdwojoną siłą. Widok tego biednego, palącego się do ślubu głupka, wstrząsnął mną tak bardzo, że wreszcie dotarło do mnie, że popełniam ogromny błąd.

Musiałam natychmiast podjąć decyzję, w przeciwnym razie skończyłabym jako żona człowieka, który na własnym ślubie wyglądał tak głupio, że nigdy nie mogłabym myśleć o nim, nie wybuchając śmiechem - bądź płaczem. Wiedziałam, że ta cała ceremonia nie może toczyć się dalej, ale nie miałam pojęcia, jak ją przerwać. Czy powinnam wstać i oświadczyć to tłumowi gości? Najpewniej by mnie zlinczowali. Może powinnam podejść do Ahmeda i powiedzieć mu prawdę? Wtedy błagałby mnie, abym zmieniła zdanie i znalazłabym się w okropnej sytuacji. Nie miałam serca, by zniszczyć całe przyjęcie, ani odwagi, by stanąć twarzą w twarz z Ahmedem. Wstałam i jak lunatyczka zaczęłam iść w kierunku drzwi. Pozwalałam, by goście mnie czule ściskali, przytulali, podziwiali suknię i mówili, jaka jestem piękna, że Ahmed ma wielkie szczęście i życzyli mi

74

dużo pomyślności. Przedstawiano mi jakichś krewnych Ahmeda, których nigdy wcześniej nie spotkałam. Grzecznie pytałam ich, jak minęła im podróż do Tunisu, ale nie pamiętam, co odpowiadali.

Cały czas, jak we śnie, kierowałam się do drzwi, którymi przed chwilą wszedł niedoszły pan młody. To była najdłuższa droga, jaką w życiu przebyłam. Okropnie bałam się, że spotkam mojego narzeczonego i będę musiała spojrzeć mu w oczy, i zobaczę, jaki jest szczęśliwy. Dotarłam w końcu do drzwi, otworzyłam je i wyszłam na zewnątrz. Nikt nic nie powiedział, ani nie próbował mnie zatrzymać. Być może ci, którzy mnie widzieli, myśleli, że wychodzę zaczerpnąć świeżego powietrza. Część kobiet z pewnością wymieniła znaczące spojrzenia, przypominając sobie, jak zdenerwowane były podczas własnego wesela. Ostrożnie zamknęłam drzwi i gwar przyjęcia natychmiast ucichł. Pierwsze, co mi przyszło do głowy, to to, że muszę uciec z tego miejsca, zanim ktoś inny wyjdzie z sali i zapyta, co się stało. Nie byłam w nastroju do wyjaśniania czegokolwiek. Zatrzymałam taksówkę i usiadłam na brudnym siedzeniu, owijając wokół siebie zwoje białego materiału. W oknach taksówki wisiały kolorowe talizmany i symbole religijne.

Podaliśmy kierowcy nazwę najtańszego hotelu, jaki znałam. Byłam prawie pewna, że tam nikt się mną nie zainteresuje, nawet jeśli pojawię się w ślubnej sukni, bez pieniędzy i bagażu. Miałam na sobie trochę biżuterii, którą dałam kierowcy jako zaliczkę na podróż. Koniecznie chciałam odjechać, zanim Ahmed z rodziną zorientują się, że mnie nie ma i zaczną mnie szukać. Pewnie uznaliby, że źle się czuję i narobiliby wokół mnie mnóstwo szumu, aby tylko przyjęcie przebiegało bez zakłóceń. Wtedy nie miałabym szans na jakiegokolwiek wyjaśnienia.

75

Gdy kierowca ruszył, wyjrzałam przez tylną szybę, ale drzwi wciąż były zamknięte. Powinno minąć trochę czasu, zanim zorientują się, że zniknęłam. Żal mi się zrobiło

Ah-meda. Był dla mnie dobry, a ja go unieszczęśliwiłam i upokorzyłam przed rodziną i przyjaciółmi.

W hotelu zameldowałam się ubrana w ślubną suknię, ale nikt nic nie powiedział. Pokazano mi pokój i gdy tylko się w nim zamknęłam, zadzwoniłam do przyjaciół, żeby usłyszeć czyjś znajomy głos. Po kilku godzinach zatelefonowałam do mamy do hotelu. Bałam się powiedzieć, co zrobiłam, ale okazała mi więcej zrozumienia, niż się spodziewałam.

- Nie mam paszportu - lamentowałam. - Został w domu Ahmeda razem ze wszystkimi moimi rzeczami.

- Nie martw się - powiedziała. - Jakoś sobie z tym poradzimy.

Byłam wzruszona jej opiekuńczością, ale nie miałam pojęcia, jak mogłaby poradzić sobie z bałaganem, w który sama się wpakowałam.

- Nie wrócę tam - powiedziałam kategorycznie. - Chcę jechać do Londynu.

- Dobrze - próbowała mnie uspokoić. - Mam palestyńskich przyjaciół w Tunisie. Zdobę dla ciebie nowy paszport.

Nigdy nie rozumiałam, jak nawiązała kontakty z tyloma Palestyńczykami, a gdy o nich wspominała, raczej nie rozwijałam tego tematu. Teraz jednak z prawdziwą wdzięcznością przyjmowałam ich pomoc. Położyłam się i zapadłam w nerwową drzemkę. Z jednej strony czułam ulgę, że udało mi się uniknąć małżeństwa, które coraz bardziej mnie przerażało. Z drugiej jednak dręczyło mnie poczucie winy - bez zastanowienia spieszyłam do ślubu, przez co postawiłam Ahmeda w bardzo niezręcznej sytuacji.

76

Następnego dnia rano mama przyjechała do mojego hotelu, a za nią, jeden po drugim, zaczęli się zjawiać jacyś mężczyźni o ciemnej karnacji. Zostawili nam pieniądze i paszport, z którym mogłam powrócić do Wielkiej Brytanii. Kilka dni później wymknęłyśmy się po cichu z opresji.

Nigdy już nie miałam kontaktu z biednym Ahmedem ani z jego rodziną. Mam nadzieję, że udało mu się znaleźć jakąś miłą dziewczynę i jest teraz szczęśliwym mężem i ojcem gromadki dzieci. Wiem, że nie byłabym dla niego dobrą żoną. Nawet gdybym przetrwała ceremonię zaślubin, to później odeszłabym od niego i fakt zawarcia związku małżeńskiego nic by nie zmienił.

Po powrocie do Wielkiej Brytanii wciąż byłam zafascynowana arabskim sposobem życia. Ciepło słońca i ciepło bijące od ludzi głęboko zapadły mi w pamięć i sprawiały, że Londyn wydawał mi się nudny i szary. W ciągu kilku następnych lat korzystałam z każdej nadarzającej się okazji, by wyjechać na wakacje na Bliski Wschód lub do krajów północnej Afryki. Większość przyjaciół, których poznałam w tym okresie, pochodziła właśnie z tej części świata. Podczas podróży do Kuwejtu poznałam Mohammeda. W następnych latach miał zostać jednym z moich najserdeczniejszych i najbardziej zaufanych przyjaciół. Nigdy nic między nami nie zaszło, ale zawsze powtarzał, że powinnam wyjść za niego za mąż oraz że jesteśmy dla siebie stworzeni. Czasami wydaje mi się, że miał rację, ale gdybyśmy posunęli się zbyt daleko, ucierpiałyby na tym nasza przyjaźń.

Tacy przyjaciele jak Mohammed nauczyli mnie, w jaki sposób myślą Arabowie i jak podchodzą do samych siebie, do rodziny oraz do kobiet. W społeczeństwach

panuje przekonanie, że nie szanują oni pici przeciwnej. Przyczyniają się do tego historie o tym, jak okrutnie Tali-bowie traktują kobiety w Afganistanie. Jednak zgodnie z prawem islamu kobieta godna jest większego szacunku niż mężczyzna, ze względu na możliwość wydawania na świat dzieci. Życie wielu kobiet jest oczywiście bardzo ciężkie, ale mężczyznom też nie jest lekko. Niektóre są poniżane i traktowane jak przedstawicielki gorszego gatunku, ale mogą wskazać sporo tak samo poniżanych kobiet mieszkających na Zachodzie. Arabowie wielbią wręcz swoje matki i babki, a wszystkie starsze wiekiem kobiety zyskują niezwykle wysoki status w swoich rodzinach. Takie zjawisko rzadko można zaobserwować w społeczeństwach zachodnich, gdzie ludzi w podeszłym wieku traktuje się jak ciężar. Arabowie szanują także swoje siostry, a większość z nich również swoje żony i córki, jeśli tylko zachowują się one w sposób dla nich zrozumiały i odpowiadający ich normom moralnym. Gdy jednak dochodzi do spotkania z kobietami wychowanymi w Europie, z ich sposobem rozumowania, który świadczy, że nie szanują one samych siebie, tacy mężczyźni czują się zażenowani, a czasami ogarnia ich gniew. Gdy pierwsza fascynacja przemija, mężowie próbują pokazać żonom, że źle się zachowują i przekonują je, by zachowywały większą godność - tak jak ich matki i siostry. Wiele Europejek nie ma ochoty stosować się do czyichś nakazów i nie ma w tym nic dziwnego. Kultura, w której się wychowały, nie wymaga od nich pokornego słuchania rad męża odnośnie stroju, tego gdzie mogą chodzić, ani z kim się przyjaźnić. Z czasem różnice kulturowe powodują przepaść nie do przebycia, a wtedy mogą na tym ucierpieć dzieci.

ROZDZIAŁ PIĄTY II ; - <rf ;jii w

■\* :-

■: - .> . :.' ' .

■

### Zła dziewczyna

We wczesnej młodości wiele osób angażuje się w nieodpowiednie związki i robi różne głupie rzeczy - tak przynajmniej było w moim przypadku. Czasem takie postępowanie może prowadzić do nieszczęścia, szczególnie gdy młodzi ludzie zbyt wcześnie zawierają związki małżeńskie i mają dzieci. Takie doświadczenia składają się na proces dorastania, dowiadywania się, kim naprawdę jesteśmy oraz poznania własnych ograniczeń.

Wkrótce po powrocie z wakacji spędzonych w Kuwejcie moja młodsza siostra, Trący, podwoziła mnie swoim samochodem do centrum Londynu, a razem z nami była też nasza mama. Po drodze zatrzymałyśmy się na stacji benzynowej, gdzie chciałam kupić czekoladki. W trakcie jazdy, jak zwykle, o coś się sprzeczałyśmy, choć teraz już nie pamiętam o co. W każdym razie z przyjemnością wysiadłam z samochodu. Nie przeszkadzał mi nawet zapach benzyny i spalin.

Weszłam do jasno oświetlonego sklepu, wybrałam słodycze i stanęłam w kolejce. Przy kasie upadła mi na podłogę moneta, a ja nie zwracając na to uwagi, kończyłam płacenie.

- Przepraszam - usłyszałam za sobą jakiś męski głos - upuściła pani pieniądze.

Uśmiechnął się i schylił po monetę. Gdy mi ją podał, spojrzałam na jego twarz - sprawiał wrażenie sympatycznego człowieka. Nie widziałam w nim nic szczególnego, był po prostu miły. Życzliwą twarz okalała burza gęstych, ciemnych loków. Przyjrzałam się jego ubraniu: miał na sobie zbyt długie, dresowe spodnie, bluzę typu v-neck oraz koszulę. Domyśliłam się, że jest Arabem i to spowodowało, że bardziej się nim zainteresowałam. Moja siostra również weszła do sklepu, najwyraźniej chcąc uciec od mamy, i stanęła przy mnie. Nie zwracając uwagi na mężczyznę, zaczęła gderać, że może nie zdążyć odwiedzić mnie do domu i zostawi mnie gdzieś przy stacji kolejowej, ponieważ ma jeszcze inne plany. Zaczęła działać mi na nerwy.

- Nie ma problemu - powiedziałam, prawie nie słuchając, co do mnie mówi.

Spojrzałam na mężczyznę. - Jedzie pan do Londynu? - zapytałam.

- Tak - odpowiedział uprzejmie.

- Czy mógłby mnie pan podwieźć?

- Oczywiście - uśmiechnął się i nie zapytał nawet, do której dzielnicy Londynu chce jechać.

Wyszliśmy z siostrą ze sklepu i zaczęłam wyjmować swoje rzeczy z samochodu, podczas gdy mój wybawca płacił za benzynę. Rozejrzałam się po stacji, trzymając kurczowo torbę. Przy najbliższym dystrybutorze stał jakiś stary samochód i uznałam, że to właśnie jest jego auto. Pomachałam mamie i siostrze i stanęłam przy zdezelowanym samochodzie. Wtedy mężczyzna wyszedł ze sklepu i skierował się w przeciwną stronę wołając, bym za nim poszła. Spojrzałam w tamtą stronę i zobaczyłam długie, lśniące, czerwone lamborgini. Jego lakier odbijał wszystkie palące się na stacji światła. Nie mogłam powstrzymać śmiechu, tak byłam zaskoczona swoją pomyłką.

80

Jak prawdziwy dżentelmen otworzył mi drzwi i poczekał, aż usiądę na białym skórzanym fotelu, po czym sam zajął miejsce za kierownicą. Zobaczyłam odjeżdżający samochód mojej siostry, w którym mama siedziała z otwartą ze zdumienia buzią. Całe życie powtarzała nam, że powinniśmy postarać się o bogatych mężów. Teraz, gdy widziała, jak wyprzedzamy ich na autostradzie w błysku czerwonej stali z turboładowaniem, musiały przelatywać jej przez głowę rzędy cyfr. Dotarliśmy do północnej części Londynu znacznie wcześniej, niż się spodziewałam. Znaleźliśmy się obok sklepu z perskimi dywanami, niedaleko restauracji, w której niedawno pracowałam jako kelnerka. Wielokrotnie obok niego przechodziłam i za każdym razem mój wzrok przyciągała wystawa z kilimami i pięknymi wzorzystymi dywanami. Wspomniałam o tym mojemu towarzyszowi. Zwiększony ruch uliczny jakby go irytował, zmuszając do ograniczenia prędkości. Zatrzymaliśmy się na parkingu.

- Pokaż mi ten sklep - powiedział, po czym wysiedliśmy z samochodu.

Mimo późnej pory sklepik wciąż był otwarty, a właściciel zaczął nam pokazywać mnóstwo dywanów. Skończyło się na tym, że mój nowy przyjaciel kupił mi piękną niewielką haftowaną matę z delikatnym wzorem w malutkie ptaki. To był naprawdę miły gest, a moje uczucia do niego stały się jeszcze cieplejsze.

Pokazał mi swoje mieszkanie na Upper Grosvenor. Ulica ta położona jest w samym



sercu Mayfair, niedaleko Park Lane, na której znajdują się luksusowe hotele, oraz Gros-venor Square z ambasadą amerykańską i najbardziej okazałymi domami w Londynie. Od razu zostaliśmy parą i spotykaliśmy się regularnie. W tym czasie nie miałam

4

8/

własnego lokum i mieszkałam z mamą w Bushey. To była równie wielka katastrofa jak wtedy, gdy byłam dzieckiem. Nie potrafiłyśmy ze sobą rozmawiać w cywilizowany sposób. Niedługo po tym, jak zaczęłam chodzić z moim nowym chłopakiem, opowiedziałam mu o relacjach z mamą.

- Dlaczego się nie wyprowadzisz, skoro sytuacja jest tak nieznośna? - zapytał szczerze zdumiony.

- Nie mogę - roześmiałam się. - Nie mam pieniędzy. Niemożność zrobienia czegoś z powodu braku pieniędzy

najwyraźniej była mu zupełnie obca. Wzruszył ramionami, jakby rozwiązanie było oczywiste, zdziwiony, że żadne z nas nie pomyślało o tym wcześniej.

- Kupię ci jakieś mieszkanie - powiedział. I rzeczywiście, za siedemdziesiąt dwa tysiące funtów kupił mi dom w sąsiedztwie mojej matki. Choć wciąż widziałam jej ogród z okien na piętrze, to takie rozwiązanie pozwoliło nam zyskać trochę przestrzeni dla siebie. Znałam tę okolicę i dobrze się tam czułam. Matka była zniesmaczona tym pomysłem, co sprawiło, że czułam jeszcze większą satysfakcję. W moim nowym domu z pięknym ogrodem byłam bardzo szczęśliwa, a mój związek z bogatym Saudyjczykiem rozkwitał. Czułam się rozpieszczana i było mi z tym bardzo dobrze. Kupił mi perskiego kota, żeby dotrzymywał mi towarzystwa podczas tych wieczorów, kiedy się nie spotykaliśmy. Zazwyczaj przyjeżdżał po mnie i zabierał do Londynu. Kupiłam luksusowe meble, którymi wypełniłam cały mój dom - oczywiście na jego koszt, a on nie miał nic przeciwko temu. Zabierał mnie na cudowne wakacje w miejsca, gdzie bawią się bogaci ludzie i traktował mnie, jakbym była najważniejszą osobą w jego życiu. Miałam wszystko, czego mi było trzeba do wygodnego życia, ale chciałam więcej - zaczęłam się robić zachłanna.

82

- Lecę do Arabii Saudyjskiej - powiedział pewnego dnia. - Chciałbym, żebyś pojechała ze mną i poznała moją rodzinę.

Pomysł bardzo mi się spodobał. Lubiłam poznawać arabskie rodziny - chociaż kilkakrotnie takie spotkania kończyły się niezbyt przyjemnie. Wspominałam zawsze ich gościnność i uprzejmość, które bardzo cenię i tęsknie wyczekiwałam kolejnych możliwości zetknięcia się z arabską kulturą. Bardzo też chciałam dowiedzieć się więcej o człowieku, który najwyraźniej dysponował nieograniczoną ilością pieniędzy, na które wcale nie musiał pracować.

Wspomniał, że jego rodzina chce, aby poślubił swoją kuzynkę, rozwódkę z dwójką dzieci, o piętnaście lat od niego starszą. Pomyślałam, że to zaproszenie może oznaczać, że chce poinformować rodzinę o tym, że żeni się ze mną. Ja teraz nie byłam bardziej pewna, że chcę wyjść za mąż niż w przypadku Ahmeda czy Karima. Oczywiście, podobało mi się, że mogę być poproszona o rękę oraz to, że mogę wygrać z inną, silną, nieznaną mi kandydatką. Lubiłam go, więc możliwe, że

chciałam, aby nasz związek trwał dłużej.

W Jaegerze kupiliśmy dla mnie wszystkie niezbędne ubrania oraz walizki, w które mogłam się spakować. Zaczynałam cieszyć się na myśl o nowej przygodzie. Gdy byliśmy już gotowi do wyjazdu, otrzymał telefon z domu.

- Przykro mi - powiedział, gdy odłożył słuchawkę. - Moja matka miała atak serca i będę musiał jechać sam. To nie jest odpowiednia chwila, aby przedstawić cię rodzinie. Mam nadzieję, że rozumiesz.

Oczywiście, że nie zrozumiałam, ale choroba jego matki - choć zdarzyła się w najmniej odpowiednim momencie - nie mogła grozić niczym naszemu związkowi. Miał rację, powinien jechać sam. Byłam jednak zawiedziona

83

i wiedziałam, że będę za nim bardzo tęsknić. Przedstawianie mnie jego matce, w takim momencie, gdy ona desperacko pragnęła, by ożenił się z inną kobietą, nie byłoby stosowne. Widział, jak bardzo przeżyłam tę zmianę planów, więc na pocieszenie zostawił mi otwarte konto w butik na West Endzie oraz numer karty kredytowej American Express, żebym podczas jego nieobecności mogła kupować, co tylko będę potrzebowała. Podarował mi też mój pierwszy telefon komórkowy.

Chwilowo byłam usatysfakcjonowana.

Na początku wszystko było w porządku. Siedziałam w domu i czekałam na jego powrót, a on dzwonił do mnie każdego wieczoru, by chwilę pogawędzić. Zawsze musiał wiedzieć, gdzie i z kim byłam. Nie chciał, abym wychodziła z przyjaciółmi, ani żebym się z kimś spotykała. Nagle stał się bardzo zaborczy i zazdrosny. Nie podobało mi się to, ale uznałam, iż tak działa na niego rozłąka. Wmówiłam sobie, że powinno mi schlebiać, iż tak mu na mnie zależy. Ale potem dni zamieniły się w tygodnie i zaczęłam czuć się zmęczona ciągłym siedzeniem w domu i oczekiwaniem na jego powrót. Miałam innych znajomych, takich jak Mo-hammed, którzy zapraszali mnie do klubów, na przyjęcia albo do restauracji. Przyjmowałam ich zaproszenia, bez względu na to, jak bardzo mógł się rozgniewać mój mężczyzna, gdyby się o tym dowiedział. Być może myślałam, że budząc w nim zazdrość, zmuszę go do działania. Pewnego dnia zadzwonił, by powiedzieć, że zmarła jego matka. Z tonu głosu wywnioskowałam, że coś się zmieniło. Wiedziałam, jak Arabowie bardzo szanują swoje matki, a jego coraz bardziej naciskała, by ożenił się ze swoją kuzynką - mówił mi o tym. Pomyślałam, że teraz będzie czuł się w obowiązku spełnić ostatnie jej życzenie. Zgadywałam

84

też, że skupi się na tym, by jak najlepiej zadbać o fortunę swojej rodziny. Ślub ze mną nie skonsolidowałby majątku - raczej przepuściłabym wszystkie pieniądze, zamiast je pomnożyć. Byłam coraz bardziej zaniepokojona rozwojem wypadków. Moja matka zmartwiona tym, że szanse jej córki na poślubienie bogatego mężczyzny maleją, zaczęła wydzwaniać do niego z informacjami, czy gdzie wychodziłam, albo czy widziałam się z innym mężczyzną. Chociaż jej nie cierpiało, nie mógł przestać słuchać jej intryg i wierzył we wszystko, co mówiła. Tygodnie mijały, a ja zaczęłam sobie wyobrażać, jaką decyzję będzie chciał podjąć. Coraz bardziej też byłam zniecierpliwiona tym, jak mnie traktuje. Oczekiwał, że przez cały czas będę siedzieć w domu i czekać, aż łaskawie do mnie wróci. Zaczęłam się zastanawiać, jaki figiel

mogłabym spłatać, żeby dać mu nauczkę. Odkryłam, że kartą, którą mi zostawił, mogę posługiwać się także w innych sklepach - u jubilerów oraz w salonach samochodowych. W katalogach wysyłkowych mogłam zamawiać wszystko, czego zapragnęłam, a debet na karcie nigdy nie był kwestionowany. Uruchomiłam wyobraźnię i za czterdzieści pięć tysięcy funtów kupiłam zestaw sztucców w sklepie David Morris. Wygrawerowałam na nich nasze imiona i wysłałam do Arabii Saudyjskiej.

W sklepie nie mieli żadnych obiekcji, gdyż przed jego wyjazdem byliśmy tam razem i kupił dwie obrączki z diamentami i wygrawerowanymi naszymi imionami. Zapłacił za nie wtedy osiem tysięcy funtów. Uznali, że jesteśmy parą - ja też tak myślałam. W ten sposób czułam, że jakoś się na nim odgrywam za to, że traktuje mnie jak rzecz - jakby odkładał mnie na półkę do chwili, gdy będzie miał czas znów się mną pobawić.

85

Coś musiało wzbudzić wreszcie podejrzenia American Express, ponieważ odwiedzili mnie panowie z wydziału ds. oszustw- Sympatyczni mężczyźni zapukali do drzwi i zapytali Rzecznie, czy mogliby ze mną porozmawiać. Chcieli się dowiedzieć, dlaczego używam cudzej karty. Wyglądali na bardziej zdenerwowanych ode mnie. Wydaje mi się, że nie powinni byli dopuścić do powstania tak dużego zadłużenia, nie sprawdzając, kto z niej korzysta. Bali się, że będą musieli uregulować rachunek, gdyby okazało się, że nie byłam upoważniona do wykorzystania tak dużej kwoty.

- To karta mojego męża - skłamałam, gdy zakwestionowali moje prawo do jej używania. - Zawarliśmy muzułmańskie małżeństwo.

Nie mogli nic powiedzieć. Jak mieli udowodnić, że tak nie było? Wychodząc, wyglądali na jeszcze bardziej zmartwionych.

W końcu odezwały się we mnie wyrzuty sumienia i pomyślałam, że lepiej będzie się przyznać od razu, zanim poinformuje go o tym ktoś inny. Z jakiegoś powodu wyjechał do Egiptu. Zadzwoniłam pod podany przez niego numer. Moja siostra, Sandra, siedziała obok mnie. Pociłam się ze strachu, nie wiedząc, jak to wszystko się skończy. Czułam, że będę musiała zapłacić za swoje głupie żarty.

- Posłuchaj - zaczęłam. - Korzystałam trochę z twojej karty.

- Tak? - zaśmiał się. - Ile wydałaś?

- Siedem albo osiem - odparłam.

- Tysięcy?

- Lepiej sam zadzwoń i sprawdź - powiedziałam. - Myślę, że wydałam jakieś siedemset pięćdziesiąt tysięcy funtów.

Przyjął tę informację stosunkowo dobrze, ale już nigdy więcej się do mnie nie odezwał. Nikt nie przyszedł odebrać

86

rzeczy, które wtedy kupiłam, i nikt nie próbował mnie zmusić do zapłacenia za nie. Po prostu wszystko ucichło. Później dowiedziałam się, że ożenił się ze swoją starszą kuzynką. Widziałam jej zdjęcie - była zaskakująco brzydka. On też nie był najprzystojniejszy, ale mógł znaleźć znacznie ładniejszą kobietę. Myślę, że jego decyzja była związana ze sprawami finansowymi, o których nikt poza ich rodziną nigdy się nie dowie. Pewnie byłabym dla niego okropną żoną. Jestem pewna, że bardziej potrzebował kogoś, kto wiedział, jak zachować się dyplomatycznie, zarówno

w kontaktach rodzinnych, jak i w sprawach biznesowych, a nie osoby, która miała niebezpieczny nawyk mówienia wszystkiego, co ma na myśli. Obecna żona z pewnością nigdy nie sprawia mu kłopotów, a ja przysparzałabym ich mnóstwo. Mimo wszystko przez jakiś czas było przecież fajnie. Być może i on, podobnie jak Karim czy Ahmed, mieli szczęście, że się ze mną nie związali.

Sprzedawałam mój dom w Bushey i przeprowadziłam się do centrum Londynu.

Wynajęłam mieszkanie w ładnym bloku w Maida Vale. To, co przeżyłam, było kolejną przygodą, dzięki której dowiedziałam się dużo o samej sobie, ale także zyskałam sposobność zaobserwowania, jak we współczesnym kosmopolitycznym świecie funkcjonują Arabowie.

'■% • ;! « • .«• "■ ' 'i ^

■

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

-

Zostaję mamą

Po kilku nieudanych związkach wyszłam w końcu za mąż za mężczyznę o imieniu Theo. Poznałam go, tak jak Ahmeda, podczas wakacji, które spędzałam razem z przyjaciółką na Cyprze. Zakochał się we mnie od pierwszego wejrzenia. Cóż, byłam wtedy ładna, a chłopcy bardzo łatwo zakochują się w ślicznych, młodych dziewczynach. Takie już jest życie. Zakochujemy się i zawieramy związki małżeńskie pod wpływem chwili i emocji, a potem codzienność wszystko zmienia. Życie na Cyprze kusilo swoją prostotą, a Theo bardzo mi się podobał. Był jedynakiem, więc w jego domu nie panowała taka atmosfera jak w innych arabskich rodzinach, które wcześniej poznałam. Jego matka, Flora, była czarującą i niezwykle ciepłą osobą. Niewysoka, przy tuszy i bardzo rzeczowa - po latach wysłuchiwania bezsensownej paplaniny mojej mamy była to miła odmiana. Największą przyjemność sprawiało jej spacerowanie z psem wzdłuż plaży i gotowanie posiłków dla domowników. Kiedy była w domu, zawsze miała na sobie fartuch i nieustannie zajmowała się jakimiś pracami domowymi. Ojciec był również bardzo miłym, bezpretensjonalnym człowiekiem. Mój romans z Theo był cudowny, ale wakacje się kończyły i, gdyby to zależało ode mnie, zapewne

88

nigdy więcej byśmy się nie spotkali. On miał jednak inne plany.

Gdy wróciłam do Wielkiej Brytanii, Theo codziennie do mnie dzwonił. Choć nie miałam nic przeciwko rozmowom z nim, wciąż nie myślałam o nim jak o potencjalnym partnerze na całe życie. Był po prostu kolejnym zamożnym mężczyzną w moim życiu, w połowie Cypryjczykiem, a w połowie Saudyjczykiem. Jednak, co ważniejsze, traktował mnie najlepiej ze wszystkich mężczyzn, z którymi wcześniej się wiązałam. Pozwalał mi robić to, na co miałam ochotę, nie był zazdrosny ani zaborczy i nie chciał mnie zmieniać. Miał łagodny charakter i był bardzo wyrozumiały. Byłam mu za to wdzięczna i w ciągu kilku następnych miesięcy przekonywałam sama siebie, że mogłabym go poślubić i spędzić z nim resztę życia. Oczywiście, tak jak poprzednio, miałam wątpliwości dotyczące trwałego związku. Przed podjęciem ostatecznej decyzji kilkakrotnie odwiedzałam go na Cyprze, by

dłużej z nim побыć, lepiej go poznać i zrozumieć, jakimi uczuciami darzę go tak naprawdę. Prawdopodobnie wycofałabym się z tego związku, ale podczas jednej z tych wizyt zaszłam w ciążę i to diametralnie zmieniło całą sytuację.

Gdy tylko moje ciało zaczęło się zmieniać i hormony odpowiedzialne za uczucia macierzyńskie dały o sobie znać, okazało się, że myśl o ślubie i przeprowadzce na wyspę bardzo mi się podoba. Teraz, gdy miałam urodzić dziecko, nie dręczyły mnie żadne wątpliwości, że decyzja o małżeństwie jest słuszna. Naprawdę wydawało się, że to cudowny pomysł. Zawsze chciałam zostać mamą i wychowywać moje dzieci w zupełnie inny sposób niż moja matka. Zależało mi na nawiązaniu z nimi takiej więzi, której nigdy nie miałam z moimi rodzicami. Wmawiałam sobie także, że

89

podoba mi się pomysł wychowywania dzieci w spokojnej, bezstresowej atmosferze panującej na Cyprze.

Zaślubiny miały odbyć się w Urzędzie Stanu Cywilnego w miasteczku Paphos. Theo nie miał dużej rodziny, której zależałoby na wystawnej uroczystości weselnej. Poza tym nie chciałam się narazić na kolejną katastrofę - ubrana w szeroką białą suknię. Podczas wesela czułam się wspaniale: byłam pewna, że dokonałam trafnego wyboru. Poza tym, wciąż zachwycała mnie myśl o zostaniu matką. Jednak równie szybko jak zakochałam się w Theo, po złożeniu ślubów i rozpoczęciu wspólnego życia zdałam sobie sprawę, że nie darzę go już miłością. Myśl o spędzeniu całego życia z jednym mężczyzną przeraziła mnie i zdecydowałam się uciec, zanim okaże się to niemożliwe. Wyspa, która podczas krótkich wizyt wydawała się przyjazna i spokojna, teraz mnie ograniczała i nudziła.

Flora, która mieszkała dwadzieścia minut drogi samochodem od naszego domu, tak jak przewidywałam, okazała się wspaniałą teściową. Bardzo jej byłam za to wdzięczna. Kiedy moja matka przyjechała nas odwiedzić, było jasne, że nie znajda wspólnego języka. Wręcz mogłam wyczuć wzgardę, która przepełniała Florę - zwykle wesołą i bezkonfliktową kobietę. Moja matka robiła dosłownie wszystko, by znaleźć się w centrum uwagi. Wieczorami chodziła do nocnych klubów i wracała z nich z młodymi Palestyńczykami - zdecydowanie zbyt młodymi jak dla niej. Flora zapewne uważała, że dużo stosowniej by było, gdyby mama przyjechała poznać teściów córki w towarzystwie mojego ojca. Szczerze mówiąc, wcale się temu nie dziwię.

Po jej wyjeździe, gdy wszystko się uspokoiło, moje obawy dotyczące wspólnego życia z Theo jeszcze się pogłębiły.

90

Ciąża stawała się coraz bardziej widoczna i doszłam do wniosku, że muszę stamtąd uciec jeszcze przed porodem. Po narodzinach dziecka wyjazd byłby bardzo trudny. Istniało też niebezpieczeństwo, że Theo zechce je zatrzymać, a ja już wiedziałam, że nie byłabym w stanie opuścić swojego dziecka. Musiałabym stoczyć ciężką walkę, w której ucierpieliby wszyscy.

Właśnie wtedy, gdy byłam w ciąży, zrozumiałam, jak silna więź łączy matkę z dzieckiem. Byłam i jestem przekonana, że małe dzieci zawsze powinny przebywać ze swoimi matkami, a nie pod opieką ojców - oczywiście nie dotyczy to jakichś szczególnych okoliczności. Więzy matki z dzieckiem prawie zawsze jest

niezniszczalna, natomiast inne związki dwojga ludzi - jak potwierdza to moje życie - mogą rozpadać się z różnych powodów. Wkrótce miałam poddać zasady, którymi kierowałam się w życiu, bardzo bolesnej próbie.

Z pozoru nasze życie wyglądało idealnie. Po ślubie wprowadziliśmy się do najpiękniejszego na wyspie domu położonego w pobliżu pomarańczowych ogrodów. Było cudownie - jak w bajce, miałam nawet służącą pochodzącą ze Sri Lanki o imieniu Anna. Gdy próbowałam przywyknąć do nowego, spokojnego i wręcz idyllicznego życia, Anna stała się moją najbliższą przyjaciółką i powierniczką. Czułam, że nie o takim życiu marzę. Chociaż mieszkało mi się wygodnie, a Theo był dobrym mężem, czułam się jak w pułapce i desperacko chciałam uciec. Mój mąż był jedynakiem, więc nie byliśmy otoczeni dużą rodziną, byli tylko jego rodzice, a ja nie miałam przyjaciół. Przez większość dni, gdy wychodził do pracy w wiosce, Anna i ja zostawałyśmy same. Snułam się w okropnym upale po domu, znudzona, dźwigając brzuch. Nikt nie wpadał niespodziewanie na

91

kawę, nie było dla kogo gotować, ani z kim plotkować. Były tylko niekończące się godziny bezczynności.

Wyobrażałam sobie już, jak spędzę kolejne lata swojego życia: rok po roku będę wpatrywać się w piękne krajobrazy i siedzieć w wygodnych pokojach. Bez wątplenia urodzę więcej dzieci, co samo w sobie jest cudowne, ale byłby to jedyny czynnik pobudzający mnie do życia. Wpadłam w panikę i zaczęłam planować ucieczkę, a Anna mi w tym pomagała. Nie mogłam powiedzieć Theo o swoich odczuciach, nie byłabym w stanie wyjaśnić mu, o co mi chodzi. Jak mogłam usprawiedliwić swoje zachowanie? Najpierw wyszłam za niego za mąż, a już za parę miesięcy chciałam go porzucić.

Musiałam działać szybko i zdecydowanie, żeby nie odbywać podróży samolotem w zbyt zaawansowanej ciąży. W dniu, w którym wreszcie zdecydowałam się wyjechać, zadzwoniłam do firmy przewozowej i poleciłam zabrać wszystkie moje rzeczy z domu. Mieli przechować je w kontenerze oznaczonym moim nazwiskiem.

Przyjechali niezwykle szybko, a ja jeszcze poganiałam ich, by zdążyć przed powrotem Theo z pracy. Gdy ciężarówka zniknęła wśród drzew pomarańczowych, Anna i ja wsiadłyśmy do czekającej na nas taksówki i pojechałyśmy na lotnisko. Udało nam się zdążyć na samolot wylatujący o trzeciej po południu i w ten sposób wróciłam do Wielkiej Brytanii, by urodzić tam mojego pierwszego syna, Marlona. Anna została przy mnie jako przyjaciółka i pomagała mi najlepiej, jak mogła. Wciąż miałam swoje mieszkanie w Maide Vale, do którego zawsze mogłam wrócić. Z ulgą zamieniłam słoneczną pogodę i spokój gaju pomarańczowego na zatłoczone ulice północno-zachodniego Londynu i zachmurzone niebo. Czułam się, jakbym wróciła z przedłużonych

Q2

wakacji. Zrobiłam dokładnie taki sam błąd jak młodzi Arabowie przyjeżdżający po raz pierwszy do Europy, a teraz Theo, Marlon i ja musieliśmy słono za to zapłacić. Theo był niezwykle miły i nie żywił urazy za to, że tak nieoczekiwanie go opuściłam. Nie panikował, a chyba większość ludzi tak właśnie by się zachowała. Oczekiwałam, że będzie krzyczał i groził mi strasznymi konsekwencjami, jeśli natychmiast do niego

nie wróćę. Tymczasem on zachował spokój i okazał się wyrozumiały. Starał się przekonać mnie, że nie dałam naszemu małżeństwu szansy, że powinnam wrócić na Cypr i moglibyśmy się przeprowadzić, gdybym tylko tego chciała. Wiele argumentów, których używał, było bardzo przekonujących i dojrzałych. Zapewnił mnie, że wkrótce będę miała wielu przyjaciół na wyspie, a szczególnie gdy Marlon będzie bawił się z innymi dziećmi. Spotkam ich matki i moje życie stanie się dużo łatwiejsze, jeśli tylko dam temu szansę. Był gotów zrobić wszystko, co tylko było w jego mocy, by uczynić moje życie łatwiejszym i przyjemniejszym. Powiedziałam mu, że się nad tym zastanowię i rzeczywiście tak zrobiłam. Gdy go słuchałam, nie byłam wcale taka pewna, że chcę rozwodu. Zależało mi na tym, aby Marlon nie cierpiał z powodu moich fanaberii.

Gdy odzyskałam siły po porodzie i powoli przyzwyczajałam się do codziennych obowiązków, uznałam, że być może Theo ma rację i powinnam dać naszemu małżeństwu drugą szansę. Razem z Anną i Marlonem kilkakrotnie jeździliśmy na Cypr i wracaliśmy do Londynu, a Theo zawsze był bardzo miły i nigdy nie starał się mnie powstrzymać przed wyjazdem. Doszłam do wniosku, że nie powinnam sprzedawać mieszkania w Maida Vale. Uznałam, że jest to mój dom w takim samym stopniu jak willa wśród drzew

93

pomarańczowych. Świadomość tego, że mam otwartą drogę powrotu pomogła mi zapanować nad panicznym strachem. W dobrych chwilach myślałam, że będę mogła się ustatkować i stworzyć prawdziwą, szczęśliwą rodzinę, zamieszkać na Cyprze, a może nawet urodzić więcej dzieci. Jednak gdy przychodziło podjąć taką decyzję, nie byłam w stanie tego zrobić.

Dałam się przekonać, że Marlon powinien chodzić do przedszkola na wyspie. Gdy tylko tak się stało, nie mogłam już wyjeżdżać do Londynu kiedy chciałam i znów poczułam się jak w pułapce. Gdy mój mały chłopiec spędzał ranki poza domem, ja spędzałam je tylko z Anną, zniecierpliwiona i niezadowolona, czując kolejny przyływy paniki. Theo wciąż był cierpliwy i wyrozumiały i chyba wydawało mu się, że gdy Marlon poszedł do przedszkola, może wreszcie czuć się bezpiecznie. Myślał, że zaakceptowałam swoje nowe życie i chcę z nim zostać, ale ja coraz bardziej byłam pewna tego, że muszę raz na zawsze skończyć nasze małżeństwo. Teraz żałuję, że zgodziłam się ponownie z nim zamieszkać, ponieważ przedłużyło to tylko agonię naszego związku. Theo nawiązał silną więź z synem i nie chciał go stracić. Nie był to jednak wystarczający powód, by zmienić moje plany. Wiedziałam, że będę miała znacznie większe poczucie winy teraz, niż gdyby Theo nie poznał tak dobrze syna. Mimo wszystko nie powstrzymało mnie to przed podjęciem decyzji, która miała dotyczyć całego naszego przyszłego życia.

Bardzo dobrze wiem, dlaczego Arabowie decydują się na opuszczenie swoich żon. Sama doświadczyłam uczucia zamknięcia w pułapce w miejscu, w którym wcale nie chciałam pozostać. Nigdy nie winię ich za chęć powrotu do swojego kraju i kultury. Bycie cudzoziemcem każdego dnia

Q4

nawet we własnym domu to ogromny stres, który nakłada się jeszcze na stres związany z obowiązkami młodego rodzica. Jestem krytyczna jedynie wobec

mężczyzn, którzy podejmując takie decyzje jak ja, zabierają ze sobą dzieci, nie zastanawiając się nad tym, że zrywają bardzo silną więź między matką a dzieckiem. Mam świadomość, że skrzywdziłam w życiu wiele osób, ale nigdy świadomie nie wyrzuciłam krzywdy moim dzieciom.

Gdy wreszcie powiedziałam Theo, że nie mogę zostać na Cyprze i nie chcę już z nim żyć, ze wszystkich sił próbował mnie przekonać, bym go nie zostawiała. Kiedy było jasne, że podjęłam już decyzję, koniecznie chciał, by Marlon został razem z nim na wyspie, ponieważ był tam szczęśliwy. Wiedziałam jednak, że po moim wyjeździe wcale nie byłby zachwycony. Bez względu na to, jak cudowną babcia była Flora, nie mogła zastąpić małemu chłopcu matki. Theo musiał się czuć okropnie, wiedząc, że bardzo chcę od niego odejść i w dodatku zabrać ze sobą Marlona. Widziałam, że kraje mu się serce i dlatego próbowałam zostać tak długo, jak tylko mogłam, ale wiedziałam też, że jeśli w końcu nie wrócę do Wielkiej Brytanii, po prostu oszaleję. Nie chciałam stać się zgorzkniałą i zawiedzioną mężatką, tak jak moja matka.

Wiedziałam, ile cierpień to przysparza całej rodzinie.

W dniu, w którym wreszcie zdecydowałam się wyjechać, zabrałam Marlona ze szkoły o dziesiątej rano. Później dowiedziałam się, że postąpiłam dokładnie tak, jak wielu ojców uprowadzających swoje dzieci. Czułam, że powinnam działać w tajemnicy, żeby oszczędzić Marlonowi rozdzierających scen z ojcem. Nie miałam pieniędzy, więc zadzwoniłam do mojego przyjaciela Mohammeda, który mieszkał w Londynie, i zapytałam, czy mógłby kupić mi

Q5

bilety powrotne na lotnisku Heathrow. Tego popołudnia opuściłam Cypr wraz z wierną Anną, a Mohammed wyszedł po nas na lotnisko. Tym razem byłam pewna, że już nie wrócę na Cypr.

Theo, gdy odkrył, co się stało, wszedł do następnego samolotu lecącego do Londynu. Przyjechał wprost do mojego mieszkania w Maida Vale i ze zrozumiałą furią oskarżył mnie o to, że nie postępuję fair ani z nim, ani z pracownikami przedszkola. To był pierwszy raz, gdy na mnie na-krzyczał i powiedział coś nieprzyjemnego. Zabierając mu wszystko, co kochał i na czym mu zależało, doprowadziłam spokojnego człowieka do furii. Zawsze był dla mnie dobry, a ja bardzo go skrzywdziłam.

Musiałam mu raz jeszcze wyjaśnić, że już go nie kocham, że nasz związek nie ma sensu i nie chcę z nim być. Tym razem widziałam, że moje słowa do niego dotarły. Być może aż do tej chwili nie dopuszczał do siebie myśli, że wszystko już skończone. Może łudził się, że jeśli będzie czekać wystarczająco długo, w końcu dojdę do wniosku, że chcę spędzić z nim resztę życia. Chyba zrozumiał, że jego cierpliwość i dobroć na nic się nie zdadzą. Do tej chwili wciąż miał nadzieję, ale gdy ostatecznie mu ją odebrałam, był zdruzgotany.

- Nigdy nie zabierzesz mi syna! - wykrzyczał z oczami pełnymi łez.

- Zabiorę - odpowiedziałam.

- Po moim trupie!

- Być może - powiedziałam i moje słowa musiały go zszokować, ponieważ zamilkł.

Musiał się zorientować, że znów nie zmienię zdania i nic, co powie, czy zrobi, nie zmieni sytuacji. Gdy siedzieliśmy, mierząc się wzrokiem, do pokoju wszedł Marlon i Theo spojrział na niego wzrokiem tak pełnym miłości, że nie mogłam na to patrzeć.



Φ

Odwrociłam głowę. Było mi niezmiernie przykro, że sprawy tak się ułożyły, ale wiedziałam, że nie mogę postąpić inaczej.

- Nie mogę cię zmusić do zostania ze mną, jeśli tego nie chcesz - powiedział w końcu, przytulając Marlona, który siedział na jego kolanie. - Wiem, że będę musiał pozwolić ci odejść. Ale to oznacza, że stracę żonę i syna. W takiej sytuacji nie jest łatwo wyobrazić sobie dalszego życia.

Podziwiałam go za to, że zareagował w taki sposób. Zostaliśmy dobrymi przyjaciółmi. Nigdy nie próbował zrobić mi nic złego, nawet po tym, jak od niego odeszłam. Nie starał się odebrać mi Marlona i zawsze wspierał swojego syna.

Wcale nie myślę, że mężczyźni są gorszymi rodzicami od kobiet. W niektórych przypadkach mogą być nawet przykładniejsi. Dość rzadko jednak zdarza się, że dziecku jest lepiej z ojcem niż z matką, a jeśli już, to najczęściej dotyczy to nieco starszych dzieci. Przypadki takie jednak wciąż stanowią mniejszość. Najczęściej oboje rodzice tak samo kochają dzieci i dochodzi do tragicznych w skutkach prób prześcigania się w okazywaniu uczuć.

Łatwo jest zaobserwować, jak dochodzi do powstania takich sytuacji. Kiedy młodzi mężczyźni pochodzący z dobrych arabskich rodzin wyjeżdżają na studia za granicą, zachwycają się spotykanymi tam kobietami. Są przyzwyczajeni do tego, że dziewczęta kończące dwanaście lat są pod całkowitą ochroną rodziny. Jeśli w swoim kraju zadają się z jakąś dziewczyną, wiedzą, że reakcją będzie wściekłość jej ojca, braci i wszystkich innych mężczyzn z jej rodziny. Po przyjeździe, na przykład do Wielkiej Brytanii, widzą na ulicach kobiety w skąpych ubraniach, a w gazetach i czasopismach otwarcie pokazywana jest nagość. Odkrywają, że mogą nawet przespać się z dziewczyną

i nikt nie będzie miał do nich o to żadnych pretensji. Często tracą głowę w tym nieznanym im świecie. Nie zważają wtedy na zdrowy rozsądek, który dotąd okazywali. Z daleka od swoich korzeni i starszych członków rodziny, którzy mogliby im doradzać, czasami podejmują zgubne w skutkach decyzje.

Bardzo często kobiety spotykane przez nich w klubach czy pubach nie pochodzą z tej samej warstwy społecznej co oni. Ze względu na dzielącą ich przepaść kulturową nie zdają sobie sprawy ze znaczenia tego faktu aż do momentu, gdy ich dzieci są na tyle duże, że ojcowie chcą podjąć decyzje związane z ich przyszłością. Wtedy właśnie najbardziej widoczne są wszystkie różnice dzielące małżonków. W tym też okresie dochodzi do największej liczby porwań dzieci przez ich ojców.

W większości przypadków fakt posiadania przez ojców innych poglądów na wychowanie dzieci nie ma z tym nic wspólnego, a kobiety są idealnymi matkami i mają prawo do wychowania swoich pociech tak, jak uważają za stosowne. Niekiedy jednak kobiety naprawdę nie są dobrymi matkami i ich mężowie, zabierając dzieci do swoich ojczystych krajów, działają w ich najlepszym interesie. Tam zwykle opiekują się nimi służące lub krewne.

Na początku, gdy kobiety prosiły mnie o pomoc w odzyskaniu dzieci, nie zdawałam sobie z tego sprawy. Wszystko było dla mnie czarne albo białe - kobiety były dobre, a mężczyźni źli. Ponieważ nie wyobraziłam sobie tego, że sama mogłabym zostać pozbawiona kontaktu z własnymi dziećmi, wydawało mi się, że wszystkie kobiety

czują to samo. Zakładałam, że mężowie porywający dzieci wyrządzają im krzywdę i bezdyskusyjnie powinno się oddać dzieci pod opiekę matkom.

C8

Podczas podróży do Egiptu na prośbę pewnej kobiety, która chciała odzyskać synka, zdałam sobie sprawę, że wcale nie jest to takie oczywiste, jak mi się dotąd wydawało. Od początku musiało mi się coś nie podobać w tej kobiecie, ponieważ zdecydowałam się pojechać sama do Kairu. Zawsze - poza podróżą do Maroka, którą odbyłam bez Debbie - zabierałam ze sobą matkę dziecka. Ta kobieta, podobnie jak Debbie, powiedziała, że może sobie pozwolić na zakup tylko jednego biletu lotniczego. Nie próbowałam się z nią sprzeczać, choć wydawało mi się, że nie była to prawda. Gdyby naprawdę nie mogła kupić biletu, postarałabym się zebrać jakoś pieniądze na podróż dla niej, jednak w tym przypadku coś mi mówiło, że powinnam najpierw sama ocenić sytuację. Chłopiec, po którego miałam jechać, miał dwanaście lat. Był znacznie starszy niż dzieci, z którymi do tej pory miałam do czynienia. Uważałam, że gdyby nie chciał dalej mieszkać ze swoim ojcem, będę potrafiła go przekonać do powrotu razem ze mną.

Miałam w Kairze zaprzyjaźnionego kierowcę, który bardzo mi pomógł podczas poprzednich misji. Wiedział, że mam bardzo ograniczone środki finansowe, więc zaproponował, żebym zatrzymała się w jego rodzinnym domu, co było bardzo miłe. Hotele są nie tylko drogie, ale także bezduszne, szczególnie gdy podróżuje się samotnie. W miarę poznawania nowych ludzi, coraz częściej dostawałam podobne propozycje, gdy przyjeżdżałam z kolejną misją. Prawie zawsze zapraszali mnie ludzie niezamożni, którzy mieszkali w skromnych domach, ale chętnie dzielili się tym, co mieli, z osobami, które w ich mniemaniu starały się zrobić coś dobrego. Były to zazwyczaj mieszkania usytuowane na przedmieściach i ktoś z rodziny odstępował mi swój pokój i łóżko, by mogli mnie ugościć.

99

Zawsze protestowałam, przekonując, że wystarczy mi kanapa albo nawet miejsce na podłodze, ale nigdy mnie nie słuchali. Z doświadczenia wiem, że każdy mieszkaniec tego regionu chce okazać się jak najlepszym gospodarzem, bez względu na to w jak skromnych mieszka warunkach.

Następnego dnia po przyjeździe na miejsce udało nam się odnaleźć dom, w którym chłopiec przebywał razem z ojcem, babką i innymi krewnymi. Przez pewien czas, podobnie jak poprzednio, obserwowaliśmy, jak domownicy wchodzą i wychodzą z domu. Chciałam zapoznać się z głównymi członkami rodziny i zorientować się, jaką rolę pełnią w życiu chłopca. Był zbyt duży, bym mogła go porwać na ulicy. Musiałam znaleźć jakiś sposób, by z nim porozmawiać i wyjaśnić, że jego matka bardzo za nim tęskni i pragnie, aby wrócił, jeśli tylko chce, oraz poinformować, że mogę mu w tym pomóc. Ewentualnie mogłam na początku spróbować negocjować, by matka mogła go odwiedzać, ale aby o tym zdecydować, musiałam najpierw dowiedzieć się, jak naprawdę wygląda cała sytuacja. Trzeba było jakoś zdobyć zaufanie rodziny.

Matka chłopca opowiedziała mi trochę o ich życiu w Kairze - zaraz po wyjeździe syn wysłał jej kilka listów. Mieli zwyczaj wychodzić raz w tygodniu do pewnego klubu, by obejrzeć przedstawienie i zjeść kolację. Uznałam, że właśnie tam będę miała największe szanse na zawarcie znajomości z rodziną, rozpoznanie sytuacji i być

może nawiązanie kontaktu z chłopcem. Kluby tego rodzaju to fantastyczne miejsca. Można je uznać za odmianę brytyjskich variety shows, z piosenkarzami, magikami i komikami występującymi podczas kolacji. Czasami takie występy organizuje się na otwartej przestrzeni,

100

gdzie goście narażeni są na ataki kryjących się w trawie komarów. Tym razem jednak przedstawienie odbywało się w pomieszczeniu zamkniętym.

Razem z moim kierowcą dotarliśmy pod klub na długo przed rozpoczęciem przedstawienia, zaparkowaliśmy po drugiej stronie ulicy i czekaliśmy na przyjazd interesującej mnie rodziny. Wcześniej widzieliśmy, jak wyjeżdżali z domu. Klub dopiero otwierano i zaczynali się pojawiać pierwsi goście, których pod czujnym okiem ochroniarzy wpuszczano do środka. Ulice były zatłoczone, ludzie wylegli z domów po popołudniowej drzemce. W otaczającym tłumie z pewnością nikt nie zwracał na nas uwagi.

Po jakiejś godzinie samochód wreszcie podjechał przed wejście. Chłopiec, jego babcia i dwie kobiety wysiedli z auta i weszli do klubu. Poczekałszy kilka minut i poszliśmy w ich ślady - wyglądaliśmy jak para, która spędza razem wieczór.

Ochroniarze przy wejściu nie zwrócili na nas uwagi; po prostu kolejni goście, których trzeba usadzić przy stoliku, zabawić i nakarmić. Wnętrze było ciemnie i wypełnione hałaśliwymi rozmowami. Przez chwilę nie mogłam się zorientować, gdzie siedzi obserwowana rodzina. Czekając na występ, goście plotkowali i zamawiali jedzenie, więc wokół panował zrozumiały hałas. Klimatyzacja sprawiła, że w lokalu było przyjemniej niż na zewnątrz, a dodatkowo kelnerzy przynosili zimne drinki. Starszy kelner próbował wskazać nam stolik, ale go odprawiłam. Chciałam usiąść tak, aby mieć dobry punkt obserwacyjny, słyszeć rozmowę chłopca z rodziną i ewentualnie włączyć się do niej.

Gdy mój wzrok przyzwyczał się do panującego mroku, zauważyłam, że usiedli przy stoliku znajdującym się blisko sceny. Babka pilnowała, by chłopiec dostał dokładnie

101

to, co zamówił u kelnera. Byli zajęci rozmową i nie zwracali uwagi na pozostałych gości. Tuż za nimi dostrzegłam wolny stolik i skierowałam się w jego stronę, nie zważając na kelnerów, którzy próbowali wskazać nam inne miejsce. W tym samym kierunku szli też inni goście, ale nikt nie był tak zdeterminowany jak ja.

Rozpychałam się łokciami i udało mi się przedostać do upragnionego stolika.

Usiadłam zaraz za chłopcem, tak że słyszałam jego rozmowę z babką. Widać było, że czuje się w jej towarzystwie bardzo swobodnie, a ona poświęca mu wiele uwagi.

Był przystojny, miał duże oczy o łagodnym wyrazie, gotów był uśmiechnąć się do każdego, kto się do niego zwracał. To mnie poruszyło. Jego matka nie wyglądała na osobę szczególnie ciepłą i kochającą i raczej chyba nie traktowała syna w taki sposób jak jego babka. Wcale nie sprawiał wrażenia nieszczęśliwego. Nie taki obraz sytuacji przedstawiono mi w Londynie. Jego matka opowiadała mi o rozmowach telefonicznych, w których chłopiec płacząc mówił, że chce wrócić do domu i że jest źle traktowany. Opowiadała o przemyconych listach z opowieściami o niewygodach, jakich tu zaznawał i okrucieństwie, z jakim się spotykał. Patrząc na tego dobrze odżywionego, rozpieszczonego i radosnego chłopca, nie byłam w stanie wyobrazić

sobie, że mógł napisać coś takiego. Nawet jeśli jego matka nie powiedziała mi całej prawdy i wyolbrzymiała fakty, aby osiągnąć swój cel, nadal nie wydawało mi się słuszne, aby zabraniano jej spotkań z synem. Miała prawo przynajmniej do regularnych rozmów z dzieckiem.

Po kilku minutach udało mi się znaleźć powód do zagadnięcia babci chłopca. Zapytałam ją o jedzenie, które zamówiła, a ona chętnie rozpoczęła rozmowę. Była bardzo

/02

otwartą i przyjazną kobietą. Spytała, skąd jestem, a ja przyznałam, że pochodzę z Wielkiej Brytanii.

- Moja mama jest Brytyjką - chłopiec włączył się do rozmowy, a babka poprawiła mu czule włosy.
- A gdzie jest dziś twoja mama? - zapytałam niewinnie.
- W Wielkiej Brytanii - odpowiedział. - Mieszkam z moim tatą w Kairze.
- Pewnie za nią tęsknisz? - powiedziałam.
- Nie - pokręcił przecząco głową - lubię być tutaj z tatą.
- Pewnie tylko tak mówisz - droczyłam się z nim - bo bardzo kochasz babcię. Musisz choć trochę tęsknić za mamą.
- Nie - powtórzył. - Moja mama nie była dla mnie dobra. Tutaj mi się podoba.
- Oj, na pewno tak nie myślisz - zaprotestowałam, zastanawiając się, czy to możliwe, by zrobili mu pranie mózgu. Miałam jednak niemiłe wrażenie, że najwyraźniej mówi prawdę.
- Proszę spojrzeć na to - jego babka podciągnęła mu rękaw i zobaczyłam zablizniony, ale wyraźny ślad po przypalaniu papierosem. - To ona mu to zrobiła, własnemu synowi. Ona jest złą kobietą.
- Nie chcę jej już nigdy widzieć - powiedział chłopiec, a ja pokiwałam głową ze zrozumieniem.

Nie było sensu dalej go przepytawać. Wszystko było jasne. Kontynuowaliśmy naszą rozmowę podczas posiłku i w przerwach spektaklu. Pod koniec byłam już pewna, że byli to dobrzy i szczerzy ludzie. Ojciec chłopca podczas pobytu w Wielkiej Brytanii popełnił błąd, zeniąc się z nieodpowiednią kobietą, ale widać było, że robi wszystko, by naprawić krzywdy, jakich zaznał jego syn. Nawet gdybym im nie uwierzyła, nie mogłabym zmusić chłopca, by wrócił ze mną wbrew swojej woli. Nie miałam nawet ochoty pytać,

103

czy umożliwiliby matce kontakt z dzieckiem. Nie chciałam unieszczęśliwiać tej miłej rodziny, przywracając złe wspomnienia. Wydawało mi się, że chłopiec jest na tyle dorosły i dojrzały, że potrafi już samodzielnie podejmować decyzje. Jeśli nie chciał mieć nic wspólnego z matką, która go skrzywdziła, to któż miałby się w to wtrącać? Tego wieczoru zebrałam się na odwagę i zadzwoniłam do jego matki, by poinformować ją, że nie przywiozę jej syna. Wpadła w szal, zwymyślała mnie i oskarżyła o zdradę. Przypomniała też, że przecież zapłaciła za moją podróż.

- Zwrócę ci pieniądze - powiedziałam - ale nie przyjadę z chłopcem.

Wróciłam do domu sama. Zgodnie ze swoją obietnicą, aby nie żyć z wyrzutami sumienia, zwróciłam jej całą kwotę - co do grosza. Nie chciałam, by ktoś pomyślał,

że robię to dla pieniędzy albo że oszukuję ludzi. Istniało już wystarczająco wielu oszustów, którzy naciągali biedne matki. Wciąż jednak było mi żal tej kobiety, bo jeśli nawet z własnej winy straciła dziecko i w przeszłości wyrządziła mu straszną krzywdę, to mimo wszystko utrata kontaktu z dzieckiem jest dla matki bolesnym ciosem.

Kierowca z Kairu nie był jedyną osobą, która podczas moich podróży po Środkowym Wschodzie i Afryce Północnej okazała mi serce i gościnność. Przez lata stworzyłam w tym regionie coś w rodzaju siatki pomagających mi osób. Teraz w każdym kraju mam zaufanych kierowców; ci mężczyźni wiedzą, co robię, i twierdzą, że działam słusznie, a dzieci powinny mieć możliwość przebywania ze swoimi matkami. Znam też urzędników i pracowników dyplomatycznych, do których mogę czasami zwrócić się o pomoc i radę. Nauczyłam się rozmawiać z nimi w taki sposób, by uzyskać niezbędne informacje. Kobiety, którym pomagam, nie mają ta-

/04

kich doświadczeń i zupełnie nie wiedzą jak zacząć działać. Czasami ustalam, gdzie przebywa dziecko, dzwoniąc po prostu do szkoły z Wielkiej Brytanii, co znacznie ułatwia planowanie całej akcji. Zdziwiająca, jak wiele informacji można uzyskać telefonicznie i to nawet od urzędników.

Byłam zaskoczona, że tak wielu mężczyzn chce pomagać mi podczas moich misji. Jednym z najbardziej znanych jest Mohammed Al Fayed, właściciel Harrodsa i ojciec Do-diego - zmarłego tragicznie w wypadku samochodowym z księżną Dianą. Media oraz przedstawiciele establishmentu nieustannie go krytykowali za jego poglądy, ale dla mnie zawsze był hojny i niezwykle pomocny. Po raz pierwszy usłyszałam jego nazwisko w kontekście porwanych dzieci, gdy oglądałam w telewizji wywiad z kobietą, której mąż, Egipcjanin, odebrał dwójkę dzieci. Prosiła wtedy na antenie Al Fayed o pomoc. Zadzwoiłam to studia telewizyjnego i zostawiłam swój numer telefonu, prosząc, by zadzwoniła do mnie, jeśli uzna, że mogę jej jakoś pomóc. Po kilku dniach odezwała się jej matka. Powiedziała, że córka mieszka w Wielkiej Brytanii, ale nie ma pieniędzy na podróż na południe kraju.

- Ona naprawdę chce, żeby jej pani pomogła - powiedziała kobieta. - Jest już na skraju wytrzymałości, a pani jest ostatnią deską ratunku.

Wysłałam tej kobiecie pieniądze na bilet kolejowy i spotkałam się z nią, gdy przyjechała do Londynu. Mieszkała u nas przez trzy miesiące, podczas których zastanawialiśmy się, jak zorganizować pomoc. Nie było mi łatwo żyć pod jednym dachem z inną kobietą, ale ona nie miała się gdzie podziać, a ja nie potrafiłam jej odmówić.

Pochwalałam ją za zwrócenie się o pomoc do Mohammeda Al Fayed, chyba najbardziej znanego Egipcjanina

/05

w kraju. Uznałam, że powinniśmy się z nim skontaktować osobiście. Raczej nie oglądał porannego programu telewizyjnego, więc zapewne nie słyszał skierowanej do niego prośby. Zadzwoiłam do Harrodsa i połączono mnie z asystentką Al Fayed. Wyjaśniłam sytuację i zapytałam, czy pan Al Fayed byłby skłonny spotkać się z tą kobietą, gdybym przyprowadziła ją do jego biura. Asystentka obiecała, że zapyta szefa i odezwie się do mnie. Nieco później tego samego dnia oddzwoniła i

potwierdziła spotkanie. Poszliśmy razem. Opowiedziałam, jak do tej pory pomagałam innym kobietom w odzyskaniu dzieci oraz wyjaśniłam, dlaczego wydawało mi się, że w tym przypadku będzie to kosztowna wyprawa, a nieszczęśliwa matka nie ma pieniędzy na podróż do Kairu.

- A więc pojedzie pani z tą kobietą i pomoże jej odzyskać dzieci? - zapytał po wysłuchaniu wszystkiego, co miałam do powiedzenia.

- Tak - odpowiedziałam - ale nie chcę za to wynagrodzenia. Potrzebujemy tylko pieniędzy na bilety i pokrycie kosztów pobytu.

Bez zastanowienia zgodził się na wszystko. Wykupił nam bilety i zarezerwował pokoje w luksusowym hotelu Cairo Hilton. Do tej pory wszystko szło gładko. Jednak zaraz po przyjeździe do Egiptu zaczęły się kłopoty - moja towarzyszka podróży skontaktowała się z ze swoim mężem bez powiadomienia mnie o tym. Wprost nie mogłam w to uwierzyć. Teraz nie mogliśmy liczyć na to, że ich zaskoczymy. Wiedzieli, że jesteśmy w kraju i będziemy chciały skontaktować się z dziećmi. Jeśli wcześniej była jakaś szansa na zbliżenie się do nich, teraz przepadła. Później jej mąż przyszedł do hotelu, by się z nami spotkać. Zapytałam go, czy moja przyjaciółka mogłaby zobaczyć się

IOO

z dziećmi, ale kategorycznie odmówił. Nie był nawet skłonny porozmawiać o całej sprawie. Nie widziałam wyjścia z takiej sytuacji, poza tym byłam zdezorientowana sposobem zachowania mojej towarzyszki. Nie wyglądało na to, że bardzo zależy jej na spotkaniu z dziećmi, jak twierdziła przed wyjazdem. Była chyba bardziej zainteresowana spędzeniem czasu ze swoim mężem niż czymkolwiek innym.

Gdy po naszym pierwszym spotkaniu jej mąż wychodził z hotelu, poprosiłam go na stronę i zapytałam, czy mogłabym sama odwiedzić jego oraz jego rodzinę. Uznałam, że będę miała większe szanse bez jego małżonki. Ku mojemu zaskoczeniu zgodził się i udało mi się poznać jego ojca. W arabskiej kulturze starsze osoby w większości rodzin mają bardzo wysoką pozycję. Wszyscy wychowywani są tak, by szanowali swoich rodziców, a dziadkowie uważani są za głowy rodu nawet wtedy, gdy dzieci są już w wieku średnim i doskonale radzą sobie w życiu. Dzięki temu ich społeczeństwa są bardziej stabilne. Uważam, że rodziny żyjące w zachodniej kulturze mogłyby z powodzeniem naśladować ten wzór.

Wyglądało na to, że miałam prowadzić negocjacje z dwoma pokoleniami jednocześnie. Gdy przybyłam na spotkanie, zaskoczyło mnie to, że wszyscy byli dla mnie bardzo uprzejmi. Nie traktowali mnie jak wroga - zupełnie, jakby myśleli, że mogę im w czymś pomóc. Z wielką kurtuazją wskazano mi miejsce, podano herbatę i traktowano jak honorowego gościa.

- Nie wykradliśmy dzieci - powiedział starszy mężczyzna po grzecznościowych wstępach. - Ich matka nie dbała o nie wystarczająco dobrze, poza tym nie było to odpowiednie miejsce do ich wychowywania.

/07

- Ale wciąż powinna mieć możliwość widzenia się z dziećmi - przekonywałam. - Bez względu na to, co zrobiła, powinna mieć prawo do odwiedzin i rozmów.

- Oczywiście - odparł, najwyraźniej zgadzając się ze wszystkim, co powiedziałam. - Mój syn planuje pojechać z nimi do Wielkiej Brytanii, ale jego wiza wygasła i czeka

na jej przedłużenie. Nie zamierzamy trzymać synowej z daleka od dzieci, ale musimy najpierw zadbać o ich interesy.

Byłam nieco dezorientowana, ale postanowiłam wykorzystać sytuację, dopóki wszyscy byli tak przyjaźnie nastawieni.

- Ale ona się zmieniła - zapewniałam. - Mieszkała w moim domu przez ostatnie kilka miesięcy i nie było żadnych problemów z alkoholem czy narkotykami. Myślę, że nie jest już związana z żadnym innym mężczyzną. Uważam, że jeśli to tylko możliwe, dzieci powinny przebywać ze swoją matką. Ona je kocha i chce, by wróciły. Proszę zwrócić uwagę, jak bardzo stara się je odzyskać. Z pewnością zasługuje na drugą szansę. Pozwólcie dzieciom wrócić do Wielkiej Brytanii, a ja dopilnuję, żeby pana syn miał możliwość kontaktowania się z nimi, kiedy tylko będzie chciał. Ma pan moje słowo.

Nasza rozmowa trwała dość długo i wydawało się, że starszy mężczyzna zaczyna się do mnie przekonywać. Później, w podziękowaniu za wszystko, co chciałam zrobić dla jego wnuków, podarował mi złotą bransoletę. W końcu zgodził się na moje propozycje.

- Dobrze - powiedział. - Przekonała nas pani. Proszę zabrać dzieci razem z matką. Damy jej jeszcze jedną szansę.

Nie mogłam w to uwierzyć. Nigdy wcześniej nie udało mi się nakłonić rodziny do tak radykalnej zmiany poglądów podczas zwykłej rozmowy. Mimo że byłam zadowolona

z rozwoju sytuacji, wciąż prześladowało mnie wrażenie, że wszystko wygląda zbyt pięknie, by mogło być prawdziwe. Wróciłam do hotelu i przekazałam matce dobrą nowinę.

- Ja nie wracam - oznajmiła. - Zostaję tutaj, pomogę mojemu mężowi w uzyskaniu wizy.

- Nie - prawie krzyknęłam - nie możesz tego zrobić. Dostanie wizę w swoim czasie. Zabierz dzieci, dopóki są skłonni je oddać. Później mogą zmienić zdanie.

Pozostała niewzruszona, nie zważając na to, co mówię. W całej sprawie chodziło o to, aby ojciec mógł zdobyć wizę do Wielkiej Brytanii. Chciała zabrać dzieci tylko pod tym warunkiem, że jej mąż wróci razem z nimi. Nie zamierzała wyjeżdżać z Egiptu bez niego. Zrozumiałam, że popełniłam błąd. Zadzwoiłam do Mohammeda Al Fayed do Londynu i opowiedziałam mu wszystko.

- Nie martw się, Donya - powiedział. - Zrobiłaś, co mogłaś. Po prostu wyjedź z Egiptu i wróć do własnych dzieci.

Zostawiłam tę kobietę i wróciłam do domu. Chociaż Mohammed Al Fayed został oszukany, nigdy nie miał do mnie o to pretensji. Wiedział, że obydwójce popełniliśmy błąd. Pozostaliśmy w kontakcie i kiedy zapytałam, czy mogłabym zabrać dwadzieścioro dzieci ze szkoły moich dzieci na wycieczkę do Harrodsa, zapewnił im obsługę należną VIP-om. Zawsze, gdy prosiłam go o pomoc, sponsorował moje kolejne podróże mające na celu odzyskanie porwanych dzieci.

Nauczyłam się już, że na świecie jest wielu ludzi dobrej woli, którzy gotowi są pomagać pokrzywdzonym matkom. Wiedziałam także, że bardzo rzadko wszystko jest dokładnie takie, jak się wydaje na samym początku. Okazało się, że Mohammed Al Fayed nie jest takim potworem, jak kiedyś

iog

myślałam, a matka, która mnie przekonała, że dzieci są dla niej całym światem, pokazała potem, że to nie jest prawdą. Czułam, że z każdą kolejną wyprawą jestem coraz mądrzejsza.

Moim największym sojusznikiem i ogromnym wsparciem we wszystkich przedsięwzięciach był mój drugi mąż, Mahmud. Poznałam go po moim ostatecznym powrocie z Cypru razem z Marlonem. Jest Irakijczykiem i pracował wtedy w restauracji na Edgware Road - w tej okolicy znajduje się wiele arabskich lokali. Spotkaliśmy się w dość niecodzienny sposób. Pewnego wieczoru zadzwoniłam do restauracji, by zamówić coś na wynos. Zamówienie odebrała moja przyjaciółka. Gdy wróciła z jedzeniem, okazało się, że pomyłono potrawy. Zadzwoniłam wtedy z reklamacją i telefon odebrał Mahmud.

Mówił, że po prostu czuł, że musi zobaczyć kobietę, która zadzwoniła, więc przyniósł drugie zamówienie osobiście. Najwyraźniej spodobało mu się to, co zobaczył i zaczęliśmy się spotykać. Gdy lepiej się poznaliśmy, zauważyłam jak odnosi się do Marlona - troszczył się o niego i zajmował tak, jak powinien to robić ojciec, a chłopiec dobrze czuł się w jego towarzystwie. Zaczęłam wtedy myśleć o małżeństwie. Mahmud był delikatnym człowiekiem i wiedziałam, że nigdy nie będzie starał się mnie w żaden sposób ograniczać. Miałam już ułożone życie w Londynie, a on potrafił się do niego dopasować. Nie oczekiwał, że przeniosę się w jakieś odludne miejsce z dala od moich przyjaciół i rodziny. Mój związek z nim z pewnością wzbogaciłby moje życie.

Byłam wierzącą muzułmanką i wiedziałam, że chcę wyjść za muzułmanina, ale musiał to być ktoś, komu mogłam zaufać, kto we wszystkim by mnie wspierał.

Oczywiście gdy

/ 10

się pobieraliśmy, żadne z nas nie śniło nawet o tym, czym będę się zajmować za kilka lat.

Urządziliśmy duże wesele, o którym marzyłam już od czasu bezowatej sukni, którą przywieziono mi do Tunisu. Zaślubiny odbyły się w Urzędzie Stanu Cywilnego w Mary-lebone, a na przyjęcie weselne wynajęliśmy restaurację w Marble Arch, na rogu Hyde Parku. Miałam na sobie piękną, prostą, jedwabną suknię ozdobioną naszytymi perełkami. Dla wszystkich gości przygotowaliśmy szampana i poprosiliśmy, aby zamawiali wszystko, na co tylko mają ochotę. Koniecznie chcieliśmy, aby nasze małżeństwo rozpoczęła huczna zabawa.

Moja matka nie zaszczyciła nas swoją obecnością, ponieważ poprosiłam ojca, aby poprowadził mnie do ślubu, a akurat w tym czasie rodzice nie rozmawiali ze sobą. Tata przeszedł wtedy na emeryturę i zamienił swoją obsesję samolotową na motocyklową. Z taką samą pasją i entuzjazmem rozbierał na części i ponownie składał motory. Mój ojciec z wyglądu przypomina brodatego Świętego Mikołaja, a przed ślubem Mahmud kupił mu elegancki garnitur na tę okazję. Byłam z niego bardzo dumna.

Mniej więcej rok po naszym ślubie urodziłam Khalida, drugiego syna. Przyszedł na świat poprzez cesarskie cięcie, podobnie jak pozostałe moje dzieci. Khalid od urodzenia był słabego zdrowia, ale okazał się bardzo mądrym i wspinałym



dzieckiem. Ma problemy z żołądkiem i wymaga stałej opieki i uwagi. Oboje jesteśmy gotowi poświęcić mu tyle czasu, ile potrzebuje, oczywiście w miarę naszych możliwości. Wiąże się to także z wieloma pobytami w szpitalach.

Po kolejnym roku urodziła nam się córeczka Amira - mały aniołek o kręconych włoskach, a potem, po następnym

///

roku, na świat przyszedł Alla, który okazał się najbardziej śmiały i najgłośniejszy z całej gromadki. Tym razem poród był jeszcze bardziej skomplikowany i przez chwilę groziło, że go nie przeżyję. Istniało niebezpieczeństwo, że lekarze będą musieli przeprowadzić nacięcie macicy, co by oznaczało, że Alla byłby moim ostatnim dzieckiem. Gdyby nie problemy zdrowotne, chyba aż do czasu przekwitania, co roku rodziłabym kolejne dziecko. Uważam, że dzieci są najwspanialszymi istotami na ziemi i nigdy nie będę miała ich dość.

Dzień przed urodzeniem Allego powiedziałam Mahmu-dowi, że następnego dnia chyba umrę. Nie wiem czemu, tak czułam. Zbagatelizował moje obawy i potraktował je jak głupie gadanie, ale podczas operacji nie wszystko poszło dobrze i przez chwilę było zagrożenie, że rzeczywiście stracę życie. Lekarze zasugerowali Mahmudowi, żeby poprosił najbliższą rodzinę, by mnie odwiedziła, ponieważ może to być ostatnia szansa na pożegnanie. Pamiętam, jak leżałam na oddziale intensywnej terapii, a obok mnie stali moja mama, Sandra i Mahmud. Słyszałam, co mówią, ale nie byłam w stanie się z nimi porozumieć, więc po prostu leżałam i słuchałam. Pamiętam, jak moja matka mówiła Mahmudowi, że powinien wysłać moje ciało na Cypr, by tam mnie pochowano. Nawet wtedy, gdy stał przy łożu śmierci własnej żony, starała się go zdenerwować.

Oczywiście nie umarłam i wraz z mężem wychowujemy naszą gromadkę. Rola rodziców sprawia nam tak wielką przyjemność, że bardzo źle znosimy rozłąkę z dziećmi. Kiedy nadszedł czas, by poszły do przedszkola, oboje wręcz nie mogliśmy wytrzymać bez nich tak długo, choć bardzo zależało nam na tym, aby odebrały dobre wykształcenie. Zauważyliśmy, że długie godziny rozstania są dla nas zbyt

I /2

bolesne i wymyślaliśmy każdy powód, by pójść do przedszkola i popatrzeć przez ogrodzenie, jak biegają i bawią się na podwórku. Wciąż znajdowaliśmy jakieś wymówki, by znaleźć się w przedszkolu, ale opiekunowie w końcu powiedzieli, że nie wolno nam tam przebywać i po prostu nas wyrzucano. Gdy dzieci podrosły i poszły do szkoły podstawowej, wciąż nie chcieliśmy się z nimi rozstawać, więc zostałam przewodniczącą komitetu rodzicielskiego. Wzięłam udział w wyborach i otrzymałam osiemdziesiąt sześć procent głosów. Byłam niezmiernie dumna z tego osiągnięcia. Brałam aktywny udział w pracy administracyjnej szkoły i dzięki temu mogłam przebywać na jej terenie nawet przez cały dzień. Widywałam więc dzieci, kiedy tylko miałam taką potrzebę.

Odkąd spotkałam Mary na przystanku autobusowym i rozpoczęły się moje przygody, Mahmud nieustannie mnie wspierał. Jego cierpliwość i dobroć w kolejnych latach były wielokrotnie wystawiane na próbę, ale nigdy mnie nie zawiodł, za co darzę go dożywotnią miłością, podziwem i wdzięcznością.

-'.

. i -

.. ■ •

t i ■ '.

.Φ,i\i\

>.:. i ., .j ., - и л ,l".

■ .!"I.WAV. ',.« • ?<•;" .,i j ;;;

\.Vv ' '" , '•••/ -, .xi, j •?• ,(

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

### Ucieczka z Iraku

Każda wyprawa jest inna i nie ma uniwersalnych zasad, według których należy postępować. Za każdym razem, gdy wyruszam, wiem, że dopiero w trakcie podróży wybiorę odpowiednią metodę działania. Yussuf miał sześć lat, gdy po niego pojechałam i był członkiem mojej rodziny. W pewnym sensie było nam dzięki temu łatwiej - wszyscy działaliśmy po tej samej stronie i nie musiałam walczyć z rodziną ojca. Gdybyśmy jednak zostali złapani, spotkałyby nas straszne konsekwencje za przemykanie dziecka z Iraku do Wielkiej Brytanii.

Matka Yussufa, Ibital, jest siostrą mojego męża. Gdy planowaliśmy przewiezienie przez granicę jej synka, mieszkała w Wielkiej Brytanii ze swoim drugim dzieckiem, a Yussuf z ojcem przebywali w Iraku. Cała rodzina planowała przyjechać na Wyspy Brytyjskie, ale niezmiernie dużo czasu zabierało uzyskanie niezbędnych wiz i załatwienie wszystkich formalności. Już kolejny rok Yussuf nie mógł być ze swoją matką. Jak już kilkakrotnie mówiłam, wierzę, że każde dziecko powinno spędzać większość czasu z matką, bez względu na to, czy uzyskało ono odpowiednie dokumenty i pieczętki. Nie mam cierpliwości do siedzących w urzędach biurokratów grających bogów i decydujących, kto pojedzie, gdzie i kiedy. Wiem, że istotne

//4

jest ustalenie praw regulujących masową migrację ludzi, ale zawsze powinien być jakiś łatwy sposób na połączenie dzieci z matkami. Każda wymuszona separacja odbija się na ich psychice, nawet jeśli przebywają wśród kochających ludzi. Dzieci nie powinny czekać na przytulenie się do mamy, aż jakiś gryziپیórek, którego nigdy w życiu nie spotkają, przystawi pieczętkę na odpowiednim formularzu.

Ibital i jej rodzina, podobnie jak wiele innych zdesperowanych kobiet, wypróbowali wszystkie możliwe sposoby sprowadzenia Yussufa do Wielkiej Brytanii, istnieją organizacje, które zaoferowały przemycenie dziecka wraz z ojcem przez Holandię, ale żądały za to przynajmniej dziesięć tysięcy dolarów. Ojciec Yussufa nie był w stanie zebrać takiej sumy, a nawet gdyby miał te pieniądze, nie było żadnej gwarancji, że cała akcja zakończy się sukcesem. Poza tym podczas transportu nie miałoby kontroli nad tym, co się dzieje. Trzeba było znaleźć inny sposób. Za każdym razem, gdy widziałam Ibital, robiła wrażenie coraz bardziej nieszczęśliwej. Była przygnębiona, mimo że miała przy sobie starsze dziecko.

- Przywiozę go tutaj - powiedziałam pewnego dnia, gdy wszyscy razem omawialiśmy ten problem. Słowa te wymówiłam automatycznie, zupełnie jak wtedy, gdy po raz pierwszy zaoferowałam swoją pomoc Mary. Po takim oświadczeniu rozwiązanie wydawało się oczywiste. Robiłam to dla obcych kobiet, więc dlaczego

nie miałabym pomóc bliskiej rodzinie?

- A co z jego papierami? - zapytał Mahmud, jak zawsze odgrywający rolę adwokata diabła. - Nie ma brytyjskiego paszportu.

- Może podróżować z paszportem Kahlida. - odparłam. - Są mniej więcej w tym samym wieku.

//5

- Nie mów głupstw - roześmiał się, czule gładząc włosy swojego najstarszego syna. - Khalid ma blond włosy i niebieskie oczy, a Yussuf ciemną karnację i brązowe oczy. To się nie uda. Każdy na wpół przytomny celnik zauważy różnicę i wsadzą cię do więzienia.

- Możemy Yussufowi rozjaśnić włosy - powiedziałam, jakby zmiana wyglądu pełnej krwi Irakijczyka na Brytyjczyka o jasnych włosach była najprostsza rzeczą na świecie.

- Nie uważasz, że mały Irakijczyk z rozjaśnionymi włosami będzie wyglądał podejrzanie? - Mahmud roześmiał się ponownie. Zaczynał mnie denerwować wymyślaniem przeszkód. Miałam zwyczaj po prostu jechać na pomoc dzieciom, a o szczegóły martwiłam się później. Muszę jednak niechętnie przyznać, że wątpliwości Mahmuda zawsze pomagały mi skupić się na początku każdej misji i zmuszały do oceny moich planów i założeń. Odrzucałam wtedy niektóre z bardziej absurdalnych pomysłów, dzięki czemu unikałam niemądrych decyzji.

- W porządku - zamilkłam na chwilę, zastanawiając się nad tym, co powiedział. - Możemy więc ogolić mu głowę i powiemy, że jest chory na raka. Dzięki temu każdy urzędnik, który będzie kręcił nosem, od razu okaże współczucie. Przecież nie będą zadawać zbyt wielu pytań małemu chłopcu, który przechodzi chemioterapię, prawda?

- A co z jego oczami? - zapytał Mahmud po chwili namysłu. Widziałam, że zaczynam go powoli przekonywać.

- Będzie musiał mieć je ciągle zamknięte - odpowiedziałam.

- Jak zamierzasz przekonać sześciolatniego chłopca do zamknięcia oczu na całą podróż, to sześć godzin albo jeszcze dłużej - zapytał, trochę zbyt triumfująco, jak na mój gust.

//6

Musiałam przyznać mu rację. Wiedziałam z doświadczenia, jak trudno jest utrzymać dzieci w miejscu w trakcie długiej podróży.

- Będziemy musieli podać mu środek uspokajający - powiedziałam w końcu. - Trochę valium powinno wystarczyć. Jeśli tylko będzie miał zamknięte oczy podczas kontroli paszportowych, wszystko będzie w porządku.

Mahmud wyrzucił w górę ręce, jakby w rozpaczy, ale nie wysunął już żadnych argumentów. Myślę, że zdawał sobie sprawę, iż wykorzystam ten sposób bez względu na to, co powie. Poza tym, podobnie jak ja, chciał, aby jego siostra jak najszybciej odzyskała dziecko.

Chociaż starałam się, żeby mój pomysł wyglądał na prosty, byłam bardzo zdenerwowana faktem, że trzeba będzie podać tak małemu dziecku środki uspokajające. Co się stanie, jeśli dam mu zbyt dużą dawkę, która mu zaszkodzi?

Będę musiała podać mu minimalną ilość, co oznaczało, że trzeba będzie go nauczyć, jak ma się zachowywać, gdy nie śpi. Będzie musiał nazywać mnie mamą i gdyby

ktoś pytał, przedstawiać się jako Khalid. Powinnam była wcześniej pojechać do Iraku, by przed podróżą powrotną nauczyć go, jak powinien się zachowywać, udając Brytyjczyka. Pomysł odwiedzenia rodziny Mahmuda coraz bardziej we mnie kiełkował i postanowiłam zabrać ze sobą moją córeczkę Amirę. Miała wtedy trzy i pół roku i pomyślałam, że będzie dobrze, jeśli pozna rodzinę swojego ojca.

Wiedziałam, że będą bardzo podekscytowani jej przyjazdem, a poza tym, mając ze sobą dwójkę dzieci, będę wyglądała mniej podejrzanie.

Kupiłam powrotne bilety lotnicze do Jordanu dla siebie, Khalida i Amiry, chociaż Khalid wcale nie miał z nami lecieć. Moja przyjaciółka, Jane, zgodziła się pojechać ze mną

//7

do Jordanii, a potem wrócić razem, gdy przewiozę Yussufa przez iracką granicę.

Zauważyłam, że ludzie zawsze chętnie pomagają mi, wiedząc, że robią coś dla dzieci. Podczas mojego pobytu w Iraku miała odwiedzić swoją rodzinę w Libanie. Gdybym potrzebowała pomocy w trakcie podróży, mogłam na nią liczyć.

Musiałam się zgłosić po wizę do irackiej ambasady. Potrzebowałyśmy także wiz do Jordanii, ponieważ właśnie stamtąd, po przekroczeniu granicy irackiej, miałyśmy wracać wraz z Yussufem udającym Khalida.

Nasz plan nabierał realnych kształtów. Miałyśmy jechać na lotnisko Heathrow, by sprawdzić rozkład lotów do Jordanii. Po wejściu do samolotu odesłałabym Khalida razem z ojcem do domu, tłumacząc obsłudze, że jest chory. Zawsze miał słabe zdrowie i chyba nie byłoby trudno przekonać personel, że chłopiec nagle źle się poczuł. Khalid i Mahmud wróciliby wtedy do domu, a ja z Amirą i Jane poleciałabyśmy do Jordanii. Liczyłam na to, że uda mi się podstemplować paszport Khalida po przybyciu do tego kraju. Wtedy oficjalnie znalazłby się w Jordanii i Yussuf jako Khalid mógłby wrócić z nami bez żadnych przeszkód. Jeśli nie udałooby mi się zdobyć pieczątki w paszporcie Khalida, wzbudziłoby to podejrzenia. Plan nie był idealny, ale lepszego nie udało mi się opracować. Poza tym często okazywało się, że gdy wpakowywałam się w pozornie beznadziejne sytuacje, szczęście mi sprzyjało. Wierzę swoim przeczuciom i nierzadko zdaję się na łut szczęścia i przeznaczenie. Całą rodziną pojechaliśmy na lotnisko razem z Jane i przeszliśmy przez odprawę paszportową. Wtedy stał się cud - stojąc jeszcze przy urzędniku, Khalid zaczął narzekać, że źle się czuje. Gdybym próbowała go namówić do

//8

udawania, z pewnością nie wyszłoby mu lepiej. Przyłożyłam dłoń do jego czoła - miał gorączkę. Ktoś tam w górze musiał tego dnia nad nami czuwać. Na pewno nie byłby tak przekonujący, gdyby udawał chorobę - ja zresztą też nie. Z jednej strony poczułam ulgę, że wszystko układa się zgodnie z planem, z drugiej jednak zmartwiłam się, że mój kochany synek rzeczywiście się rozchorował i to akurat teraz, kiedy musiałam go zostawić na kilka tygodni. Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie powinnam odłożyć wyjazdu i wrócić z nim do domu, ale w końcu uznałam, że muszę trzymać się planu.

- Będzie pani musiała anulować jego bilet powrotny i kupić nowy - powiedział pracownik linii lotniczych, gdy z niepokojem obserwowałam, jak Khalid przytula się do Mahmuda.

- Nie, nie, proszę się nie martwić - powiedziałam starając się zachowywać jak najbardziej normalnie. - Mój mąż wylatuje za kilka dni. Będzie mógł zabrać ze sobą synka, kiedy poczuje się lepiej i wykorzystamy bilet powrotny, tak jak planowaliśmy. Mężczyzna próbował zaprotestować, ale za mną utworzyła się już kolejka, a on musiał szybko odprawić pasażerów, by umożliwić start samolotu o czasie.

Najwyraźniej nie chciał jeszcze bardziej niepokoić matki zamartwiającej się o chore dziecko, więc skinął głową i pozwolił nam przejść.

Pożegnałam się z Mahmudem i Khalidem, raz jeszcze przykładając rękę do jego czoła i przekazałam mężowi mnóstwo instrukcji, co ma zrobić z dzieckiem po przyjeździe do domu. Mahmud pocałował mnie, żebym mnie uciszyć, obiecał, że dobrze zaopiekuje się Kahlidem i życzył miłej podróży. Kiedy przechodziłam do części terminalu przeznaczony dla pasażerów wylatujących z Heathrow, czułam się

lig okropnie, jakbym porzuciła mojego małego chłopca. Wiedziałam, że muszę na chwilę przestać o nim myśleć i skupić się na wyzwaniu, jakie stało przede mną. Jane była bardzo miła i wciąż mnie zapewniała, że Mahmud z pewnością poradzi sobie w każdej sytuacji, a Amira skutecznie rozpraszała moje troski. Po wejściu na pokład samolotu nie mogłam przestać myśleć o tym, co się stanie, gdy wylądujemy w Jordanii bez jednego z dwojga dzieci, które powinny z nami podróżować.

Wiedziałam, że najważniejsze jest zdobycie pieczątki w paszporcie Khalida i że będę musiała w jakiś sposób oszukać urzędnika na lotnisku, aby podstemplował dokument nieobecnego Khalida. Wciąż myślałam o tym, jak to zrobić, ale każdy pomysł wymagał zaistnienia konkretnych okoliczności, a nie byłam pewna, że takie się zdarzą. W końcu zdałam sobie sprawę, że nie mogę zaplanować szczegółowo tego, co zrobię. Musiałam po prostu wierzyć, że szczęście i tym razem mnie nie opuści. Takie myśli nie pozwoliły mi jednak wypocząć w trakcie lotu.

Podczas lądowania byłam tak zdenerwowana, że oddychanie przychodziło mi z trudnością. Amira wciąż szarpała mnie za rękę i zadawała jakieś pytania, ale nie mogłam się skupić na tyle, by móc jej odpowiedzieć. Umysł miałam zbyt zajęty zastanawianiem się, jak się zachować. Jane zauważyła, że jestem zdenerwowana i odciągnęła Amirę, by odpowiadać na pytania, które miała bez przerwy zadawała.

Dzięki temu mogłam się skupić na tym, co miałam zrobić. Musiałam dobrze wywiązać się z tego zadania, inaczej za dwa, trzy tygodnie praktycznie nie miałam szans na wydostanie się z Jordanii razem z Yussufem.

Dołączyliśmy do tłumu pasażerów idących z samolotu do hali przylotów. Tam wszyscy ustawili się w dwóch kolejkach do urzędników sprawdzających paszporty i wizy.

/20

Amira i ja stanęłyśmy w jednej kolejce, a Jane w drugiej. Najprawdopodobniej dość szybko posuwaliśmy się naprzód, ale mnie czas ciągnął się w nieskończoność. Kiedy zbliżyłyśmy się do okienka, zaczęłam wołać: „Khalid! Khalid! Chodź tutaj! Jesteśmy już na początku kolejki. Khalid!”. Amira była już zmęczona i nie chciało jej się wyjaśniać mi, że jej brat został przecież w Londynie, więc nie ma sensu go wołać. Stanowisko urzędnika było zbyt wysokie, by mogła go zobaczyć, więc zamknęła się w swoim dziecięcym świecie i ignorowała wszystko, co robiłam. Wydaje mi się, że

jest przyzwyczajona do tego, że wciąż wołam któreś z nich, i pewnie nie zwracała większej uwagi na moje pokrzykiwania. Gdy przyszła nasza kolej, by sprawdzić dokumenty, robiłam wrażenie zdenerwowanej i sfrustrowanej matki.

- Gdzie jest pani syn? - zapytał mężczyzna, patrząc w dokumenty.
- To bardzo niegrzeczny, mały chłopiec - powiedziałam po arabsku. - Przebiegł tamtędy - wskazałam na drugą stronę barierki.
- Czy byłby pan tak uprzejmy posłać kogoś, by go przyprowadził?
- W porządku - uśmiechnął się - nie ma problemu. Podstemplował paszporty i przepuścił nas dalej. Pewnie

sam był ojcem i wiedział, co to znaczy podróżować z małymi dziećmi.

Byłam z siebie dumna. Przechodząc na drugą stronę barierki czułam, jakby ktoś zdjął mi z ramion ogromny ciężar. Udało się! Byłam w Jordanii i miałam podstemplowany paszport, z którym Yussuf będzie mógł wracać. Teraz przez kilka kolejnych dni mogłam się odprężyć i cieszyć odwiedzinami u rodziny. Od razu wyszłam z Amirą z terminalu,

121

pozostawiając Jane odebranie bagażu. Chciałam jak najmniej czasu być w zasięgu kamer znajdujących się na terenie budynku. Mogłyby zarejestrować fakt, że podróżuję tylko z jednym dzieckiem. Policjanci stojący przy ostatniej bramce nie sprawdzali już paszportów, więc od razu wyszliśmy na zewnątrz.

Po kilku minutach dołączyła do nas Jane, przynosząc nasze walizki. Następnego dnia wylatywała do Libanu, więc zameldowała się w hotelu, a ja znalazłam taksówkarza, który zgodził się za rozsądną cenę zawieźć mnie i Amirę do Iraku. Zaplanowałyśmy, że przed powrotem do domu spotkamy się z Jane w Ammanie, żeby pomogła mi w podróży z dwójką dzieci i bagażami.

Gdy się z nią pożegnałyśmy, wróciłam na postój taksówek. Bardzo chciałam jak najszybciej dostać się do rodziny. Amira była już znużona długą podróżą, a mnie zmęczył stres. Nasz kierowca jechał wprost do granicy, zatrzymując się tylko na stacjach benzynowych i co kilka godzin dla odświeżenia. Czułam, że specjalnie planuje postoje, żeby móc zapalić papierosa. Na przydrożnych straganach kupowaliśmy zimne napoje, a napotkani ludzie byli bardzo przyjaźni i życzyli nam przyjemnej podróży na wschód.

Na jednym z postojów, gdy poszłyśmy się odświeżyć, zajęte praniem i rozmowami kobiety rozstały się, by nas przepuścić. Szłam z drepczącym obok małym blond aniołkiem, a one zaczęły mówić między sobą po arabsku o niezwykłych włosach Amiry. Kiedy odpowiedziałam im w ich języku, zgromadziły się wokół nas, poruszone spotkaniem kogoś z Wielkiej Brytanii, kto zna ich język i zaczęły gładzić Amirę po głowie i radośnie z nami gawędzić. Czułam się jak na weselnym przyjęciu urządzonym w publicznej łaźni.

/22

Pomimo zmęczenia i obaw cieszyłam się, że znów jestem na Środkowym Wschodzie - mogłam napawać się znajomymi krajobrazami, zapachami i widokiem przyjaznych twarzy na ulicach. Gdy przejeżdżaliśmy przez mniejsze miejscowości, machały do nas dzieci, czasami też biegly przy naszym samochodzie przez kilka metrów. Na czas podróży zabrałam zapas chrupek i przekąsek, w razie gdyby Amira zgłodniała, ale

żadnej z nas nie chciało się jeść. Byłam tak zmęczona napiętą sytuacją na lotnisku, że przysypiałam na tylnym siedzeniu, budząc się na wybojach lub gdy samochód nagle wpadał w jakąś dziurę.

Podróż do granicy zajęła nam osiemnaście godzin, a Amira przytulona do mnie przespała większość tego czasu. Samochód był brudny i przesiąknięty zapachem tytoniu. Panował straszny upał, ale kierowca bardzo starał się, by podróż była przyjemna i wygodna - nie mógł jednak zrobić zbyt wiele. Nasza wyprawa była prawdziwym testem wytrzymałości. Założyłam słuchawki od walkmana na uszy i słuchałam nagrań Van Morrisona. Przez kolejne godziny wokół widać było pustynny krajobraz i pomyślałam, że gdyby samochód się zepsuł w takim miejscu, stalibyśmy na drodze w nieskończoność, czekając aż ktoś będzie przejeżdżał. Kierowca nie martwił się o to, więc uznałam, że samochód musi być w dobrym stanie.

W końcu dotarliśmy do granicy, gdzie na spotkanie wyjechała matka Mahmuda. Wyjeliśmy nasze bagaże z taksówki i wręczyłam kierowcy zapłatę za kurs. Nie musiałam pokazywać urzędnikom paszportu Khalida, ponieważ oficjalnie nie miał się pokazywać aż do odprawy na lotnisku w Ammanie. Wydawało mi się, że nie będziemy musieli nikogo przekonywać, że był w Iraku, a potem z niego wyjechał. Chociaż dotarliśmy już tak daleko, wciąż jeszcze

123

czekała nas długa droga. Do rodzinnego miasta Mahmu-da, Mejefu, trzeba było jechać kolejne dziewięć godzin. Bardzo chciałam jak najszybciej znaleźć się na miejscu. Myśl o wyciągnięciu się na łóżku była bardzo kusząca.

Matkę Mahmuda spotkałam kilkakrotnie w Wielkiej Brytanii i dobrze się czułyśmy w swoim towarzystwie. Cała rodzina mojego męża była dla mnie bardzo serdeczna, gdy za niego wychodziłam, a tego dnia na granicy niezmiernie ucieszyłyśmy się z ponownego spotkania. Wszyscy bardzo chcieli zobaczyć Amirę, ponieważ jest jedyną dziewczynką w całej rodzinie - wszyscy bracia i siostry Mahmuda mają synów.

Wiedząc, jak ważne dla nich były narodziny mojej córeczki, dałam jej na drugie imię Fatima - po mojej teściowej. Matka Mahmuda jest jedną z najbardziej życzliwych osób, jakie kiedykolwiek poznałam, okazała mi dużo więcej ciepła niż moja własna matka.

Rodzina męża, jak na standardy irakijskie, żyje całkiem komfortowo. Mają ładny dom z masywnymi, drewnianymi drzwiami i duży ogród pełen drzew owocowych. Po prawie trzydziestu sześciu godzinach podróży miałam wrażenie, jakbym dotarła do oazy na pustyni. Czułyśmy się jak w niebie, mogąc w końcu po tylu godzinach spędzonych w pozycji siedzącej w samolocie i samochodzie, wygodnie wyprostować nogi na miękkich łóżkach. Z rozkoszą zasia-dłyśmy też do spokojnego posiłku, który był miłą odmianą po pospiesznym jedzeniu byle jakich przekąsek w czasie drogi. Gdy weszłyśmy do domu, okazało się, że przygotowano dla nas duże powitalne przyjęcie. Zadzwoiłam do Mahmuda, by powiedzieć mu, że dotarliśmy bezpiecznie, oraz zapytać, jak czuje się Khalid. Mąż dał mi go do telefonu i po głosie poznałam, że już całkiem wyzdrowiał. Poczulałam dużą ulgę. Podczas wielogodzinnej podróży często

124

wyobrażałam sobie, jak leży chory w łóżku i miałam wyrzuty sumienia, że nie ma

mnie przy nim.

Gdy skończyłam rozmowę, wymieniliśmy prezenty a wszyscy zachwycali się Amirą, która zachowywała się bardzo wdzięcznie, zadowolona, że znalazła się w centrum uwagi. Yussuf był podekscytowany naszym przyjazdem, ponieważ wiedział, że przybyliśmy po niego i wkrótce zabierzemy go do jego mamy w Wielkiej Brytanii. Zarówno on, jak i ja, musieliśmy wykonać wiele pracy, miałam siedemnaście dni, by nauczyć go, jak zachowuje się mały chłopiec wychowywany na Zachodzie. To pomogłoby nam oszukać pracowników lotniska zarówno na początku, jak i na końcu drogi.

- Podczas podróży - wyjaśniałam mu - będę twoją mamą i tak musisz mnie nazywać. Od dzisiaj będziemy ćwiczyć, żebyś się przyzwyczaił. Przez następne kilka tygodni będziesz miał na imię Khalid i tak będziemy do ciebie mówić, żebyś się nie pomylił i przy kimś obcym nie nazwał cię Yussufem, dobrze?

Z powagą pokiwał głową, ale jakże mógł to zrozumieć? Prawdopodobnie nie był nigdzie poza swoją wioską, a z pewnością nigdy na międzynarodowym lotnisku. Skąd miał wiedzieć, co się będzie działo albo jak ważne było to, aby żadne z nas się nie pomyliło?

- Jeśli wszystko dobrze zrobisz - powiedziałam mu - to kiedy przyjedziemy do Londynu do twojej prawdziwej mamy, kupię ci duży rower.

Później musiałam nauczyć go wystarczająco wielu słów po angielsku, żeby umiał odpowiedzieć, gdyby ktoś się do niego odezwał lub o coś zapytał. Do tej pory nie znał ani jednego słowa w tym języku. Był spokojnym, zamkniętym w sobie małym chłopcem i ciężko było zgadnąć, co myśli.

/25

Ponieważ tak długo mieszkał ze swoim ojcem i dziadkami, był bardzo rozpieszczony - nie oczekiwano od niego nawet tego, że będzie samodzielnie jadł. Musiałam to zmienić. Nie mogłam ryzykować, że nie będzie umiał użyć noża i widelca, gdy podczas lotu podadzą mu posiłek. To od razu wzbudziłoby podejrzenia. Nauczyłam go więc, jak jeść za pomocą sztućców. Bardzo chętnie wykonywał wszystko, o co go prosiłam, ale sprawiało mu to wiele trudności - mnie zresztą też.

Podczas mojej wizyty nie mogłam tylko pracować, musiałam także zachowywać się jak turystka. Chociaż byłam już kiedyś w Iraku, nigdy nie odwiedziłam tej części kraju. Oprowadzono mnie po miejscach, których nigdy wcześniej nie widziałam. Byłam zdumiona tym, co zobaczyłam. Pojechaliśmy obejrzeć świątynię i zszokował mnie widok straszego ubóstwa panującego w wioskach, które mijaliśmy. W każdej osadzie znajdowała się enklawa domów bogatych ludzi, a wokół niej mieszkali rolnicy, którzy bardzo dotkliwie odczuwali problemy ekonomiczne kraju. W sklepach znajdowało się mnóstwo towarów dla tych, których było na nie stać, ale najwyraźniej tacy ludzie stanowili tutaj mniejszość. Wiele budynków wyglądało, jakby liczyły tysiące lat, a każde pokolenie rozbudowywało je, dostosowując do powiększających się rodzin. Okolica robiła wrażenie, jakby budynki wyrosły tu w sposób naturalny, tysiące kilometrów od krzykliwej, niegodziwej współczesności panoszącej się w dużych miastach tego regionu.

Nieżyjący już ojciec Mahmuda był dość bogatym biznesmenem i dobrze wyposażył rodzinę. Jego grób znajdował się dziesięć minut drogi od rodzinnego domu i



pojechaliśmy tam, by oddać mu cześć. Siostry Mahmuda mieszkały niedaleko rodziców w swoich domach, zbudowanych

/26

w tradycyjnym stylu, podobnie jak rodzina Karima. Wszyscy troszczyli się o siebie nawzajem, żyjąc w dużej zażyłości, a ich wspólne korzenie sięgały daleko w przeszłość. Ten sposób życia bardzo różnił się to od tego w Londynie, gdzie ludzie często nie mają pojęcia, kim są ich sąsiedzi i gdzie nie zwraca się uwagi na ludzi leżących na ulicach.

Oczywiście życie w tamtych warunkach miało też wady. Musiałam przyzwycząić się do karaluchów, które przebiegały po podłodze, gdy nieoczekiwanie wchodziliśmy do pokoi i zgniatanie chrzęściły pod naszymi stopami. Wieczorami, tuż za oknem, rechotały małe żaby. Amira chodziła ich szukać w ciemnościach i krzyczała przestraszona i jednocześnie uradowana, kiedy wyskakiwały z trawy powyżej jej głowy, jakby bawiły się z nią i uciekały, skacząc. Biegła za nimi, piszcząc całą drogę, zabierała zbiegów na ogrodową huśtawkę i dalej przestraszonymi oczkami patrzyła, jak skaczą wokół niej.

W samym środku lata, w sierpniu, przyjechałyśmy do jednego z najgorętszych miejsc na ziemi. Panujący w ciągu dnia upał był nie do zniesienia. Prąd dostarczano tylko przez kilka godzin dziennie, więc nie można było włączyć klimatyzatorów czy wiatraków. Musiałyśmy po prostu znosić żar, poruszając się powoli, by nie stracić za dużo energii i spędzać jak najwięcej czasu w cieniu. W godzinach, gdy panowały najwyższe temperatury, wszędzie zapadała zupełna cisza, milkły głosy ptaków, zwierząt i ludzi. Amira odczuła szczególnie nieprzyjemnie wysoką temperaturę, ponieważ uczuliła się na słońce i dostała wysypki na udach.

Po zachodzie słońca siadałam w ogrodzie, ciesząc się wieczornym chłodem i patrzyłam w gwiazdy, które wyglądały na znacznie jaśniejsze niż te, które widziałam w swoim

/27

kraju. Myślałam wtedy o mężu i synkach, zastanawiałam się, jak sobie bez nas radzą. Próbowałam sobie wyobrazić, co robią w danej chwili. Dokoła panował spokój, powietrze było bardzo przejrzyste i wreszcie czułam się pobudzona do życia po bezruchu panującym w ciągu dnia. Pomimo tęsknoty za rodziną i niepokoju związanego z podróżą powrotną, czułam się tam szczęśliwa. Ludzie byli mili, życzliwi, nie osądzali drugich, przyjmowali mój przyjazd bez żadnych zastrzeżeń czy podejrzeń.

Nawet ludzie spotykani przypadkiem chętnie rozmawiali z Brytyjką, która wyszła za mąż za Irakijczyka i mówiła w ich języku. Czasami chcieli mnie tylko dotknąć, jakby sprawdzali, czy jestem prawdziwa. Czułam się, jakbym przeniosła się w czasie do dni, kiedy spisywano Koran, do świętych czasów, gdy ludzie i ich życie było prostsze, a zasady jasne i zrozumiałe. Pomyślałam wtedy, że gdyby nie rząd i wszystkie ciężary nakładane na ludność, Irak byłby wspaniałym krajem. Nie można jednak dobrze prosperować w państwie, gdzie panuje okrutny reżim, a większość krajów na świecie chce go zniszczyć, utrudniając życie zwykłych ludzi. Yussuf, aby zyskać wolność, musiał opuścić ten zakątek i pojechać za mamą do Wielkiej Brytanii. Amira uwielbiała swoją babcie. Fatima jest puszystą kobietą i kiedy wychodziły z

domu, chowała małą wnuczkę w fałdach swojej czarnej szaty, aby strzec ją przed „złym wzrokiem”. Mówiła, że Amira jest tak ładna, że grozi jej niebezpieczeństwo i musi być ukrywana. Amiry oczywiście nie obchodziło żadne niebezpieczeństwo, ale podobało jej się to, że tak się o nią troszczą. Dla niej cała podróż była wspaniałą przygodą i okazją na zaznanie mnóstwa pieszczot. Nic nie wiedziała o zagrożeniach związanych z próbą przemycenia jej małego kuzyna do Wielkiej Brytanii.

128

Minęło siedemnaście dni mojego pobytu w Iraku i chociaż Yussuf bardzo starał się zapamiętać wszystko, co mówiłam, wciąż nie mógł jeszcze udawać Brytyjczyka. Poza tym problem wciąż polegał na tym, że jego wygląd zupełnie nie zgadzał się z rysopisem Khalida w paszporcie. Musieliśmy wrócić do mojego pierwotnego planu: ucharakteryzować go i podać środek uspokajający. Mahmud miał rację, gdy krytykował mój pomysł rozjaśnienia chłopcu włosów. Wyglądałyby sztucznie, jasny kolor kontrastowałby z ciemną karnacją, poza tym pozostawał problem brwi, rzęs i ciemnych włosów na rękach.

Ojcu Yussufa udało się dostać wizę do Jordanii dla siebie i syna, i zamierzał pojechać z nami do Ammanu. Dzięki temu chłopiec czułby się bezpieczniej podczas pierwszego etapu podróży. Zdecydowaliśmy, że do czasu przyjazdu do Ammanu nie będziemy zmieniać jego wyglądu, by mógł ze swoim paszportem wyjechać z Iraku. Wynajęliśmy kolejnego kierowcę, który zabrał nas w długą podróż przez pustynię. Smutno mi było, gdy opuszczałam ludzi, których teraz uważałam za rodzinę, tak samo moją jak Mahmuda. Mojej teściowej musiało być bardzo ciężko, gdy widziała machających jej na pożegnanie Yussufa i Amirę. Wiedziała przecież, że jadą bardzo daleko. Cieszyła się ich obecnością i z pewnością tęskniła potem za nimi. Obserwowałam ją z samochodu, gdy odjeżdżaliśmy - stała przed domem i machała nam, aż zniknęliśmy jej z oczu. Pewnie zastanawiała się, czy kiedykolwiek jeszcze zobaczy swoje wnuki. Pomyślałam o Florze, babci Marlona, która, pozbawiona możliwości obserwowania jak dorasta jej wnuczek, samotnie spędza czas w małym domku na Cyprze. Stało się tak tylko dlatego, że nie mogłam ułożyć sobie życia z jej synem. Poczulałam wielki smutek - tak wielu niewinnych ludzi

/2Q

cierpi wskutek cudzych błędów. Czasami rozmawiam z Florą przez telefon i zawsze jest bardzo uprzejma, ale mam pewność, że musi mnie wciąż nienawidzić za to, co zrobiłam jej rodzinie. Gdybym była na jej miejscu i jakaś kobieta zabrała mi ukochanego wnuka, chyba nie potrafiłabym jej tego wybaczyć.

Podczas drogi do Ammanu nie napotkaliśmy żadnych przeszkód - znów przesiadaliśmy długie nudne godziny w niewygodnym samochodzie. Na granicy z Jordanią wszystko poszło gładko. Gdy dotarliśmy do miasta, zaczęliśmy się poważnie zastanawiać, co zrobić z wyglądem Yussufa. Mieszkaliśmy w apartamencie mojego przyjaciela i tam właśnie, dzień przed wylotem, zaczęliśmy zmieniać chłopca w Khalida. Maszynką do strzyżenia ścięliśmy jego loki, a potem maszynką do golenia ogoliliśmy resztę włosów. Przykro było patrzeć, jak jego grube, lśniące czarne loki spadają na podłogę.

- Powinniśmy zebrać jego włosy i zrobić mu perukę - zażartowałam, gdy goliliśmy go na łyso. Widziałam, że Yussuf jest przerażony tym, co z nim robimy, i żadne żarty

nie pomogą.

- Nie martw się, Khalid - mówiłam. - Zobaczysz, jak szybko odrosną ci włosy. A kiedy przyjedziemy do Wielkiej Brytanii, kupię ci czapkę, żebyś nie zmarzł. Już samo ogolenie włosów bardzo go zmieniło, ale też sprawiło, że bardziej rzucał się w oczy. Wiedzieliśmy, że ludzie będą się mu przyglądać, więc trzeba będzie zadbać o inne szczegóły jego wyglądu, które mogłyby go zdradzić. Jego grube ciemne brwi miały stać się kolejnymi ofiarami maszynki do strzyżenia, następnie ogoliliśmy mu ręce. Choć włoski dopiero co wyrosły z ciemnej skóry, wystarczyłyby, żeby nas zdemaskować. Wiedziałam, że jeśli miał

130

wyglądać na chłopca po chemioterapii, nie może mieć żadnego widocznego owłosienia, poza tym musi wyglądać, jakby przed chorobą był blondynem. Czułam się okropnie, tak bardzo go oszpecając. Był bardzo ładnym chłopcem, ale po skończeniu naszych zabiegów wyglądał, jakby przed chwilą wyszedł z obozu koncentracyjnego. Wielkie ciemne oczy patrzyły smutnie z małej twarzyczki, co sprawiło, że miałam jeszcze większe poczucie winy. Teraz już byliśmy pewni, że przez większość podróży będzie musiał mieć zamknięte oczy.

Oficjalna wersja od teraz brzmiała tak: mały Khalid choruje na białaczkę i podczas leczenia zastosowano chemioterapię, aby przedłużyć mu życie.

Nasz samolot miał wystartować o drugiej nad ranem, a Jane miała przylecieć z Libanu i przyjechać do naszego mieszkania, by pomóc mi na lotnisku. Jeśli miałam dać Yussufowi środki uspokajające, jedna z nas musiała go nieść, a druga zająć się bagażem i Amirą. Noszenie na rękach bezwładnego sześciolatka nie jest prostym zadaniem i nie byłabym w stanie sama sobie z tym poradzić bez zwracania na siebie uwagi.

Gdy, jak grupa uchodźców, wchodziliśmy na opustoszałe nocą lotnisko, ogarnęło mnie znajome uczucie strachu i poczułam skok adrenaliny. Znacznie mniej rzucalibyśmy się w oczy, podróżując w ciągu dnia. Wtedy można ukryć się w tłumie, a przepracowani urzędnicy starają się odprawić podróżnych jak najszybciej.

Wiedziałam, że to co robię, jest nielegalne zarówno w Jordanii, jak i w Wielkiej Brytanii, i bałam się. Gdybyśmy teraz zostały złapane, z pewnością trafiłybyśmy do więzienia. Podróżowanie z fałszywymi dokumentami jest poważnym przestępstwem, ale w tym momencie nie mogłam się już wycofać. Ojciec Yussufa wrócił

131

do Iraku i nie było odwrotu. Teraz, po ogoleniu i podaniu małemu chłopcu środków uspakajających, nie mogłam stchórzyć.

Znudzony i zaspany urzędnik, który sprawdzał nasze paszporty, nie oddał ich od razu i przez chwilę przyglądał się intensywnie mojej twarzy. Odwróciłam wzrok, unikając konfrontacji, jednocześnie nie chciałam wyglądać podejrzanie. Czułam, jakby próbował przeniknąć moje myśli, by poznać wszystkie kryjące się tam tajemnice.

Zawołał swoich kolegów, którzy najwyraźniej nie mieli co robić, i wszyscy stłoczyli się nad naszymi dokumentami, wymieniając uwagi i spoglądając na nas. W końcu poprosili nas na stronę. Jane trzymała Yussufa na rękach, któremu założyłyśmy czapkę baseballową, miał też za duże ciemne okulary, które wciąż zsuwały mu się z nosa. Spał głęboko - tuż przed wyjściem z mieszkania dałyśmy mu dwie tabletki

valium - a do tego był zmęczony podróżą samochodem. Jane podciągnęła go, opierając na biodrze, a on zwiesił głowę na jej ramieniu. Zauważyłam, że z kącika ust wypłynęła mu strużka śliny, ale nie zamierzałam jej wycierać - potęgowała wrażenie, że jest poważnie chory.

Byłam dumna z osiągniętego efektu. Założyłam mu ubranie Khalida i plecak z Gwiezdnymi Wojnami. Wyglądał, jakby wyjechał na wakacje. Założyłyśmy też biedakowi pieluszkę, żeby nie było widać, jeśli zmoczy się podczas snu.

- Dlaczego syn nie pojechał do Iraku razem z panią i pani córką? - zapytał jeden z urzędników, wskazując na stemple w paszportach. Poczulałam skurcz żołądka, zlałam się potem i chyba ścisnęłam mocno rączkę Amiry, bo zaskoczona aż zapiszczała. Popatrzyłam urzędnikowi prosto w oczy, wykorzystując wszystkie swoje aktorskie umiejętności.

132

- Mój synek umiera - powiedziałam, wskazując na główkę Yussufa. - Ma raka. Zostało mu tylko kilka miesięcy życia. Chciałam zabrać go do świątyni w Iraku, by odmówić modlitwy za jego zdrowie, ale nie był na tyle silny, by przetrwać tę podróż. Historia była tak smutna, że poczułam, jak łzy napływają mi do oczu, a głos drży. Chciałabym powiedzieć, że mam talent aktorski, ale myślę, że moja reakcja była raczej spowodowana stresem i zmęczeniem.

- Został z naszymi przyjaciółmi w Ammanie, a my pojechaliśmy modlić się za niego. Przewidywałam, że ktoś może zadać to pytanie, więc postanowiłam zapewnić nam alibi. Przyjaciel, w którego mieszkaniu zmieniliśmy tożsamość Yussufa, zgodził się potwierdzić, że chłopiec u niego został, kiedy pojechaliśmy do Iraku.

- W porządku - urzędnik oddał nam dokumenty, wciąż nie do końca przekonany. - Proszę przejść.

- Czy jest tu gdzieś miejsce, w którym mogłybyśmy się pomodlić? - zapytałam.

- Tak - powiedział łagodniejszym tonem, najwyraźniej wzruszony widokiem tak pobożnej kobiety, która stara się zrobić co w jej mocy dla swojego umierającego synka - na piętrze, proszę zabrać tam dziecko.

Zgodnie z jego wskazówkami udałyśmy się na górę, gdzie miałyśmy nadzieję znaleźć się poza zasięgiem kamer. Wtedy usłyszałyśmy ogłoszenie dotyczące naszego samolotu - został opóźniony o trzy godziny. Serce mi zamarło. Im dłużej przebywaliśmy w prawie pustym terminalu, tym większe prawdopodobieństwo, że Yussuf się obudzi i zaczniemy zwracać na siebie uwagę przedstawicieli władz. Nic jednak nie mogliśmy na to poradzić.

133

Musiałymy po prostu zacisnąć zęby i przetrwać przedłużające się napięcie.

Wiedziałam, gdzie jest pokój modlitw, ale nie chciałam tam jeszcze wchodzić. Gdyby ktoś zapytał, powiedziałabym, że pójdziemy tam, gdy odpoczniemy. Znalazłyśmy krzesła stojące na uboczu i usiadłyśmy na nich. Jane z wyraźną ulgą posadziła Yussufa na siedzeniu. Zaczynał się poruszać i coś mamrotać, ciemne okulary zsunęły mu się na koniec nosa, przez co wyglądał jak bezwładna lalka brzuchomowcy.

- Chyba zaczyna się budzić - powiedziałam.

- Co zrobimy? - zapytała Jane, gdy chłopiec otworzył swoje ciemne oczy, które wyraźnie odcinały się od pozbawionej loków twarzy.

- Damy mu jeszcze jedną tabletkę - odparłam.
  - Nie możemy - zaprotestowała przerażona. - Zabijemy go, jeśli nie będziemy ostrożne.
  - Nie mamy wyboru. Musi siedzieć cicho przez kilka kolejnych godzin. Miał być umierający, jeśli zacznie biegać po lotnisku, będzie po nas.
- Yussuf coś mamrotał. Przysunęłam się do niego, by lepiej go słyszeć.
- Mówi, że musi iść do toalety - powiedziałam.
  - Nie może zrobić siusiu do pieluchy? - zaproponowała Jane.
  - Jeśli tak robi, może się okazać, że będziemy musiały zmienić mu ją jeszcze przed wejściem do samolotu. Będzie to cholernie trudne, biorąc pod uwagę jego wzrost.
  - Zaprowadzę go do toalety - zaoferowała się Jane, spoglądając na mnie z rezygnacją i wzięła go na ręce.

Gdy zniknęła w damskiej toalecie, z głośnika usłyszałam wezwanie do ponownej kontroli paszportowej. Nie

134

mogłam w to uwierzyć. Przysłuchiwałam się intensywnie, a serce waliło mi jak młotem. Informację powtórzono i nie miałam już wątpliwości, że chodzi o mnie. Raz jeszcze żołądek prawie wyskoczył mi przez gardło. Spojrzałam na drzwi toalety, ale po Jane nie było ani śladu. Zdjęcie i założenie biednemu Yussufowi pieluchy zajmie jej dobrych parę minut. Nie mogłam na nią czekać. Nie chciałam niepotrzebnie zwracać na siebie uwagi. I tak zrobił to już ogłoszony przed chwilą komunikat.

Lepiej było zejść, skoro Yussuf był teraz przytomny.

Schodząc po schodach, miałam wrażenie, że idę na egzekucję. Wyobraziłam sobie, jak czekający na mnie policjanci wsadzają mnie do furgonetki. Pomyślałam, że przez kilka kolejnych lat nie zobaczę swoich dzieci. Przyszło mi nawet na myśl, żeby spróbować ucieczki, ale wiedziałam, że to głupi pomysł. Złapałoby mnie, zanim dotarłabym do drzwi. Szłam z Amirą na rękach. Miała niewinną minę i niczym się nie przejmowała. Rozglądała się wokół i zadawała pytania, wskazując na różne rzeczy. Wyobraziłam sobie, jak mnie od niej zabierają. Gdyby mnie aresztowano i osądzono, zobaczyłabym ją dopiero wtedy, gdy będzie prawie dorosłą uczennicą - zaczęłam się trząść.

Gdy dotarłam do kontuaru, urzędnicy już na mnie czekali. Wydawało się, że nie mają nic innego do roboty. Żaden się nie uśmiechał, jakby chcieli mnie zastraszyć.

- Pani dokumenty! - zażądał jeden z nich, wyciągając dłoń.

Wyjęłam je z torby, starając się utrzymać jednocześnie Amirę i podałam urzędnikowi. Zauważyłam, że trzęsie mi się ręka. Miałam ochotę wyznać wszystko i zdać się na ich łaskę, żeby tylko przerwać ten czas oczekiwania. Może gdybym tak zrobiła, byłiby bardziej wyrozumiali i spędziłabym

135

w więzieniu tylko parę miesięcy, zamiast kilka lat. Zmusiłam się, żeby jeszcze przez chwilę nic nie mówić i utrzymać nerwy na wodzy, nie wszczynając fałszywego alarmu. Zaschło mi w gardle, nie byłam pewna, czy będę w stanie odpowiedzieć na jakiegokolwiek pytanie. Miałam problemy z nabraniem powietrza i bałam się, że stracę przytomność i upuszczę Amirę. Zmusiłam się jednak, by stać prosto. Mężczyzna zabrał ode mnie dokumenty i przejrzał je, kiwając głową, jakby jego podejrzenia się

potwierdziły. Pokazał je kolegom. Drugi mężczyzna spojrział w dokumenty, a potem oskarżającym wzrokiem na mnie.

- Pani pobyt trwał o trzy dni dłużej niż obowiązywała pani wiza - powiedział. - Musi pani zapłacić karę.

Poczułam ogromną ulgę i bezwiednie uśmiechnęłam się. A więc tylko o to chodziło. Przekroczyłam dozwolony czas pobytu i musiałam zapłacić im kilka funtów. Kwota nie była duża, znalazłam w torebce pieniądze i podałam im. Staralam się nie pokazać po sobie, jak bardzo chcę uciec i wrócić do Jane i Yussufa. Czułam, że znów mogę oddychać, ale nogi nadal mi się trzęsły. Niewygodnie mi było wchodzić z Amirą po schodach, tym bardziej że zaczęła się kręcić i chciała, by ją postawić na ziemi.

Usiadłam z powrotem na fotelu obok Jane, która wyszła już z toalety z półprzytomnym Yussufem, nie wiedząc nic o moich przeżyciach. Opisałam jej, co się stało, i siedziałyśmy cicho, mając nadzieję, że aż do wylotu nikt nie zwróci na nas uwagi. Amira była teraz całkiem rozbudzona i bardzo chciała wciągnąć Yussufa do zabawy. Uśmiechał się do niej życzliwie, gdy starała się go jakoś zachęcić.

W końcu, gdy nasze nerwy były już na skraju wytrzymałości, wywołano nasz lot i poszliśmy w stronę samolotu. Każda procedura sprawdzania pasażerów wydawała

130  
się trwać dwa razy dłużej niż zwykle, jakby wszystko działo się w zwolnionym tempie. Nie wiem, czy rzeczywiście strażnicy byli tak skrupulatni, czy po prostu chciałam jak najszybciej znaleźć się na pokładzie i wydawało mi się, iż wszystko trwa w nieskończoność. Gdy zbliżaliśmy się do bramki wykrywającej metal, mój żołądek znów dał o sobie znać i ze strachu poczułam mdłości. Wydawało mi się, że wszystkie moje włosy stoją na baczność. Widziałam, że Jane była tak samo spanikowana jak ja. Yussuf, po połknięciu kolejnej tabletki valium przed kilkoma minutami, znów zapadł w sen. Urzędnicy przyglądali nam się ze szczególnym zainteresowaniem, gdy przechodziliśmy przez bramkę, a może tylko tak mi się wydawało. Pewnie zawsze tak wyglądają, tylko mając czyste sumienie, nie zwracałam na to uwagi, myśląc jedynie o' dotarciu do samolotu na czas. W końcu weszliśmy na pokład, rozmawiając z członkami załogi. Amira usado: wiła się radośnie w swoim fotelu, ściągając na siebie uwagę stewardes, nieświadoma zamętu panującego w głowie jej matki.

Po potwornie długim czasie zamknięto wreszcie drzwi w samolocie, włączono silniki i zaczęliśmy kołować po płycie lotniska - znów wydawało mi się, że trwa to bardzo długo. Gdy już byłam pewna, że zawróciliśmy w stronę terminalu, bo przecież nie ma tak długich pasów startowych, koła oderwały się od ziemi i opuściliśmy Jordanię. Na tym się jednak nie kończyło - w Grecji musieliśmy przesiąść się do innego samolotu. Gdybyśmy porywały dziecko z arabskiego kraju, na greckiej ziemi byłibyśmy poza jurysdykcją kraju, z którego pochodzi ojciec dziecka. Yussuf jednak podróżował z brytyjskim paszportem, więc z łatwością mogliby nas odesłać z Aten

137

prosto do Jordanii albo od razu zamknąć w greckim więzieniu, które prawdopodobnie nie było wcale lepsze od jordańskiego.

Gdy samolot lądował w Atenach, Yussuf ponownie się obudził. Udało mu się coś zjeść i najwyraźniej nieco się ożywił. Poczułam ulgę, że nie zrobiliśmy mu krzywdy,

podając tabletki, ale jednocześnie denerwowałam się, że nie wygląda już na chorego. Nie miałam odwagi kolejny raz zaaplikować mu środka nasennego - chciałam w razie potrzeby wykorzystać tę metodę na Heathrow. Założyłam mu znów czapkę i ciemne okulary oraz przykazałam, by zachowywał się tak cicho i spokojnie, jak to tylko możliwe. Gdy wysiedliśmy z samolotu, zbliżyli się do nas umundurowani pracownicy lotniska, krzycząc coś i wymachując rękami. Serce na chwilę przestało mi bić, a z twarzy odpłynęła krew. Walczyłam ze sobą, by nie zabrać dzieci i nie zacząć uciekać przez pas startowy.

- Szybciej, szybciej! - krzyczeli. - Wasz samolot czeka! Nasz lot z Jordanii był opóźniony, a grecki samolot już

stał na płycie lotniska gotowy do startu. Pobiegliśmy do niego i znów wznieśliśmy się w powietrze. Załoga naziemna była zbyt zajęta pospieszaniem nas, by zwracać uwagę na Yussufa i jego dokumenty. Teraz pozostało nam przejście kontroli paszportowej w Wielkiej Brytanii.

- Mogłybyśmy zostawić go na lotnisku, by odebrała go matka - powiedziałam Jane, gdy rozważaliśmy różne opcje. Czułam się fatalnie i nie byłam pewna, czy będę w stanie raz jeszcze przetrwać konfrontację z urzędnikiem. - Albo możemy próbować znów przejść z paszportem Kha-lida. Raz się udało, więc może uda się i teraz.

- Tutaj będą bardziej skrupulatni niż w Ammanie - odparła.

138

- Wiem - zgodziłam się. - Jak myślisz, co powinniśmy zrobić?

- Jeśli go zostawimy i tak będą wiedzieli, że przyleciał z nami. W Ammanie razem zostaliśmy odprawieni. Musimy kontynuować to, co zaczęliśmy. Tylko w ten sposób mamy jakąś szansę na zakończenie całej akcji.

- Ale i tak miałyśmy już tyle szczęścia - zaproponowałam. - Nie możemy ciągle liczyć na to, że się coś po prostu uda.

- Chyba nie mamy wyboru - ścisnęła moją rękę. - Już prawie nam się udało, nie rozklejaj się teraz.

Pokiwałam głową i uśmiechnęłam się. Cieszyłam się, że jest ze mną i mnie wspiera. Wiedziałam, że pozostawienie Yussufa samego nie jest żadnym rozwiązaniem, ale chciałam po prostu, by cała podróż już się skończyła. Marzyłam o tym, by znaleźć się w domu z Amirą i resztą rodziny. To była długa i wyczerpująca wyprawa, która nadszarpnęła moje nerwy bardziej niż jakiegokolwiek inne przeżycie do tej pory. Gdy przechodziliśmy przez brytyjską kontrolę paszportową, Yussuf nie spał, ale był bardzo spokojny. Miał na głowie czapkę i przeciwsłoneczne okulary. Urzędnicy spojrzeli tylko na niego i odwrócili wzrok. Być może byli zbyt zażenowani, by przyglądać się choremu dziecku. Przepuścili nas, a ja zastanawiałam się, czy to pułapka i czy chcieli bym poczuła się bezpiecznie w nadziei, że zrobię coś, co mnie wyda. Uznałam, że wpadam w paranoję. Przy odbiorze bagażu Yussuf zaczął pojękiwać. Musiał zdawać sobie sprawę, że podróż się kończy i zaraz znów będzie ze swoją mamą, więc zaczynał się niecierpliwić. Nie mogłam mu się dziwić, ale musiał wytrzymać jeszcze kilka minut. Gdyby zwrócił czyjaś uwagę, zawróciliby nas i byłibyśmy skończone. Byłam tak zmęczona, że ledwo trzymałam się

/39

na nogach. Staralam się go pocieszyć, podczas gdy Jane szukała naszych bagaży. Nie

było po nich śladu, a wprost na nas kierowało się kilku umundurowanych mężczyzn. Yussuf mimo moich prób uspokojenia go zaczął hałasować, a ludzie zaczęli spoglądać w naszą stronę.

Mówił coś po arabsku i z jakiegoś powodu nie mogłam go zrozumieć. Zupełnie jakbym zapomniała wszystkie słowa w tym języku. Nagle dotarło do mnie kilka wyrazów i zdałam sobie sprawę, że znów chce pójść do łazienki. Szybko zabrałam go do damskiej toalety, by go uspokoić i zejść z oczu wścibskim oczom. Po opróżnieniu pęcherza uspokoił się. Wyszłam z nim na zewnątrz i przełożony ochroniarzy podszedł do mnie z dwoma pomocnikami.

- Czy wszystko w porządku? - zapytał.

- Nie - odpowiedziałam, decydując się zachowywać agresywnie w nadziei, że dzięki temu szybciej wydostaniemy się z lotniska. Słyszałam własne słowa, jakby je wypowiadał ktoś inny: głos mi drżał, jakbym za chwilę miała się rozplakać. - Mój synek ma raka. Jest naprawdę chory, a w samolocie traktowano nas nieuprzejmie. Teraz nie możemy odebrać naszych bagaży, a on musi tutaj czekać, zamiast być w domu i leżeć w łóżku.

Yussuf wydał z siebie jęk, a ja przycisnęłam jego głowę do ramienia, by go uciszyć i uspokoić.

- Proszę się nie martwić - powiedział mężczyzna - pomożemy odnaleźć pani bagaż, proszę powiedzieć, jak wygląda.

Opisałam nasze walizki, a mężczyźni poszli ich poszukać.

- Poprowadzą nas do wyjścia - szepnęłam do Jane.

- A co będzie, jeśli jego matka czeka, by nas przywitać, a on ją zauważy i zacznie do niej krzyczeć mammo?

140

- O Boże! - nie pomyślałam o tym. - Nie powiedziałam jej, żeby nie przyjeżdżała na lotnisko.

- A jeśli nie mogła już dłużej wytrzymać? Na litość boską, przecież nie widziała go osiemnaście miesięcy!

- Po prostu módl się - powiedziałam.

Bagażowi przywieźli nasze walizki na wózku i zaprowadzili nas do wyjścia.

Gdy wyszliśmy do głównego hallu zobaczyłam Mahmu-da czekającego na mnie z wielkim bukietem kwiatów. Nie było Ibital i od razu podziękowałam za to w modlitwie. Mahmud przyjechał z kierowcą i razem odjechaliśmy z lotniska jak szczęśliwa rodzina. Nigdy w życiu nie czułam się tak zmęczona.

Jadąc autostradą, zadzwoniłam do Ibital z telefonu komórkowego.

- Mam tu kogoś, kto chce z tobą rozmawiać - powiedziałam, gdy odebrała telefon i przekazałam słuchawkę Yussufowi.

- Cześć mamusiu - powiedział po arabsku, a ja jęknęłam, jakby pękło mi serce.

## ROZDZIAŁ ÓSMY



## O maty włos

Wychowywanie dzieci jest jednym z najwspanialszych doświadczeń, jakie może zaoferować życie, ale nie zawsze jest to zajęcie ekscytujące. Dzieci lubią rutynę, przez cały czas chcą wiedzieć, co się wokół nich dzieje. Dla dorosłego, jeśli nie ma możliwości od czasu do czasu robić coś niecodziennego, może być to męczące. Bardzo cieszyłam się, że mogę stawić czoło niebezpieczeństwu. Przypomina mi to, że wciąż żyję w pełnym tego słowa znaczeniu i nie jestem tylko i wyłącznie czyjąś mamą. Oczywiście zdarzały się chwile, gdy zdecydowanie wolałam mieć mniej stresów, ale przecież właśnie na tym polegają przygody, kiedy czujemy, że tracimy kontrolę nad biegiem wydarzeń.

Turcja jest jednym z tych krajów, z których najbardziej boję się porywać dzieci. Być może wpłynął na to film *Midnight Express*, którego główny bohater zostaje złapany na próbie przemytu narkotyków i wtrącony do tureckiego więzienia. Ale chyba nie tylko film na to wpłynął. Policja tu jest lepiej zorganizowana i bardziej bezwzględna niż w innych krajach. Zawsze, gdy jadę z misją do tego kraju, czuję, że istnieje dużo większe prawdopodobieństwo aresztowania i wtedy wyobrażam sobie, jak zostanę potraktowana w więzieniu.

142

■  
W każdej podróży może się zdarzyć, że zostanę wtrącona do więzienia, ale podczas niektórych wypraw jest to bardziej prawdopodobne. W pewnych krajach spodziewać się mogłam większego wyroku niż w innych, gdyż z pewnością chcieliby dać solidną nauczkę każdej kobiecie, która ma odwagę sprzeciwić się regułom ustanowionym przez mężczyzn.

Podczas jednej z wypraw do Turcji musiałam pojechać do ośrodka turystycznego Marmaris, gdzie miałam odnaleźć siedmioletnią dziewczynkę. Podobnie jak w Maroku moje zadanie przypominało szukanie igły w stogu siana. Przyglądałam się wszystkim małym dziewczynkom bawiącym się na plaży i spacerującym po miasteczku z rodzicami. Pojechałam sama, ponieważ matki nie było stać na dwa bilety. Dotarłam do ośrodka i po zameldowaniu się w hotelu przeszłam na główną plażę. Próbowałam wytłumaczyć mojej klientce, że już kiedyś taki wyjazd się nie powiodł, ale tak martwiła się wydatkami, że zgodziłam się pojechać sama, by ją uspokoić. Pamiętam to okropne uczucie, które ogarnęło mnie, gdy zobaczyłam kłębiące się tłumy ludzi i zdałam sobie sprawę, że nigdy nie odnajdę dziewczynki. Nie poddałam się od razu. Przez kilka dni przechadzałam się po terenie ośrodka, przesiadywałam w kawiarniach lub chodziłam wzdłuż brzegu w nadziei, że zauważę twarz przypominającą tę ze starej szkolnej fotografii, którą miałam ze sobą. Łudziłam się, że może usłyszę, jak dziecko mówi z angielskim akcentem.

Kilkakrotnie już mi się wydawało, że mała dziewczynka, którą zobaczyłam, jest właśnie tą, której szukam. Kręciłam się wtedy wokół niej tak długo, na ile mi pozwoliła śmiałość i obserwowałam ją i jej rodzinę, próbując upewnić się, czy rzeczywiście jest to poszukiwane przeze mnie

dziecko. Zawsze jednak coś przekonywało mnie, że muszę szukać dalej.

Dziewczynki zwracały się do kobiet im towarzyszących jak do mam albo mówiły tak płynnie po turecki, że z pewnością nie były cudzoziemkami.

- To nie ma sensu - powiedziałam matce przez telefon pod koniec trzeciego dnia bezowocnym poszukiwań. - Będziesz musiała tutaj przyjechać. Zapłacę za twoją podróż.

Myślę, że poczuła ulgę, wiedząc, że będzie mogła osobiście włączyć się do poszukiwań. Musiało jej być ciężko, gdy nie wiedziała, co się tutaj dzieje, ani co robię. Pewnie się zastanawiała, czy przechodziłam obok jej córeczki, nie rozpoznając jej. Przyleciała następnego dnia i wspólnie rozpoczęliśmy poszukiwania. Po pięciu dniach zdałyśmy sobie sprawę, że nic z tego nie wyjdzie.

- Musieli już wyjechać - powiedziała matka, gdy zdeprimowane usiadliśmy w pokoju, zastanawiając się, czy się nie poddać. - Bardzo możliwe, że zabrał ją z powrotem do Stambułu.

Wcześniej już próbowała skontaktować się z córką w starym domu męża, ale jej się nie udało, dlatego starałyśmy się odszukać dziewczynkę podczas wakacji. Całkiem możliwe, że gdy po kilku miesiącach nie dała o sobie znać, poczuł się pewniej i zabrał córkę z powrotem do domu.

Następnego dnia wymeldowałyśmy się z hotelu Marma-riş i pojechałyśmy do Stambułu. Teraz naprawdę byłam zdenerwowana. Zawsze bardziej niebezpiecznie jest w wielkim mieście, gdzie więcej ludzi może się wtrącać, jest więcej policjantów i istnieją lepsze systemy komunikacji. Jeśli dziecko porwane jest w mieście, policja może być poinformowana już w ciągu kilku minut, a lotniska zwykle zamykane są w ciągu godziny. Teraz jednak, gdy koniecznie chciałam doprowadzić sprawę do końca, nie mogłam

/44

pozwolić, by zatrzymały mnie jakieś przeszkody. Polubiłam bardzo kobietę, której pomagałam, i widziałam, że jej uczucia do córki i potrzeba odzyskania dziecka są szczerze. Byłam przygotowana na towarzyszenie jej do samego końca.

Jej mąż mieszkał w bloku oddalonym nieco od centrum. Nie była to szczególnie ładna okolica, ale też nie slumsy, przypominała przedmieścia innych miast. Nie zameldowałyśmy się w hotelu. Zanim miałyśmy ponieść dodatkowe koszty, chciałam być pewna, że dziecko rzeczywiście przebywa w mieście.

Wynajęłyśmy taksówkę, która zaparkowała przed blokiem tak, by było widać wejście i jak zwykle rozpoczęłyśmy obserwację. Musiałyśmy upewnić się, że dziewczynka naprawdę tam mieszka oraz ustalić, jak spędza dni, by znaleźć najlepszy moment na jej uprowadzenie.

Czekałyśmy zaledwie kilka godzin, gdy z bloku wyszła grupka dzieci, najwyraźniej bez żadnego dorosłego opiekuna.

- To ona! - wykrzyknęła kobieta, a ja i kierowca podskoczyliśmy. Chwyliła za kłamkę, a ja złapałam ją za rękę.

- Zaczekaj chwilę - powiedziałam. - Pomyśl! Musimy sprawdzić, czy nikt ich nie pilnuje.

- Dobrze - usiadła z powrotem na siedzeniu, choć widać było, że nie było to dla niej

łatwe. Nie mogła oderwać oczu od swojej córeczki bawiącej się na słońcu. - Jak długo będziemy czekać?

- Nie wiem - przyznałam. - Muszę zebrać myśli. Przez kilka chwil siedzieliśmy w napięciu, aż w końcu

podjęłam decyzję. Nie było widać nikogo, kto pilnowałby dzieci, a druga tak dogodna sytuacja mogła się już nie nadarzyć.

- Dobrze - powiedziałam - masz rację. Zróbmy to teraz. Podejdz do niej spokojnie, tak by inne dzieci się nie

/45

zaniepokoili. Nie chcemy przecież, żeby pobiegły do rodziców i powiedziały, że obca kobieta porywa ich koleżankę. Upewnij się, że będą wiedziały, iż jesteś jej mamą. Potem wróc do samochodu tak szybko, jak się da. Jeśli ktoś wyjdzie z budynku, podejść i pomóc ci.

Wysiadła z samochodu tak szybko, że poczułam tylko muśnięcie jej szala. Gotowa do działania obserwowałam, jak podchodzi do grupki dzieci. Widziałam, jak jej córeczka spojrzała na nią wpięrk niepewnie, a potem ze szczerą radością na twarzy. Pozostałe dzieci stanęły z boku i patrzyły z szacunkiem, jak ich koleżanka przytula się do mamy. Potem radośnie im pomachały i trzymając się za ręce i rozmawiając, jakby nie działo się nic złego, skierowały się do samochodu.

- Chodź, chodź - syczałam, gdy spacerowym krokiem zbliżały się do auta.

Widziałam wylaniającą się zza rogu grupę dorosłych i chciałam znaleźć się jak najdalej, zanim dotrą do bawiących się dzieci. Kierowca włączył silnik. Zauważyłam, że obserwował powrót matki z córką z taką samą niecierpliwością jak ja.

W końcu wsiadły i zamknęły drzwi, a kierowca pospiesznie odjechał. Obejrzałam się na grupę dorosłych, którzy doszli już do dzieci i rozmawiali z nimi. Dzieci wskazywały na nas, a dorośli osłaniając oczy przed słońcem, patrzyli w kierunku naszego samochodu. Moja towarzyszka była zbyt zajęta przytulaniem dziecka, by zauważyć cokolwiek, więc nic nie powiedziałam. Nie chciałam jej niepokoić. Nasze bagaże były w samochodzie i musiałyśmy jak najszybciej opuścić ten kraj.

- Chcecie jechać na lotnisko? - zapytał kierowca.

- Nie - odpowiedziałam. Łatwo byłoby nas zatrzymać, gdyby wszczęto alarm.

Musiałyśmy znaleźć bardziej

/46

dyskretny sposób na wydostanie się z Turcji. - Proszę jechać do granicy.

- Greckiej czy bułgarskiej - spytał.

- Żadnej z tych - powiedziałam, szybko myśląc. - Będą spodziewali się, że pojedziemy w tym kierunku. Proszę jechać na wschód, do Kurdystanu.

Na wiadomość o tak długiej podróży tylko zagwizdał, ale nie sprzeciwił się. Opłata za taki kurs powinna zapewnić mu utrzymanie na kilka tygodni. Usadowiliśmy się wygodniej, by przygotować się do męczącej podróży po krętych drogach. Jazda trwała kilka godzin, a gdy dotarliśmy do granicy, zapłaciliśmy naszemu kierowcy i wynajęliśmy następnego. Podczas jazdy na południe do Iraku, potem przy granicy z Syrią i w Jordanii wciąż znajdowałyśmy się na terenach pustynnych. Kierowcę zmienialiśmy po dotarciu do każdej kolejnej granicy. Czułam się jak nomada, gdy, po przebudzeniu się z niespokojnej drzemki, nie mogłam rozpoznać, w którym kraju

się znajduję. Moje towarzyski przez większą część podróży zasypiały i budziły się przytulone do siebie, niewiele mówiły - cieszyły się swoją obecnością. Byłam prawie pewna, że tureckie władze nie domyśliły się, że wybrałyśmy tę okreśną drogę ucieczki. Nawet gdyby udało im się wpaść na nasz ślad, nie mieli prawa działać w innych krajach, ponieważ podróżowałyśmy z legalnymi dokumentami.

Znów spędzałyśmy większość czasu w samochodach, żywiąc się przekąskami kupionymi na przydrożnych straganach. Czasami zatrzymywałyśmy się w jakiejś wiosce, jeśli był tam ogólnodostępny prysznic. Dziewczynka była bardzo grzeczna, cała wyprawa zapewne była dla niej wspaniałą przygodą. Miała przy sobie mamę, więc obce otoczenie jej nie przerażało. Chyba ja także traktowałam tę

/47

podróż jak przygodę, zaczynałam się już przyzwyczajać do życia w ciągłym ruchu. Taka jazda samochodem może uzależniać - nie myśląc o niczym, obserwowaliśmy krajobraz. Po jakimś czasie wręcz nie chciałam, żeby nasza podróż się skończyła. Nie miałam ochoty wracać do świata, w którym znów będę musiała dokonywać wyborów i podejmować decyzje, a potem ponosić ich skutki. Przy każdym posterunku policji stawałam się bardzo nerwowa, ponieważ urzędnicy strasznie długo studiowali nasze dokumenty, jakbyśmy wzbudzały podejrzenia. Czułam się dotknięta ich wtargnięciem w nasz mały, prywatny świat. W rzeczywistości jednak żaden z nich nie zatrzymywał nas dłużej niż kilka minut.

Po paru dniach dotarłyśmy do Wielkiej Brytanii. Byłyśmy zmaltretowane i wymęczone, ale triumfujące. Muszę przyznać, że nie zawsze wszystko układało się tak pomyślnie. Niedługo już szczęście miało przestać mi sprzyjać.

Opisywana teraz przeze mnie kobieta umiała zachować zimną krew podczas spotkania z córką. Nie każda jednak to potrafi. Podczas misji w Maroku jedna z kobiet całkowicie zignorowała moje ostrzeżenia, podbiegła do dziecka i natychmiast je chwyciła. Wszystkoomal nie skończyło się katastrofą. Chłopczyk był na zakupach z grupą kobiet, które najprawdopodobniej należały do rodziny męża. Gdy matka zobaczyła chłopca, straciła panowanie nad sobą, i wykrzykując jego imię, zaczęła przedzierać się przez tłum, odpychając ludzi, którzy znaleźli się na jej drodze, czym oczywiście od razu zwróciła na siebie uwagę. Na szczęście opiekunki dziecka były tak zaskoczone widokiem sunącej w ich kierunku rozhisteryzowanej kobiety, że stały jak wryte. Tymczasem ona złapała synka za rączkę i odciągnęła od nich, krzycząc po drodze, co ma robić.

148

Nie było innego wyjścia, jak tylko podążyć za nią. Nie miałyśmy nawet samochodu, więc musiałyśmy uciekać pieszo. Podwinęłam poły sukni i pobiegłam za nimi. Gdy do nich dołączyłam, kobiety już się ocknęły i zaczęły nas gonić. Krzyczały do przechodniów, by nas zatrzymali, bo porwałyśmy dziecko.

Serce biło mi jak szalone, brakowało mi tchu i bałam się, że się przewrócę.

Wyobraziłam sobie, jak mnie łapią i odprowadzają na posterunek policji. Myśl o celi w marokańskim więzieniu sprawiła, że mimo klucia w klatce piersiowej i bolących nóg, biegłam dalej.

Kluczyłyśmy wąskimi uliczkami, próbując omijać snujące się tam koty i porozrzucane śmiecie. Sfora bezdomnych psów zaczęła skakać wokół naszych nóg,

szczekając i bawiac się w najlepsze. Na szczęście dla nas tamte kobiety miały jeszcze słabszą kondycję niż my i po kilku zakrętach udało nam się je zgubić. Usiadłyśmy w cieniu, by odzyskać oddech ukryte za jakąś ścianą. Próbowaliśmy odgonić psy, bojąc się, że wydadzą nas swoim głupim skamleniem. Co prawda udało nam się uciec, ale dziecko było w głębokim szoku, mocno wystraszone całym zdarzeniem. Byłoby znacznie lepiej, gdybyśmy zamiast chwytać małego za rękę, krzyczeć i uciekać, zaczekały, aż zostanie sam i matka będzie mogła z nim spokojnie porozmawiać. Często zdarzało się, że podczas akcji nie wszystko szło zgodnie z planem. W trakcie innej podróży do Egiptu dopiero po dotarciu na miejsce okazało się, że dziecko, po które pojechałyśmy, przetrzymywane było w mieszkaniu w bloku i nie chodziło do szkoły. Tak naprawdę w ciągu dnia ani przez chwilę nie pozostawało bez opieki kogoś z rodziny. Poza tym opiekunowie za każdym razem, gdy wychodzili z dziewczynką z domu, od razu wskakiwali

/4Q

do taksówek, jakby bali się przebywać z nią na ulicy choćby minutę dłużej niż byto to konieczne, w takiej sytuacji musiałyśmy zmienić plan działania. Skoro dziewczynka nie chodziła do szkoły, nie mogłyśmy jej stamtąd porwać.

- Jeśli mamy ją wykraść, trzeba to będzie zrobić wtedy, gdy będzie jej pilnowała babcia - powiedziałam. - Jest najmniej sprawna z całej rodziny, więc nas nie dogoni.
- Ale narobi straszego hałasu i zwróci uwagę przechodniów, którzy z pewnością jej pomogą - zauważyła matka dziewczynki.
- Wiem - odparłam, zastanawiając się co zrobić. - Musimy być przygotowane na bardzo szybką ucieczkę, najlepiej samochodem. Nie możemy pozwolić, by zatrzymał nas tłum przechodniów.

W Egipcie panuje zwyczaj dzielenia taksówek z innymi pasażerami. Jeśli taksówkarz ma już jednego klienta, a ktoś inny chce go zatrzymać, kierowca pyta, czy nowy klient jedzie w tym samym kierunku, aby mogli podzielić się kosztem przejazdu. Właśnie obserwowałam taką sytuację, gdy wpadłam na pomysł, jak porwać dziewczynkę.

- Musimy siedzieć już w taksówce, gdy babka będzie wychodzić - wyjaśniłam. - Będziemy jechać wolno i liczyć na to, że nas zatrzyma, tak jak robiła to wcześniej. Następnego dnia znów siedziałyśmy w wynajętym samochodzie, zaparkowanym w tym samym miejscu co poprzednio. Po kilku chwilach babka wyszła z domu z dzieckiem. Nasz kierowca, który dokładnie wiedział, co planujemy, i najwyraźniej podobała mu się taka przygoda, ruszył i powoli jechał za kobietą.
- Proszę zwolnić - powiedziałam do taksówkarza. - Jeszcze pana nie zauważyła.

/50

Jechał teraz tak wolno, że ledwo się poruszaliśmy, ale kobieta wciąż się nie odwracała. Gdy się z nią zrównaliśmy, główka dziewczynki znalazła się tuż obok otwartego okna samochodu, a jej matka, siedząca na przednim siedzeniu, wydała z siebie cichy jęk.

- Będziemy musieli zawrócić gdzieś dalej i znów przejechać obok niej - powiedziałam.
- Taxi! - usłyszeliśmy nagle wyraźny głos babki. Zauważyła nas. Kierowca gwałtownie zahamował, przez co omal nie znalazłam się na przednim siedzeniu, a

matka dziewczynki nie wypadła przez szybę. Taksówkarz czekał, aż starsza kobieta dojdzie do nas, sapiąc po drodze.

Matka dziecka miała zakrytą twarz i nie odwróciła się, gdy babka otworzyła tylne drzwi i powiedziała kierowcy, dokąd chce jechać. Kierowca kiwnął głową na znak zgody, a ona wepchnęła dziecko na środek tylnego siedzenia, tuż obok mnie, a następnie sama usiadła obok. Patrząc, jak idzie ulicą, nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak potężną jest kobietą. Ledwo zmieściła się w drzwiach samochodu, a gdy usiadła, dziewczynka została ściśnięta tak bardzo, że bałam się, że nie będzie mogła oddychać. Ostre łokcie dziecka boleśnie wbijały mi się w bok, więc starałam się jakoś przesunąć, by było nam wygodniej. To jednak sprawiło, że starsza kobieta popatrzyła na mnie z dezaprobatą, więc znieruchomiałam. Nie chciałam, by przyglądała mi się zbyt długo, w razie gdyby później miała mnie identyfikować na policji. Napięcie matki było prawie wyczuwalne. Zmuszała się, by nie odwrócić głowy i nie popatrzeć na swoje dziecko. Serce biło mi tak głośno, że byłam pewna, że siedząca obok kobieta je słyszy. Zdawała się nie zauważać naszej obecności, instruując taksówkarza, któredy ma jechać i każąc mu zwolnić albo przyspieszyć.

/5/

- Proszę mnie tutaj wysadzić! - rozkazała i zaczęła gramolić się z samochodu, co zajęło jej sporo czasu. W końcu, mamrocząc i klnąc pod nosem, stanęła na chodniku, szukając w torebce pieniędzy dla kierowcy. Dziewczynka właśnie przesuwiała się na siedzeniu, by pójść za babcią, gdy złapałam ją za ramię, wypowiadając jej imię tak łagodnie, jak tylko umiałam. Krzyknęłam do kierowcy, by ruszył. Wcisnął pedał gazu, a ja pochyliłam się nad przestraszonym dzieckiem, by zamknąć drzwi. Babka upuściła torebkę i właśnie miała się po nią schylić, gdy zorientowała się, że samochód odjechał razem z wnuczką. Gdy włączaliśmy się do ruchu, matka odwróciła się, odsłoniła twarz i zaczęła rozmawiać z dziewczynką. Ta pochyliła się, by przytulić się do mamy, która przylgnęła do małej, całując czubek jej głowy i płacząc. Wokół wciąż ktoś trąbił, co denerwowało nas jeszcze bardziej.

Przez tylną szybę widziałam, jak babka dziecka krzyczy i wymachuje rękami, prosząc przechodniów o pomoc. Gdy skręciliśmy w jakąś ulicę, zaczął się już formować wokół niej tłumek zdezorientowanych ludzi. Zapewne radzili jej, co należy zrobić.

- Myślę, że powinniśmy zmienić samochód - powiedziałam do matki dziecka. - Mogła zapisać numer taksówki.

Kierowca pokiwał głową ze zrozumieniem i zawiózł nas w miejsce, gdzie mnóstwo taksówkarzy czekało na klienta. Widać było, że wszyscy go znają. Zaczął rozmowę z jednym z kolegów, a my czekałyśmy w samochodzie. Zamieniłam się miejscami z matką, aby mogła przytulić się do córeczki na tylnym siedzeniu. Dziewczynka dużymi, przestraszonymi oczami przyglądała się wszystkiemu, co się wokół niej działo. Widziałyśmy, jak kierowcy spoglądali w naszą stronę i gestykulowali. Po kilku minutach mężczy-

/52

zna, z którym rozmawiał nasz kierowca, podszedł do nas, przedstawił się i przesiadłyśmy się do jego auta.

- Musimy wrócić do Mariotta, by zabrać nasze rzeczy - wyjaśniłam.

Po kilku minutach byliśmy już na miejscu. Podczas gdy ja pakowałam nasze rzeczy, matka dziewczynki zeszła do recepcji, by zapłacić za pobyt. Jej córka stała teraz szczęśliwa obok niej. Zaczynała się już nudzić światem dorosłych i rozglądała się za czymś bardziej interesującym. Zawsze dziwi mnie, jak szybko dzieci przestają się bać i zaczynają czuć się komfortowo w towarzystwie swoich matek, bez względu na to, gdzie te je zabierają. Naprawdę wątpię, czy jakiegokolwiek małe dziecko znajdujące się w nieznanym otoczeniu, czuje się z ojcem równie bezpiecznie jak z matką. Zdaję sobie sprawę, że jest to uogólnienie i z pewnością istnieją odstępstwa od tej reguły, z niektórymi sama się spotkałam, ale jestem przekonana, że taka jest ogólna zasada.

- Nie możemy jechać na lotnisko - powiedziałam, gdy wróciłyśmy do taksówki. - Prawdopodobnie będą je obserwować. Ta kobieta w ciągu pięciu minut na pewno znalazła się w głównej komendzie policji i zrobiła tam okropne zamieszanie.

Popłyniemy statkiem.

W ciągu kilku pierwszych godzin po porwaniu, matki są zwykle tak zajęte swoimi dziećmi, że chętnie pozwalają mi dokonać wyboru drogi ucieczki. Bardzo mi to odpowiada, bo prawie zawsze to ja lepiej znam kraj, w którym się znajdujemy oraz jego system transportowy. Wolę sama skoncentrować się na ucieczce i pozwolić kobiecie opiekować się dzieckiem.

Tego wieczoru udało nam się dostać na statek płynący na Cypr, a następnego dnia z lotniska na Cyprze, miejsca,

/53

które dobrze poznałam, wyleciałyśmy do Londynu. Podróżowanie statkiem w tej części świata z pewnością nie można nazwać wygodnym. Morze jest tutaj zawsze wzburzone, a na statku unosi się odór wymiocin tysięcy poprzednich pasażerów niespokojnych rejsów. Jeśli tylko mogę, wykupuję miejsce w kabinie. Są one co prawda niesamowicie ciasne, ale dają poczucie prywatności, gdy ktoś źle się czuje. Zazwyczaj można się w nich położyć i odświeżyć w małej umywalce. Jedzenie i herbata podawane na statkach zawsze są okropne. Pasażerowie podróżują z ogromnym bagażem, najczęściej jakimiś tobołami, które wyglądają, jakby zrobiono je ze starego materiału używanego do produkcji leżaków pokładowych i powiązano sznurkiem. Gdziekolwiek się człowiek odwróci, zawsze wpada się na stosy rzeczy, często znajdując między nimi śpiących ludzi. Podróże morskie są prawdziwym testem wytrzymałości.

Zdaję sobie sprawę, że przez pierwsze kilka godzin takiej podróży wciąż znajdujemy się na wodach terytorialnych kraju, z którego uciekamy i obawiam się, że ktoś może nas zdemaskować, władze mogą zatrzymać statek i wysłać helikopter, który sprowadzi nas z powrotem. Gdy kontroler sprawdza bilety albo niedaleko znajduje się jakiś przedstawiciel władzy, zawsze udaję, że jestem czymś zajęta. Nie ma znaczenia, czy gram w Gameboya, w karty, czy szukam biletów w torebce. Zawsze chcę wyglądać na zaniepokojoną i niezorganizowaną, jak każda normalna matka podczas podróży. Wydaje mi się, że gdybym sprawiała wrażenie zbyt dobrze zorganizowanej, wzbudziłoby to podejrzenia. Kolejnym dobrym sposobem na odciążenie uwagi od swojej twarzy czy papierów jest niecierpliwe pokrzykiwanie na dzieci.

/54

Czasami podczas moich wypraw spotykam się z niespodziewanie silnym oporem ze strony ojców. Pewnego razu o mało mnie nawet nie zastrzelono.

Kate Hamilton po raz pierwszy zobaczyłam w porannym programie telewizyjnym. Krzątałam się wtedy po domu, sprząając po dzieciach, które poszły do szkoły. Jej słowa sprawiły, że natychmiast przerwałam swoje zajęcia. Opowiadała o swoich córeczkach: siedmioletniej Ranie i jedenastoletniej Hannah, które zostały porwane przez ich ojca i wywiezione do Jordanii. Tym samym jej mąż złamał nakaz sądowy. Historia była podobna do innych, które już słyszałam, ale kobieta opowiadała ją z tak wielkim uczuciem, że od razu zapalałam do niej sympatią. Jej mąż, Ali, powiedział, że zabiera dziewczynki na jednodniową wycieczkę do Legolandu. Kate nabrała podejrzeń zbyt późno - gdy dzieci były już w Jordanii. Bez względu na to, jak często słucham podobnych opowieści, wciąż mnie przerażają. Od razu wyobrażam sobie, jak czułabym się, będąc na miejscu pokrzywdzonych matek.

Jordania należy do państw, które nie podpisały konwencji haskiej, na mocy której dzieci nielegalnie wywiezione z Wielkiej Brytanii powinny być odsyłane z powrotem do domu\*. Z tego też powodu każdy urzędnik, do którego Kate zwracała się z błaganiami o pomoc, twierdził, że nic nie

\* Konwencja haska z dnia 25 października 1980 r. o cywilnych aspektach uprowadzenia dziecka za granicę: stronami konwencji haskiej są Polska, Czechy, Dania, Estonia, Finlandia, Francja, Hiszpania, Holandia, Luksemburg, Niemcy, Norwegia, Portugalia, Słowacja, Szwajcaria, Szwecja, Turcja, Wielka Brytania i Włochy. „Orzeczenie wydane w jednym z państw będących stroną konwencji haskiej podlega wykonaniu w innym państwie będącym stroną konwencji, jeżeli zostało wydane przez organ, któremu przysługiwała jurysdykcja (art. 4 pkt. 1)" - przyp. tłum. /55

i

może zrobić. Postanowiła więc wykorzystać media, mając nadzieję, że jej tragedia poruszy opinię publiczną. Oczywiście, zarówno prezenter telewizyjny, jak i widzowie stanęli po jej stronie.

Od razu polubiłam tę kobietę. Nie mogłam jej tak po prostu zignorować i nie zaoferować pomocy. Czulałam, jakby zwracała się bezpośrednio do mnie, jakby zjawiała się w tym programie tylko po to, by odnaleźć właśnie mnie.

Zaraz po zakończeniu audycji zadzwoniłam do studia telewizyjnego i udało mi się z nią porozmawiać. Opowiedziałam jej w skrócie, kim jestem i co udało mi się do tej pory osiągnąć oraz zapytałam czy mogłabym jej jakoś pomóc. Była głęboko wdzięczna za okazane jej zainteresowanie i ustaliłyśmy termin spotkania.

Gdy osobiście poznałam Kate, zapalałam do niej jeszcze większą sympatią niż wtedy, gdy widziałam ją w telewizji. Wydawała się być szczerą i bardzo ciepłą osobą. Widać też było, że bardzo cierpi. Pokazała mi zdjęcia dwóch ładnych, ciemnokoch dziewczynek.

- Alego, ich ojca, poznałam, gdy miałam dwadzieścia jeden lat - rozpoczęła swoją opowieść przy filiżance kawy. - Był bardzo przystojny i czarujący, miał niewielką firmę taksówkarską. Bardzo różnił się od chłopców, z którymi wcześniej się spotykałam - zawsze niezwykle uprzejmy, okazywał mi ogromne zainteresowanie, jakbym w jego życiu liczyła się tylko ja. Miałam już wtedy córeczkę z poprzedniego



związku, Kirę. Bardzo dobrze się rozumieli. Samotnej matce nie jest łatwo poznawać nowych ludzi, a szczególnie trudno jest spotkać partnera, który chciałby wychowywać cudze dziecko. Dla niego jednak nie był to problem. Myślałam, że znalazłam mężczyznę swojego życia, z którym założę szczęśliwą rodzinę. Gdy zaszłam

/50

w ciąży, oboje bardzo się z tego ucieszyliśmy, opiekował się mną, jakbym była dla niego najważniejszą osobą na świecie. Jednak po urodzeniu Hannah coś się zmieniło. Zaczął być wobec mnie zaborczy, zawsze chciał wiedzieć, co robię i gdzie chodzę. Denerwował się, gdy wydawało mu się, że nie postępuję zgodnie z jego poleceniami. Bałam się, gdy wpadał w złość. Chyba powinnam była wtedy od niego odejść, ale nie miałam odwagi. Wciąż wmawiałam sobie, że wszystko w końcu się ułoży i powinnam cierpliwie czekać. Znow zaszłam w ciążę i myślałam, że kolejne dziecko sprawi, że będzie lepiej. Jednak, gdy na świat przyszła Rana, nasze stosunki jeszcze bardziej się pogorszyły. Zaczął być nieprzyjemny wobec Kiry, chyba dlatego, że nie była jego córką. Poza tym krytykował wszystko, co robiłam.

Gdybym tylko ją wtedy знаła! Mogłabym ją ostrzec, że zachowanie jej męża wskazuje na to, że będzie chciał uprowadzić swoje dzieci. Mogłabym jej wtedy poradzić, by ukryła paszporty dziewczynek i nie pozwalała mu przebywać samemu z obiema córkami naraz. Jednak wtedy Ali jeszcze nie planował porwania.

- Chciał, żebyśmy wszyscy przeprowadzili się do Jordanii - ciągnęła Kate - i myślałam, że jego złość spowodowana jest tęsknotą za domem rodzinnym. Miałam nadzieję, że gdy wróci do ojczyzny, znow będzie tym samym człowiekiem, jak wtedy, gdy go poznałam. Teraz wiem, że byłam strasznie naiwna, ale w takiej sytuacji zawsze chce się zrobić wszystko, co tylko możliwe, by ratować małżeństwo i nie patrzy się obiektywnie na całą sprawę. Byłam tak nieszczęśliwa, że spróbowałabym absolutnie wszystkiego, byle tylko między nami zaczęło się układać.

Zważywszy na okoliczności, Kate postąpiła dość rozsądnie. Miała rację, myśląc, że po powrocie do ojczystego kraju,

/57

wśród znajomych i rodziny jej mąż może się poczuć bardziej komfortowo i znow okazać lepszą stronę swojego charakteru. Czasem rzeczywiście tak się dzieje, a jeśli żona potrafi się zaaklimatyzować w rodzinnym domu męża, wszystko jest w porządku.

- Tam było jeszcze gorzej - powiedziała, popijając małymi łydkami gorącą kawę i przywołując na pamięć niemiłe wspomnienia. - Ali coraz bardziej złościł się na nas, denerwowała go każda drobnostka. Zachowywał się tak, jakby nienawidził mnie i Kiry. Cała jego rodzina źle traktowała moją najstarszą córkę tylko dlatego, że nie płynęła w niej jego krew. To było straszne. Bardzo chciałam ją przed tym chronić, ale nie mogłam przecież być przy niej cały czas, poza tym nawet w mojej obecności byli dla niej okrutni. Zrozumiałam, że przywożąc ją tam, popełniłam błąd, ale nie wiedziałam, jak mogłabym go naprawić. Było mi ciężko odejść od Alego, gdy mieszkaliśmy w Wielkiej Brytanii, a co dopiero w tak niesprzyjających okolicznościach. Byłam w zupełnie obcym kraju, nie znałam ani miejscowego języka, ani panujących tam zwyczajów. Czułam, że wpadłam w pułapkę, z której nie

ma wyjścia.

- Gdy moja mama przyjechała do nas w odwiedziny, zobaczyła, co się dzieje. Powiedziała, że nie powinnam godzić się na takie traktowanie, ani zmuszać Kiry, by to zносиła. Dodała mi niezbędnej odwagi i zdecydowałam się odejść od męża. Nie miałam jednak pieniędzy. „Nie martw się - powiedziała mama przed wyjazdem - znajdę jakiś sposób, by dać ci pieniądze”. Zaczęła przysyłać dziewczynkom prezenty, np. lalki, a w nich ukrywała pięćdziesięciofuntowe banknoty. To było genialne. Udało mi się ukryć otrzymane w ten sposób pieniądze, aż zbierałam potrzebną kwotę. Wiedziałam, że będę musiała uciekać po kryjomu. Ali nigdy nie

/58

pozwoliliby mi zabrać ze sobą dziewczynkę. W końcu, po kilku miesiącach, miałam już wystarczającą sumę i udało mi się dostać wraz z dziećmi na pokład samolotu lecącego do Wielkiej Brytanii.

- Zaraz po powrocie bardzo bałam się, że Ali nas odnajdzie. Podczas naszego pobytu w Jordanii poznałam kilku jego znajomych i sprawiali wrażenie osób bezwzględnych. Od razu po przylocie zaczęłam się więc ukrywać. Jednostronnym aktem prawnym zmieniłam nazwisko, żeby trudniej nas było odnaleźć. Myślałam, że będziemy mogli rozpocząć nowe życie, a po kilku latach, gdy dziewczynki podrosną, Ali przestanie nas szukać.

Kate nie doceniła jednak determinacji swojego męża. Odnalezienie jej zajęło mu zaledwie pół roku. Mogę sobie wyobrazić, co czuła, otwierając mu drzwi. Wyglądało jednak na to, że wszystko się zmieniło - jakby zdał sobie sprawę, że źle postępował i koniecznie chciał naprawić wyrządzone krzywdy.

- Znów był czarujący - opowiadała. - Ponownie widziałam w nim mężczyznę, w którym kilka lat wcześniej się zakochałam. Odzyskał moje zaufanie. Nie od razu, ale krok po kroku udało mu się wzbudzić we mnie fałszywe poczucie bezpieczeństwa. Choć nigdy nie zaufałam mu bezgranicznie, stopniowo pozwalałam mu coraz częściej widywać dziewczynki. Dla bezpieczeństwa postarałam się o nakaz sądowy zakazujący mu wywożenia dzieci poza granice kraju.

Ali musi być bardzo cierpliwym człowiekiem. Pracował nad Kate przez trzy lata, zanim zrealizował swój zamiar. Złamał sądowy nakaz i wywiózł dziewczynki do Jordanii, mówiąc ich matce, że zabiera je na jednodniową wycieczkę do Legolandu.

/5Q

- To było dziewięć miesięcy temu - powiedziała. - Od tamtej pory nie widziałam ich, ani nie otrzymałam od nich żadnych wiadomości.

Wiedziałam, że muszę pomóc. Sama byłabym strasznie zdesperowana, gdybym przez dziewięć miesięcy nie wiedziała, gdzie są moje dzieci.

- Chcę je odzyskać - powiedziała w końcu Kate. - Proszę, pomóż mi.

- Oczywiście, że ci pomogę - odpowiedziałam. - Ale to może nie być proste. Po pierwsze, znacznie trudniej będzie porwać dwójkę dzieci niż jedno, a po drugie, twój mąż zapewne będzie ich dobrze pilnował. Już chyba wie, że- wystąpiłaś w telewizji, prosząc o pomoc w odzyskaniu córek.

- Gdybym mogła je tylko zobaczyć - powiedziała. - Chcę się upewnić, że nic im nie jest, i powiedzieć, że nie zapomniałam o nich i wciąż ich szukam.

Obiecałam uczynić wszystko, co w mojej mocy, by jej pomóc. W ciągu kilku

następnych miesięcy spotykałyśmy się kilkakrotnie, by opracować plan działania. Wcześniej Kate próbowała uzyskać pomoc w ministerstwie spraw zagranicznych, ale podobnie jak wiele innych kobiet zorientowała się, że bez względu na to, jak wzruszająca jest opowieść, pracownicy służby cywilnej po prostu nie mogą nic dla nich zrobić. Była zmuszona działać na własną rękę. Zarówno rządowe, jak i pozarządowe organizacje zobowiązane są przestrzegać międzynarodowego prawa, poza tym muszą działać bardzo uważnie, by nie nadwerężyć stosunków dyplomatycznych z innymi krajami. Bardzo często oznacza to, że po prostu mają związane ręce albo ich działania trwają latami - a przez tak długi czas dzieci dorostają i ich więź z matkami ulega osłabieniu. To tak, jakby pójść do szpitala ze złamanym kręgosłupem i dowiedzieć

100

się, że trzeba postępować zgodnie z pewnymi procedurami i zapewne nie uda się rozpocząć leczenia w ciągu najbliższych kilku lat. Przy utracie małego dziecka liczy się każdy dzień - trzeba odzyskać je jak najszybciej. Kate potrzebowała natychmiastowej pomocy kogoś, kto wiedział, jak poruszać się na Bliskim Wschodzie. Chętnie podjęłam się tego zadania. Każdy dzień spędzony bez dzieci pogarszał jej samopoczucie. Zaczynała wpadać w panikę, że może już nigdy nie zobaczy swoich córek albo spotka je dopiero, gdy będą dorosłe. Nie mogłam zignorować jej błagania o pomoc.

Kate była zaręczona z mężczyzną o imieniu Steve, który razem z nami poleciał do Jordanii. Nie wiedzieliśmy, gdzie mieszkają dzieci, ale byliśmy zdecydowani szukać ich aż do skutku. Po określeniu miejsca ich pobytu chcieliśmy ustalić, jak można się z nimi spotkać lub, jeśli to możliwe, zabrać je z powrotem do domu. Przez pierwsze dwa dni jeździliśmy z wynajętym miejscowym kierowcą, próbując odnaleźć jedyny adres domu rodzinnego Alego, jaki posiadała Kate. Choć odwiedzała już kiedyś rodzinę męża, nigdy nie zwracała uwagi na to, jak tam dotrzeć. Była jednak pewna, że rozpozna dom, gdy tylko go zobaczy.

Istniało duże prawdopodobieństwo, że dzieci mieszkają właśnie tam. Jeśli mężczyzna pochodzący z tej części świata samotnie wychowuje dzieci i nie jest na tyle zamożny, by wynająć niańkę i szofera, najpewniej zostawi je pod opieką swojej matki.

Dziadkowie są zazwyczaj bardzo zadowoleni z powrotu synów wraz z wnukami. Jest to normalne w tej kulturze - wartości rodzinne stanowią fundament społeczeństw tego regionu. Właśnie te silne więzy rodzinne sprawiły, że zainteresowałam się

/6/

islamem oraz arabskim stylem życia. Gdy wszystko układa się dobrze, a synowa należy do rodziny, jest to najlepszy układ, jaki można sobie wyobrazić. Jeśli jednak mąż z jakiegokolwiek powodu nie chce utrzymywać kontaktów ze swoją żoną, reszta jego rodziny zjednoczy się przeciwko niej.

Pod koniec drugiego dnia poszukiwań udało nam się odnaleźć dom rodziców Alego. Usytuowany był w małej wiosce, sporo oddalony od najbliższego miasteczka. W najbliższej okolicy nie było żadnego miejsca, w którym moglibyśmy zaparkować samochód i pozostać niezauważeni. Z pewnością czekający w aucie i obserwujący okolicę dwie kobiety i dwaj mężczyźni wzbudziliby podejrzenia. Pojecha- / liśmy więc na drugą stronę doliny i znaleźliśmy punkt /, z którego widać było dom, my zaś

byliśmy ukryci za skałami i niewidoczni dla mieszkańców wioski. Panował straszny upał, a powietrze było bardzo suche. Jedno z nas musiało wciąż czuwać, żeby nie przegapić kogoś wchodzącego/ lub wychodzącego z obserwowanego przez nas domu. Na obu stronach doliny wszystko pozostawało w bezruchu, /panowała idealna cisza, a domy pozamykane były szczelnie przed palącym słońcem. Jedynym przejawem życia były przemykające co jakiś czas jaszczurki. Wydawało się, że cały świat wstrzymał oddech, by zobaczyć, co się teraz stanie. Gdy prowadziliśmy podobne obserwacje na terenach zabudowanych, nasza sytuacja była o tyle lepsza, i na ulicach zawsze panował ruch, rozpraszający naszą uwagę i urozmaicający nudne godziny oczekiwania. Poza tym ktoś z nas mógł raz na jakiś czas wyjść z samochodu, by przynieść coś do zjedzenia, albo po prostu przejść się ulicą. Teraz nie mieliśmy nic do roboty, ani nie było na czym zawiesić wzroku. Okolica nie wyglądała atrakcyjnie.

/02

- To nie ma sensu - powiedziałam po kilku godzinach oczekiwania. - Równie dobrze możemy obserwować zupełnie pusty dom. Musimy się przynajmniej dowiedzieć, czy ktoś jest w środku.

- Ale jak mamy to zrobić, nie wzbudzając podejrzeń? - zapytała Kate.

- Nie mają powodu być podejrzliwi - odarłam. - Na pewno nie przyszło im nawet do głowy, że będziesz ich szukać na tym pustkowiu. Dopóki cię nie zobaczą, wszystko powinno być w porządku. Podjadę tam z kierowcą i poproszę o trochę wody. To on będzie mówił i w ten sposób nie zdradzę się obcym akcentem.

Przez chwilę dyskutowaliśmy jeszcze nad tym pomysłem, aż w końcu Kate dała się przekonać, że możemy tak siedzieć między skałami nawet kilka tygodni i zgodziła się ze mną. Pojechałam więc z kierowcą. Wjechaliśmy między domy, ale wciąż nikogo nie było widać. Nie było chyba nawet żadnych psów ani kotów. Wioska wyglądała na całkiem wyludnioną. Podeszliśmy do wskazanego przez Kate domu i zapukaliśmy do drzwi. Nikt nie otworzył, a okna pozostały szczelnie zamknięte. Przyłożyłam ucho do framugi, żeby sprawdzić, czy uda mi się usłyszeć jakieś odgłosy z wnętrza domu. Nie usłyszałam żadnego dźwięku.

- Może być jeszcze jedno wejście - zasugerował kierowca, a ja kiwnęłam głową na znak zgody. Naciągnęłam bardziej chustę, by ukryć twarz przed rażącymi promieniami słońca. Ostrożnie obeszliśmy dom, by sprawdzić, czy są jeszcze drugie drzwi, ale nie było. Wyglądało na to, że dom jest zamknięty przynajmniej od kilku dni.

- Nikogo tam nie ma - powiedziałam, gdy wróciliśmy.

- Czy znasz jeszcze jakiś inny adres, gdzie moglibyśmy szukać?

IÓ3

- Ali ma brata, który mieszka! w Ammanie - odpowiedziała Kate. - Mam stary adres jego mieszkania, ale nie mam pojęcia, czy jest jeszcze aktualny. Nie znam go zbyt dobrze, robił na mnie nieprzyjemne wrażenie, bałam się go.

- Warto spróbować - powiedziałam. - Wszystko jest lepsze niż siedzenie tutaj przez kilka następnych dni. Zawsze możemy tu jeszcze wrócić.

Pojechaliśmy do Ammanu i zaczęliśmy poszukiwania adresu, który miała Kate. Nazwy ulic były bardzo do siebie podobne i dotarcie na miejsce zajęło nam sporą część dnia. Brat Alego mieszkał w dużym bloku, na którym widać już było ślady

zniszczenia. Nie wydawało się to przyjemne ani gościnne miejsce. W mieście panował upał jeszcze bardziej nieznosny niż na wsi. Na ulicach nie było czym oddychać, a w samochodzie dominował zaduch. Znaleźliśmy miejsce, w którym mogliśmy zaparkować i obserwować wejście do budynku, nie rzucając się jednocześnie w oczy. Znowu czekaliśmy i obserwowaliśmy. Nic się jednak nie działo.

- Rozejrzę się trochę - powiedziałam po paru godzinach, gdy już nie mogłam wytrzymać upału i bezczynnego oczekiwania. - Popytam sąsiadów, sprawdzę, czy jesteśmy na dobrym tropie. Jeśli ich tu nie ma, nasze siedzenie w samochodzie nie ma sensu.

- Bądź ostrożna - ostrzegła mnie Kate. - To nie są mili ludzie.

Kiwnęłam głową na znak, że rozumiem jej obawy, nie mogłam jednak dłużej usiedzieć w miejscu i chciałam przyspieszyć całą sprawę. Istniało duże prawdopodobieństwo, że również w tym miejscu nie ma poszukiwanych dzieci. Gdyby tak było, moglibyśmy spokojnie odjechać, przewietrzyć

/64

samochód, a może nawet znaleźć na noc jakieś pokoje z klimatyzacją.

Wysiadłam z samochodu, poprawiłam chustę na głowie i ruszyłam przez ulicę, starając się zachowywać w naturalny sposób. Przechadzałam się wokół domu, pozdrawiając kobiety siedzące w oknach mieszkań lub chroniące się w cieniu.

Sprawały wrażenie ostrożnych, ale niezupełnie wrogich wobec nieznanym. Gdy spotkałam grupę szczególnie przyjaźnie usposobionych kobiet, zatrzymałam się i zaczęłam narzekać na upał. Podzieliły moje zdanie na temat pogody i zaoferowały miejsce obok siebie w cieniu. Przez chwilę rozmawiałyśmy o okolicy, a ja zmyśliłam historyjkę, że wyszłam za mąż za Jordańczyka i wróciliśmy właśnie do Ammanu. Powiedziałam, że szukam mieszkania w takiej okolicy, gdzie moje dzieci mogłyby znaleźć anglojęzycznych przyjaciół. Przyniosły mi szklanek wody, a obok przeszły jakieś dzieci. Zapytałam, czy w pobliskim bloku mieszka dużo dzieci, a potem porozmawiałyśmy jeszcze o mało istotnych rzeczach. W końcu udało mi się sprowadzić rozmowę na temat dwóch dziewczynek.

- Tak - powiedziała jedna z moich rozmówczyń, z gigantycznym pieprzykiem na wardze i widocznymi brakami w uzębieniu. - Znam te dziewczynki. Mieszkają w tamtym mieszkaniu. Są bardzo miłe, ale nie wychodzą często na podwórko.

Pogawędziłyśmy jeszcze chwilę, aż w końcu pożegnałam się z nimi i wróciłam do zaparkowanego za rogiem samochodu.

- Twoje dziewczynki są tutaj - powiedziałam, wsiadając.

- Och - Kate westchnęła, jakby miała się zaraz rozplakać. Czowała ulgę, ale była też zaskoczona, że nareszcie

/05

odnalazła swoje dzieci. W jej oczach pojawiły się łzy, postanowiła jednak trzymać się w ryzach. - Co teraz zrobimy? Czy nic im nie jest?

- Kobiety, z którymi rozmawiałam, wspomniały, że dziewczynki nie bawią się często na dworze, więc nie będzie nam łatwo się z nimi skontaktować. Ali musi ich dobrze pilnować.

Zastanowiłam się przez chwilę.

- Mówiłaś, że twoja szwagierka jest nauczycielką w międzynarodowej szkole?

- Tak - potwierdziła Kate. - Jeśli w ogóle chodzą do szkoły, to na pewno tam, gdzie pracuje siostra Alego.

- W takim razie chodźmy tam i popytajmy trochę - zaproponowałam. - Być może uda nam się zabrać je właśnie ze szkoły albo gdy rano będą szły na zajęcia. -

Kate poinstruowała kierowcę, gdzie ma jechać i ruszyliśmy. I tak nie chciałam zostawiać samochodu zbyt długo w jednym miejscu, aby nie wzbudzać podejrzeń. Zaparkowaliśmy w cieniu po drugiej stronie ulicy, przy której znajdował się budynek szkolny.

- Lepiej zakryj twarz - poradziłam. - Możemy przecież natknąć się na twoją szwagierkę albo na dziewczynki.

- Masz rację.

Kate ukryła twarz pod chustą, a ja poprawiłam nakrycie głowy. Pozostawiłam odkrytą twarz, ponieważ planowałam prowadzić rozmowę. Weszliśmy do budynku i poprosiłam o spotkanie z dyrektorką szkoły.

- Jestem z dyplomatycznej rodziny i przeprowadzamy się z powrotem do Ammanu. Szukam szkoły dla moich dwóch córek - skłamałam.

Dyrektorka była bardzo uprzejma i choć nie umówiliśmy się wcześniej, z chęcią pokazała nam budynek. Szkoła

166

robiła wrażenie przyjaznej, a przechodzące obok nas dzieci były uśmiechnięte.

- Moja znajoma jest tutaj nauczycielką - powiedziałam, wymieniając imię siostry Alego. - Poradziła mi, żebym z panią porozmawiała.

- Ach, tak - uśmiechnęła się. - Niestety, już u nas nie pracuje.

Przechodziłyśmy od jednej sali do drugiej, a ona wyjaśniała nam, czym zajmują się uczniowie. W żadnej grupie wiekowej dziewczynek nie zauważyłyśmy ani Rany, ani Hanan.

Po wystarczająco długim czasie podziękowałam jej serdecznie za okazaną pomoc, obiecałam wrócić z dziećmi, by same przekonały się, jakie to przyjemne miejsce, a potem się pożegnałyśmy.

- Dziewczynki chyba po prostu nie chodzą do szkoły - powiedziałam, gdy wróciłyśmy do samochodu. - Jeśli zostałyby zapisane do jakiejś szkoły, to właśnie do tej.

- Chcesz powiedzieć, że całymi dniami siedzą zamknięte w tym ciasnym mieszkaniu, nie mając się czym zająć, ani nie mogąc nigdzie wyjść? - fuknęła Kate. - A on nawet się nie postara o to, żeby zapewnić im edukację?!

- Na to wygląda - przytaknęłam. - Chyba że jest to ich tymczasowa kryjówka i planuje je zabrać gdzie indziej i tam pośle dziewczynki do szkoły. Jeśli tak jest, to musimy się spieszyć, by zdążyć przed ich wyjazdem. Gdyby teraz zniknęli nam z oczu, stracilibyśmy je na zawsze.

- Jak mamy je wykraść, skoro nigdy nie wychodzą z mieszkania? - zapytał Steve. - Chyba nie chcecie wyważyć drzwi i porywać ich siłą.

- Nie wiem - przyznałam. - Wydaje mi się, że nie mamy wyjścia, musimy się ujawnić i po prostu zapytać, czy Kate mogłaby porozmawiać z dziewczynkami. Jeśli uda

167

nam się nawiązać jakiś kontakt, możemy przynajmniej mieć nadzieję, że w przyszłości nadarzy się okazja do ich wykradzenia.

- Ale ja muszę je odzyskać! - zapłakała Kate.

- Wiem - powiedziałam, ściskając jej dłoń - ale chyba lepiej będzie chociaż się z nimi spotkać niż odjechać z niczym, prawda?

- Tak - kiwnęła głową. - Chyba tak. Mam już dość beczynnego czekania w samochodzie. Wszystko będzie lepsze od siedzenia tutaj.

Zauważyłam, że wraca jej charakterystyczna dla niej chęć działania.

- W porządku - powiedziałam. - Chodźmy, zapukajmy do drzwi. Nic w ten sposób nie tracimy.

- Idę z wami - powiedział Steve. - Nie pozwolę wam iść tam samym.

- Dobrze - zgodziłam się. Pomyślałam, że rzeczywiście lepiej będzie mieć przy sobie mężczyznę. Nie miałam pojęcia, co dzieje się w tym zamkniętym wciąż mieszkaniu.

Podeszliśmy pod drzwi i zapukaliśmy. Po kilku chwilach jakaś kobieta, nie otwierając, zapytała nas, czego chcemy. To był dobry znak. Kobieta mogła okazać współczucie matce, której odebrano dzieci. Była szansa na to, że uda nam się dostać do środka i przynajmniej zobaczyć dziewczynki przed powrotem i interwencją Alego.

- Jest tutaj Kate, matka dzieci - odpowiedziałam po arabsku. - Przyjechała odwiedzić Ranę i Hanan.

- Odejdźcie! - krzyknęła kobieta. W jej głosie słyhać było strach, ale nie wiedziałam, czy boi się o nas, czy o siebie. - Odejdźcie i to już!

- Nie chcemy sprawiać problemów - zapewniłam ją. - Kate chce tylko odwiedzić dziewczynki.

168

- Nie możecie tu wejść - odkrzyknęła. - Odejdźcie natychmiast albo zadzwonię po policję.

- Mamo, mam - usłyszeliśmy dziewczęcy głosik, ale szybko został uciszony, jakby ktoś przyłożył dziecku dłoń do ust.

- Rana? - krzyknęła Kate. - Rana, czy to ty? Zaczęła walić pięściami w drzwi, które oddzielały ją od

dzieci. Czułam się okropnie, patrząc na nią i słysząc jak wota córkę, którą ktoś więzi. Było oczywiste, że kobieta nie zamierza nas wpuścić do środka oraz że w mieszkaniu najprawdopodobniej znajdują się jeszcze inne osoby. Razem ze Stevem przekonaliśmy Kate, by odeszła z nami na chwilę spod drzwi.

- Zaraz wrócimy - przyrzekłam. - Niech wszystko nieco się uspokoi, pozwól jej przemyśleć całą sprawę.

Kate zgodziła się niechętnie. Wiedziała, że mam rację, ale oddalenie się choćby na krok od dzieci było dla niej prawdziwą torturą. Chyba bała się, że gdy odejdziemy, mogą je gdzieś zabrać.

Żadne z nas nie chciało wracać do samochodu, więc poszliśmy do kawiarni, gdzie udało nam się znaleźć stolik w cieniu. Gdy przy nim siadaliśmy, śledziło nas kilka par oczu. Z pewnością nasze podniesione głosy słyhać było dość daleko. Byliśmy tutaj obcy i w dodatku wprowadzaliśmy niepokój w okolicy. Musieliśmy zachować ostrożność. Zamówiliśmy napoje i przez godzinę rozważaliśmy, co dalej począć, choć nie mieliśmy zbyt wielu możliwości działania. Oczywiście było, że Kate nie zgodzi się

odejść stąd, zanim nie spróbujemy ponownie spotkać się z dziewczynkami. Jestem przekonana, że na jej miejscu czułabym dokładnie to samo. Czy którakolwiek matka byłaby w stanie zostawić dzieci, gdy wreszcie je odnalazła?

ióg

Czy mogłaby nie wrócić po dziewczynki po tym, jak słyszała ich głosy? Raczej nie.

- Dobrze - powiedziałam wreszcie. - Zgadza się, że musimy jeszcze raz spróbować, skoro na pewno wiemy, że dziewczynki jeszcze tam są. Ale zaparkujmy samochód bliżej, żebyśmy w razie potrzeby mogli szybko uciec. Jeśli Ali albo jego brat wrócili, będą na nas czekać, a z tego, co opowiadałaś, wynika, że mogą użyć siły. Oboje zgodzili się ze mną i wróciliśmy do wciąż czekającego na nas kierowcy. Stanęliśmy przed wejściem do budynku.

- O, cholera! - zakląłam.

Nie wiedzieliśmy, kto znajdował się w środku, ale podczas naszej nieobecności przedsięwzięto dodatkowe środki ostrożności. Mieszkanie przypominało teraz fortecę. Przed wejściem stało czterech nieprzyjemnie wyglądających mężczyzn, którzy bronili wejścia, oczekując naszego powrotu. Jeden z nich sprawdzał swoją broń, a pozostali również sprawiali wrażenie uzbrojonych. No bo czemu w ten niezdolny upał ubrani byli w kurtki? Najwyraźniej Ali gotów był użyć przemocy, aby tylko zatrzymać córki z dala od ich matki.

- Spójrz, to Rana! - krzyknęła Kate wskazując okno, w którym widać było rozpaczliwie machającą do nas rączkę. Kate odmachnęła, co zaalarmowało jednego z mężczyzn, który zwrócił uwagę na nasz samochód. Spojrzał w stronę okna, by sprawdzić, do kogo machała Kate, a ktoś w mieszkaniu odciągnął Ranę, tak że zniknęła nam z oczu. Strażnik krzyknął na swoich kolegów, a ci odwrócili się, by spojrzeć na samochód.

- Szybko! - wrzasnęłam do kierowcy. - Uciekajmy stąd.

'70

Tak samo jak ja zdawał sobie sprawę z tego, że jesteśmy w niebezpieczeństwie. Nacisnął pedał gazu i ruszył gwałtownie. W tym samym momencie mężczyźni podbiegli do zaparkowanego naprzeciw bloku błękitnego samochodu. Wskoczyli do auta, usłyszeliśmy zgrzyt silnika, a potem pisk opon. Nasz kierowca ruszył wcześniej, ale ich samochód najwyraźniej był szybszy. Mknęliśmy ulicami Amma-nu, z piskiem opon na zakrętach i przeganiając pieszych. Czułam zapach palonej gumy. Cała sytuacja była przerażająca, a najbardziej obawiałam się tego, co zrobią z nami ci czterej mężczyźni, gdy nas dogonią.

Mieliśmy dobrego kierowcę, ale widać było, że wpadł w panikę. Jechał zdecydowanie za szybko i wydawało się, że nie ma pełnej kontroli nad pojazdem. Raz czy dwa wpadliśmy na chodnik i otarliśmy się o murki, ale wciąż jechaliśmy. Podczas pokonywania jednego z zakrętów lusterko boczne o coś zaczepiło i odpadło z takim hukiem, że zabrzmiało to jak wystrzał z pistoletu. Wszyscy krzyknęliśmy ze strachu, a gdy zorientowaliśmy się, co było przyczyną huk, zaczęliśmy się nerwowo śmiać. Za każdym razem, gdy się odwracałam, błękitny samochód był wciąż za nami, jechał wciąż zaledwie kilka metrów od nas. Wyraźnie widziałam gniewne, pełne determinacji twarze mężczyzn siedzących na przednich siedzeniach.

Jechaliśmy bardzo długo. Wszyscy, rzucani bezustannie na boki, trzymaliśmy się



kurczowo uchwytów. Podskakując na wybojach, głowami uderzaliśmy w sufit, a ramionami o drzwi samochodu. W końcu wyjechaliśmy z miejskich zabudowań i pędziliśmy z maksymalną prędkością drogą na skraju wąwozu. Nasze auto wyrzucane było na pobocza, za nami wzbijał się tuman kurzu. Wszyscy mimowolnie krzyknęliśmy, gdy w pewnym momencie zawiśliśmy kołami nad

>7'

przepaścią. Gdybyśmy wypadli wtedy z drogi, byłoby po nas, jednak gdyby dopadli nas ścigający mężczyźni, również czekałaby nas śmierć. Teraz, gdy wyjechaliśmy na teren wiejski i nie było tak wielu przechodniów, nikt nawet nie zauważyłby naszej egzekucji na poboczu pustynnej drogi - jeśli oczywiście takie zamiary mieli nasi prześladowcy. Wszystkie te myśli przelatywały mi przez głowę, podczas gdy nasz kierowca wciąż zygzakami pokonywał drogę.

Pościg trwał jeszcze koszmarnie półtorej godziny. Od ciągłego trzymania się i podskakiwania na wybojach bolały mnie wszystkie mięśnie i stawy. Czułam, że jestem poturbowana i posiniaczona. Zaczęłam też się martwić, że w pewnym momencie zabraknie nam benzyny i będziemy musieli zatrzymać się i wręcz walczyć o swoje życie. Spojrzałam na wskaźnik paliwa - mieliśmy jeszcze ćwierć baku. Odwróciłam się, by sprawdzić, gdzie znajdują się nasi prześladowcy.

- Zatrzymują się! - wykrzyknęłam, gdy tuman kurzu za nami opadł i mogłam dostrzec drogę. Sama nie mogłam uwierzyć w to, co zobaczyłam.

- Najwyraźniej im szybciej zabrakło paliwa - zasugerował Steve.

- Jedźmy jeszcze przed siebie przez jakiś czas - powiedziałam do kierowcy - a potem spróbujmy znaleźć inną drogę powrotną do Ammanu.

Zaraz po przyjeździe do Jordanii zameldowaliśmy się w hotelu, tam też zostawiliśmy nasze bagaże. Chciałam je stamtąd zabrać i przenieść się do innego, mniej rzucającego się w oczy pensjonatu. Poprosiłam taksówkarza, by zatrzymał się przed wejściem do hotelu i odczekaliśmy chwilę. Wolałam upewnić się, że nigdzie w pobliżu nie ma błękitnego samochodu. Nie chciałam wejść do pokoju i spotkać tam czekających na nas mężczyzn. Gdy zyskałam

'72

już trochę pewności, że jesteśmy bezpieczni, poszliśmy do pokoi, pospiesznie się spakowaliśmy i zeszliśmy do recepcji, by uregulować rachunek. Przez cały czas odwracałam głowę, by sprawdzić, czy nie ma naszych prześladowców. Byłam pewna, że niedługo zaczną szukać nas we wszystkich większych hotelach w mieście.

Uregulowaliśmy rachunek w recepcji, a następnie kierowca zawiózł nas do małego hotelu, który znajdował się przy bocznej uliczce. Nie był on tak komfortowy jak poprzedni, ale czuliśmy się w nim bezpieczniej. Przed wykonaniem kolejnego ruchu, postanowiliśmy nieco odpocząć i nabrać sił.

Uznałam, że sami nic już więcej nie zdziałamy i potrzebna nam będzie pomoc kogoś miejscowego. Zadzwoiłam do mojego przyjaciela mieszkającego w Ammanie, który podczas moich poprzednich wypraw bardzo mi pomagał. W trakcie rozmowy telefonicznej opisałam mu w skrócie sytuację, w jakiej się znaleźliśmy, i poprosiłam o radę. Natychmiast przyjechał do naszego hotelu, by poznać więcej szczegółów i wspólnie zastanowić się, jak należy dalej postępować. Zrelacjonowaliśmy mu szczegółowo wszystko, co się do tej pory wydarzyło, i wyjaśniliśmy, gdzie znajduje

się mieszkanie, w którym dziewczynki są przetrzymywane.

- Czy mógłbyś tam pojechać i sprawdzić, czy mężczyźni wciąż stoją przed drzwiami? Może będzie już na tyle bezpiecznie, że będziemy mogli spróbować jeszcze raz?

- poprosiłam go, czując że wraca mi odwaga.

- Oczywiście - odparł.

Po godzinie znów zjawił się w naszym hotelu.

- Nie macie szans zbliżyć się do dzieci - powiedział.

- Na dachu domu stoją uzbrojeni ludzie, a dodatkowo przed drzwiami do mieszkania stoi mężczyzna.

III

Nikt z nas nie chciał ryzykować. Cóż jednak jeszcze mogliśmy zrobić? Jeśli dziewczynki nie opuszczały mieszkania, a my nie mogliśmy się do niego dostać, sytuacja była patowa. Przez kilka kolejnych godzin siedzieliśmy w pokoju hotelowym, zastanawiając się, jak postąpić. Nagle rozległo się pukanie do drzwi.

Wszyscy skoczyliśmy na równe nogi. Czyżby już udało im się nas odnaleźć?

- Kto tam? - zapytałam po arabsku.

- Jesteśmy pracownikami konsulatu brytyjskiego - odpowiedział jakiś mężczyzna po angielsku.

- O Boże - westchnęłam spoglądając na Kate i Steve'a.

- Skąd mamy wiedzieć, że to nie tamci faceci? - zapytał Steve.

Podeszłam do wizjera. Przed drzwiami stało trzech mężczyzn, którzy wyglądali na Brytyjczyków. Otworzyłam, a jeden z nich wyjaśnił cel wizyty.

- Chcą z wami rozmawiać oficerowie ze specjalnej jednostki policji. Czekają w hallu. Udało nam się ich przekonać, że to my poprosimy was o zejście na dół.

Spojrzałyśmy po sobie z Kate. Nie byłam pewna, czy była to dobra, czy zła wiadomość.

- Czy zechcecie z nimi porozmawiać? - zapytał mężczyzna.

- Musimy tam pójść - powiedziałam do Kate i Steve'a. - Nie możemy ich po prostu zignorować. Nie dadzą nam spokoju.

Wyszliśmy z pokoju i wraz z trzema przedstawicielami konsulatu zeszliśmy na dół.

Policjanci najwyraźniej nie czuli się komfortowo w roli, jaką im przydzielono.

Wyglądało na to, że już wszyscy w Ammanie dowiedzieli się o naszym przyjeździe, a także o tym, że chciałyśmy skontaktować się z dziećmi Kate. Wieść o tym rozeszła się dużo

i 74

szybciej, niż się tego spodziewałam. Ali był przygotowany absolutnie na wszystko, byle tylko uniemożliwić żonie kontakt z córkami. Był skłonny posłużyć się w tym celu nawet miejscowymi władzami. Jeden z oficerów chciał wiedzieć, w jakim celu przyjechaliśmy do Jordanii. Nie było sensu kłamać. Wyjaśniłam, że prawie rok temu porwano dzieci Kate, a ona chciała się z nimi zobaczyć. Policjanci słuchali zniecierpliwieni, a potem nakazali nam opuścić kraj najbliższym samolotem. Nasza obecność była im nie na rękę, nie mieli ochoty zajmować się naszą sprawą dłużej, niż było to konieczne. Gdybyśmy teraz zniknęli i wrócili do domu, udawaliby, że wcale nas tu nie było.

■\* Nie zamierzam porzucić moich dzieci - powiedziała Kate, przerażona samą myślą o wyjeździe.

- W takim razie będziemy musieli panią aresztować

- odparł policjant. - Nie możemy ryzykować, że dzisiejsza sytuacja się powtórzy.

- Aresztować? - Kate spojrzała na policjanta zaskoczona. Chyba nawet nie przyszło jej do głowy, że coś takiego mogłoby się zdarzyć. - Ja przecież tylko chcę zobaczyć swoje dzieci! Czy to przestępstwo?

- Kate, będziesz musiała ich posłuchać - poradziłam.

- Przecież nie chcesz, żeby cię tutaj aresztowano. Mogliby cię przetrzymywać w więzieniu miesiącami, zanim sprawa trafiłaby do sądu. Poza tym nic dobrego by to nie przyniosło dziewczynkom. Byłyby jeszcze bardziej przerażone na myśl o tym, że ich mama jest w więzieniu.

Znów zaczęła płakać, czym wprawiła policjantów w zakłopotanie. Nie wiedzieli, jak się zachować. Przedstawiciele konsulatu również byli skrepowani sytuacją. Stali zupełnie bezradni, pilnując jedynie, by nie obchodzono się z nami w nieodpowiedni sposób.

'75

- Dobrze - powiedziałam po cichu do policjantów. - Wyjedziemy, dajcie nam trochę czasu, abyśmy mogli się spakować.

Zaprowadziłam Kate do jej pokoju i poprosiłam Steve'a, by się nią zaopiekował.

Nigdy wcześniej nfe widziałam tak bardzo przygnębionej kobiety. Serce jej się krajało na myśl, że musi wrócić do domu, nie mogąc nawet uściskać swoich dzieci i zapewnić ich o swojej miłości. Pewnie zastanawiała się nad tym, co czuły jej córeczki, gdy usłyszały głos matki przez zamknięte drzwi albo widziały ją przejeżdżającą przed ich domem. Postanowiłam raz jeszcze spróbować doprowadzić do ich spotkania. Nie powiedziałam o tym ani Kate, ani Steve\*owi. Nie chciałam rozbudzać w nich nadziei - nie mogłam przecież zagwarantować, że tym razem mi się uda. Zostawiłam ich w hotelu, a sama poszłam na posterunek policji.

Zaraz po wejściu do środka zaczęłam robić straszne zamieszanie. Mój głos odbijał się echem po całym budynku. Aby mnie uciszyć w końcu zaprowadzono mnie do starszego rangą oficera. Gdy tylko znalazłam się w jego gabinecie, od razu się uspokoiłam i zaczęłam wyjaśniać mu, dlaczego spotkanie z dziewczynkami jest dla Kate takie ważne. Obiecałam, że jeśli pozwoli jej na jedną jedyną wizytę, zaraz potem zabiorę ją z powrotem do domu i nie będziemy sprawiać więcej kłopotów w Ammanie. Podkreśliłam, że całą sprawę można wyjaśnić tylko wtedy, gdy obie strony się spotkają i porozmawiają. Zapewniłam także, że nie miałyśmy zamiaru uprowadzać dzieci, ani w żaden sposób ich krzywdzić. Powiedziałam, że szanujemy Alego oraz uważamy go za dobrego ojca, ale Kate również dobrze wywiązywała się z obowiązków matki i powinna być traktowana na tych samych zasadach.

/76

Chyba niewielu ludzi potrafi odrzucić taką prośbę, jeśli jest przedstawiona w odpowiedni sposób - każdy ma przecież matkę. Jestem przekonana, że oficer, z którym rozmawiałam, miał również żonę i dzieci, i potrafił wczuć się w nasze położenie.

- Dobrze - powiedział w końcu - ale spotkanie musi odbyć się tutaj, a nie w ich

mieszkanii ani w hotelu. Mu-simy^controlować sytuację.

- Czy może pan zapewnić, że dziewczynki zostaną tu przewiezione? - zapytałam.

- Tak, przyjadą na posterunek - odpowiedział. - Musi pani jednak przyrzec, że ich matka nie będzie sprawiać problemów. Poza tym ma przyjść sama.

Złożyłam obietnicę i czym prędzej popędziłam do hotelu, by podzielić się dobrą wiadomością. Kate była tak uradowana, że o mało mnie nie udusiła z wdzięczności, rzucając mi się na szyję. Po chwili wywracaliśmy walizki do góry nogami w poszukiwaniu prezentów dla dziewczynek, które przysłali ich przyjaciele i krewni. Mieliśmy przy sobie także listy od ich szkolnych koleżanek oraz ulubione zabawki, za którymi zapewne tęskniły. Zostałam ze Steve'em w hotelu, a Kate poszła na posterunek. Przez głowę musiały jej przelatywać tysiące myśli. Jak dziewczynki wyglądają po tak długim czasie? Czy się zmieniły? Co do niej czują? Jak się będą zachowywać? Potem Kate zrelacjonowała nam przebieg spotkania z dziećmi. Gdy dotarła na miejsce, poinformowano ją, że musi podporządkować się sztywnym regułom.

- Jedynie pani może wejść do pokoju - powiedział policjant. - Nikt inny nie ma prawa wstępu. Spotkanie będzie trwało godzinę.

/77

Chciała zaprotestować, ale zdała sobie sprawę, że to i tak najlepsza propozycja, jaką w ogóle otrzymała, a poza tym niewiele brakowało, aby wszystko odwołano. Podczas gdy ja i Steve czekaliśmy w hotelu, rozmyślając nad tym, jak trudno musi być Kate, ona została zaprowadzona do pokoju, w którym czekały już dziewczynki.

Pomyślałam, że na tak dramatyczny bieg wydarzeń mogła wpłynąć obecność Steve'a. Arabowie często są bardzo zazdrośni o nowych partnerów swoich byłych żon.

Właśnie pojawienie się innego mężczyzny najczęściej skłania ich do zaplanowania wywiezienia z kraju swoich dzieci.

Ali wiedział, że Kate będzie chciała mu odebrać córki, a dodatkowo przerażała go myśl o tym, że miałyby one być wychowywane przez ojczyma.

Dokładnie po godzinie Kate opuściła pokój na posterunku policji i wróciła do hotelu. Była zapłakana, drżąc padła w ramiona Steve'a i rozszlochała się.

- To było okropne - wydusiła z siebie. - Przez cały czas dziewczynki kurczowo się mnie trzymały. Ranę musieli odrywać ode mnie siłą. Jak mała małpka przyczepiła się do mojego ramienia - myślałam, że oderwie mi rękawy. Nie wiedziałam, co mam robić, więc tylko je przytulałam, całowałam i mówiłam, jak bardzo je kocham. Hanan kazała mi się nie martwić, ponieważ opiekuje się Raną pod moją nieobecność. Obie były bardzo blade. Wciąż trzymają je w zamknięciu. Gdy mieszkaliśmy w Wielkiej Brytanii ciągle bawiły się na powietrzu. To niesprawiedliwe.

Mogłam sobie wyobrazić, jak ogromna rozpacz ogarnęła Kate. Czułabym się okropnie, widząc swoje dzieci po dziewięciu miesiącach rozłąki tylko przez godzinę. Teraz musiała wsiąść na pokład samolotu i wrócić do swojego domu oddalonego o tysiące kilometrów od nich. W dodatku miała

/78

świadomość, że nie są szczęśliwe z ojcem. Nie jestem pewna, czy byłabym do tego zdolna. Zawarliśmy jednak umowę i musieliśmy wyjechać z Jordanii. Myślę, że dla Kate le-ptej^byto zobaczyć dzieci choć przez chwilę, niż odjechać wcale ich nie

spotkawszy. Marne to jednak pocieszenie.

Najbliższy samolot odlatywał dopiero za parę godzin, siedzieliśmy więc w moim pokoju i w żalobnym nastroju omawialiśmy to, co się stało. Kate była mi bardzo wdzięczna za zorganizowanie spotkania. Było to jednak zdecydowanie mniej, niż spodziewaliśmy się osiągnąć. Wyjeżdżając do Jordanii mieliśmy nadzieję, że uda nam się odzyskać dziewczynki, tymczasem uzyskaliśmy jedynie zgodę na godzinne widzenie. Kate była zdruzgotana, lecz mimo wszystko podziwiałam jej hart ducha i to, że tak dobrze zniosła wszystkie ostatnie wydarzenia. Dobrze, że Steve był z nami i mógł ją wspierać.

Nagle zadzwonił telefon. Podniosłam słuchawkę i usłyszałam jakiś męski głos. - Zabiję was - syknął ktoś po drugiej stronie. Kate i Steve zauważyli, że coś bardzo mnie poruszyło. Rzuciłam słuchawkę, jakby mnie użądliła, i powiedziałam im, co usłyszałam. Zanim opuściliśmy pokój, telefon dzwonił jeszcze kilkakrotnie i za każdym razem jakiś mężczyzna groził, że nas zabije. Chciałam nie podnosić słuchawki, ale obawiałam się, że w ten sposób ominie nas jakaś ważna informacja. Otrzymanie takiej pogroźki jest przerażające. Tłumaczyłam sobie, że istnieje spora różnica między słowną groźbą a czynem, ale już sama myśl o tym, że ktoś chce mnie zabić, sprawiła, że nerwy miałam w strzępach. Jak można uważać, że trzeba nas zabić. Chcieliśmy przecież tylko rozwiązać rodzinny problem. Byłam bardziej

zszokowana

'79

i roztrzęsiona, niż mogłam się po sobie spodziewać. Wpłynęła na to zapewne świadomość, że ludzie grożący nam naprawdę mieli broń, a poza tym wcześniej przegonili nas z miasta, ścigając nasz samochód. Nie czułam się pewnie w hotelu, ponieważ nasi prześladowcy dokładnie wiedzieli, gdzie jesteśmy. Wyjście na ulicę było jednak jeszcze bardziej niebezpieczne. Przyłapałam się na tym, że próbuję dojrzeć na dachach okolicznych domów lufę karabinu snajperskiego - czułam się

Wiemal jak ochrona prezydenta. Jadąc taksówką na lotnisko wciąż rozglądałam się na boki, gdyż spodziewałam się, że w każdej chwili może do nas podejść uzbrojony mężczyzna. Bałam się też, że podjadą do nas samochodem i spróbują zepchnąć z drogi, jak w jakimś filmie akcji. Każdy przechodzień wyglądał podejrzanie. Serce waliło mi tak mocno, że byłam bliska omdlenia. Nic jednak nie mówiłam o swoich obawach. Widziałam, że Kate była pogrążona w smutku i bólu, a w takiej chwili nawet myśl o śmierci nie jest przerażająca. Gdy dotarliśmy na lotnisko, nogi miałam jak z waty, Kate i Steve także byli bladzi i przygnębieni. W takich nastrojach przeszliśmy przez odprawę bagażową i liczne kontrole.

Gdy samolot oderwał się od ziemi, wszyscy rozplakaliśmy się. Ja płakałam, ponieważ czułam, że zawiodłam Kate, Steve natomiast, widząc, jak cierpi jego ukochana, płakał z bezsilności i żalu. Myślę, że mój płacz był również reakcją na udaną ucieczkę przed próbującymi nas zastraszyć ludźmi. W powietrzu byliśmy już bezpieczni, opuściliśmy też terytorium Jordanii. To było naprawdę okropne przeżycie.

Po powrocie do domu Kate wielokrotnie próbowała skontaktować się telefonicznie z dziewczynkami, ale za każdym razem, kiedy zorientowano się kto dzwoni, odkła-

dano słuchawkę. Wygląda na to, że jej tęsknota i cierpienia skończą się dopiero wtedy, gdy jej córki będą dorosłe i same spróbują odszukać matkę. Mam wrażenie, że podczas naszej wyprawy do Jordanii jakaś część Kate umarła. Nie spełniły się jej gorące nadzieje na odzyskanie dzieci.

Zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy, ale ponieśliśmy klęskę. Było to najsmutniejsze doświadczenie mojego życia, które jednocześnie pozbawiło mnie złudzeń. Do tamtej pory uważałam, że można osiągnąć absolutnie wszystko, jeśli się tylko bardzo tego pragnie. Wyprawa z Kate uzmysłowiła mi, że można trafić na mur nie do przebicia. Nasz przeciwnik był zbyt potężny. Ali gotów był użyć siły, a labirynty prawa międzynarodowego i protokołów dyplomatycznych utrudniały nam działanie. Byliśmy zupełnie bezsilni. Chciało mi się krzyczeć, że to niesprawiedliwe. Jak można było ograniczyć kontakt matki z dziećmi do jednej godziny? Wyznaczenie jednej godziny dziennie byłoby skandalem, a co dopiero jedna godzina w ogóle! Wprost nie chce się wierzyć.

77/0 Y.

i

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

### Zdemaskowana

Podczas wszystkich wypraw raczej udawało mi się zachować anonimowość. Ludzie, z którymi pracowałam, znali oczywiście, moje nazwisko, a często, poznawali także moją rodzinę, byli nawet naszymi gośćmi. Jednak większość osób, które się ze mną kontaktowały, znały jedynie mój pseudonim „Dee”, często nie miały nawet mojego numeru telefonu. Chciałam chronić swoją rodzinę, ponieważ zawsze istniało niebezpieczeństwo, że jakiś ojciec, któremu odebrałam dzieci, będzie chciał zemścić się na moich bliskich. Zdawałam sobie sprawę, że moje postępowanie może być uznane za kontrowersyjne i mogą znaleźć się ludzie niezgadający się z nim, którzy zechcą skrzywdzić moich najbliższych. Pod koniec naszego pobytu w Jordanii grożono nam śmiercią i zależało mi na tym, aby uchronić moje dzieci przed tego typu telefonami. Szczególnie często Marlon pierwszy podnosił słuchawkę telefonu i bardzo nie chciałam narażać go na nieprzyjemne przeżycia. Nasze czasy są i tak pełne przerażających wydarzeń, przed którymi trzeba chronić dzieci, nie chcę więc dosatrczać im niepotrzebnych dodatkowych stresów. Marlon słucha telewizyjnych

wiadomości i kiedy Tony Blair oświadczył, że Saddam Husajn ma możliwość zaatakowania Cypru, zaczął bać się o swojego ojca i dziadków. Wierzył, że grozi im

/82

realne niebezpieczeństwo. Tłumaczyłam mu, że fakt, iż Saddam może zaatakować wyspę, niekoniecznie oznacza, że to zrobi, ale chyba nie do końca go to przekonało i uspokoiło.

Każdy rodzic stara się chronić swoje dzieci przed otaczającą rzeczywistością, ale niemożliwe jest uchronienie ich przed każdym zagrożeniem.

Mimo moich usilnych starań o zachowanie anonimowości, osobom, którym na tym zależało, zawsze udawało się do mnie dotrzeć. Gdy przekazywano mi informacje o ich problemie, oddzwaniałam z telefonu komórkowego. Wiedziałam, że nigdy nie będziemy całkowicie bezpieczni, ale przynajmniej miałam świadomość, że zrobiłam wszystko, co mogłam, by ustrzec swoją rodzinę przed ewentualnym niebezpieczeństwem. Zależało mi na zachowaniu w tajemnicy mojego prawdziwego imienia i nazwiska także po to, by móc swobodnie podróżować. Gdybym stała się osobą publiczną, znaną z „porywania” dzieci, nigdy nie dostałabym się do żadnego kraju na Środkowym Wschodzie ani w Afryce Północnej. Musiałabym posługiwać się fałszywymi dokumentami, co zwiększyłoby ryzyko aresztowania. Im więcej ludzi mogło mnie rozpoznać, tym większe było prawdopodobieństwo zdemaskowania mnie podczas misji. Informacje o moich poczynaniach zaczęły jednak przedostawać się do mediów. Dziennikarze prasowi i telewizyjni chcieli się ze mną skontaktować, a ja nie wiedziałam, co robić. Z jednej strony nie leżało w moim interesie, aby moje nazwisko i twarz były publicznie znane, z drugiej jednak strony chciałam, by ludzie wiedzieli, czym się zajmuję. Uważałam, że dobrze będzie uświadomić tysiącom kobiet, którym każdego roku porywano dzieci, że można temu przeciwdziałać i że można próbować je odzyskać.

183

Chciałam też, by wiedziały, że nie są same, a także, że nie powinny zbyt szybko przejmować się przestrzeganiem przepisów. Jeśli tylko zaczną walczyć o swoje prawa, będą miały znacznie większe szanse na ponowne ujście własnych dzieci. Poza tym, kobiety związane z Arabami potrafiłyby dzięki temu rozpoznać alarmowe sygnały wskazujące na to, że ich mężowie mogą planować porwanie. Podczas moich rozważań coraz częściej nachodziła mnie myśl o tym, że ważniejsze od zachowania prywatności i anonimowości jest uświadomienie ludziom ogromnej skali tego niebezpiecznego procederu.

Nadal używałam imienia Dee, ale zaczęłam brać udział w programach telewizyjnych i udzielać wywiadów, gdy dziennikarzom udawało się ze mną skontaktować.

Zachowywałam się, jakbym sprawdzała temperaturę wody w basenie, zanurzając w niej palec - ku mojemu zaskoczeniu woda okazała się całkiem ciepła. Nie spotkałam się z żadnym negatywnym odzewem. Najwyraźniej wszyscy uważali, że to, co robię, jest słuszne, mimo że czasem się myliłam w ocenach, a metody, które wykorzystywałam, były dość niekonwencjonalne. Nadal, na tyle na ile było to możliwe, próbowałam zachować anonimowość, ale w 2002 roku moje życie zostało dokładnie opisane na pierwszych stronach gazet i niewiele brakowało, a straciłabym

wolność na wiele lat.

Sarę Fotheringham poznałam za pośrednictwem programu telewizyjnego Trisha - talk-show nadawanego w ciągu dnia. Kiedyś zaproszono mnie, bym w nim wystąpiła. Coraz więcej ludzi zgłaszało się do mnie właśnie dlatego, że widzieli mnie w telewizji albo czytali o mnie artykuł i mieli nadzieję, że im pomogę. Realizatorzy tego programu wysłali mi pocztą elektroniczną informację o kobiecie, która chce /84

się ze mną spotkać, i podali mi jej adres. Zawsze kontaktuję się z takimi osobami, ponieważ wiem, że jeśli szukają pomocy u mnie, to oznacza, że znaleźli się w rozpaczliwej sytuacji. Nawet jeśli później okazywało się, że nie byłam w stanie nic dla nich zrobić, uważałam, że takie spotkania są pożyteczne. Czasami już samo wysłuchanie tych skrzywdzonych kobiet jest dla nich bardzo ważne. Nie uważam, żeby czas, który poświęciłam na te spotkania, był stracony. Chętnie rozmawiałam z nimi, próbując je pocieszyć - straciły przecież osoby, na których najbardziej im zależało.

Zadzwoiłam pod numer, który podali mi realizatorzy programu, i przedstawiłam się Sarze. Na początku nie miałam pojęcia, kim jest. Kiedy jednak opowiedziała mi, że pracowała jako stewardesa i miała dziecko z mężczyzną pochodzącym z Dubaju, przypomniałam sobie, że widziałam ją w programie Tonight With Trevor McDonald, który nadawany jest w późnych godzinach wieczornych - zresztą później sama w nim wystąpiłam.

W trakcie naszej telefonicznej rozmowy powiedziała, że mieszka w Camberley, niewielkim miasteczku pod Londynem. Jak zwykle umówiłam się z nią na spotkanie w Cafe Rouge na pierwszym piętrze domu towarowego Withley's. To miejsce było świadkiem wielu moich wzruszających rozmów z matkami, którym odebrano dzieci. Kiedy obserwowałam ją, jak zbliża się do kawiarni, zauważyłam, że różni się czymś od kobiet, którym do tej pory pomagałam. W przeciwieństwie do wielu innych matek nie wyglądała na załamana. Sprawiała wrażenie osoby pewnej siebie, była też bardzo zadbana. Bez wątplenia nikt nie zmusiłby jej do założenia bezkształtnej brązowej sukni.

Przysiadła się do mnie, zamówiła kawę i zaczęłyśmy rozmowę. Nie wiedziałam, czy była zdenerwowana naszym /85

spotkaniem, czy zawsze ma taki sposób bycia. Wydawało mi się, że zachowuje się pretensjonalnie. Próbowwała przekonać cały świat, a może przede wszystkim samą siebie, że jest bardziej wytworna, niż była w rzeczywistości. Miała na sobie dzinsowe spodnie i kowbojskie botki, imitujące styl Sloane. Sprawiała wrażenie zdecydowanie zbyt wystudiowane. Nie zamierzałam jednak odmówić jej pomocy tylko dlatego, że wydawała się zarozumiała i dbała o swój wygląd. Wciąż była matką, która straciła dziecko i potrzebowała wsparcia. Potwierdziła, że kilka tygodni wcześniej uczestniczyła w programie Tonight With Trevor McDonald. Byłam dla niej pełna podziwu za to, w jak wielu programach udało jej się wystąpić - potrafiła przekonać upartych dziennikarzy i producentów telewizyjnych o wadze jej problemu. To sprawiło, że z tym większym zainteresowaniem chciałam wysłuchać, co ma do powiedzenia.



- Jestem bliska obłądu - powiedziała z perfekcyjną dykcją. - Kontaktowałam się już z trzema organizacjami, które twierdzą, że odzyskują porwane dzieci: z Wielkiej Brytanii, z Ameryki Południowej oraz z Holandii. Zażądali kwoty czterdziestu tysięcy funtów, nie dając żadnej gwarancji, że sprowadzą z powrotem moje dziecko. Nie stać mnie na to.

Ze współczuciem pokiwałam głową. Dobrze znałam tego rodzaju najemników - obiecują bardzo dużo, żądają ogromnych sum i nie zawsze wywiązują się z zobowiązań. Kilka takich grup skontaktowało się ze mną, proponując współpracę. Zawsze odpowiadałam, że wolę pracować na własną rękę. Większość z nich stanowili byli żołnierze SAS, a przynajmniej za takich się podawali - ludzie, którzy zdolni byli zabijać, by osiągnąć zamierzony cel. Jeden z takich osobników zapewniał mnie, że jest byłym agentem

I 86

FBI, mistrzem sztuk walki, bardzo dobrze zna się na broni, jest autorytetem w sprawach terroryzmu, a także pilotem helikoptera - żeby wymienić tylko niektóre jego umiejętności. Ja natomiast nie mam nawet prawa jazdy... Zastanawiające, jakim cudem udało mi się odzyskać tak wiele dzieci? Wszyscy tacy ludzie twierdzili, że muszą pobierać wysokie opłaty od zleceniodawców na przygotowanie koniecznych ekspertyz oraz na wyposażenie niezbędne do przeprowadzenia każdej akcji. Nie chciałam mieć z nimi do czynienia i doskonale rozumiałam, dlaczego Sara nie zdecydowała się skorzystać z ich usług.

- Nie chcę, żebyś mi płaciła. Musisz tylko pokryć wydatki - zapewniłam ją. - Nie zarabiam tym na życie.

Opowiedziała mi o swoim synu, Tariku, który pojechał do Dubaju odwiedzić ojca.

- Od dwóch lat próbuję go odzyskać - wyjaśniła. - Odbyło się już kilka rozpraw sądowych o przyznanie opieki nad dzieckiem. To zupełnie jak koszmary sen. Ojciec Tari-ka należy do rodu Al-Habtoor, jednego z najbogatszych w Dubaju, który w dodatku jest zaprzyjaźniony z rodziną królewską. Za każdym razem, gdy się spotykamy TT - tak go nazywam - mówi, że nie chce mieszkać z ojcem, tylko wrócić do mnie.

\* - Urodził się i dorastał tutaj, w brytyjskiej rodzinie. To nie jest dla niego normalne, że musi mieszkać ponad trzy tysiące kilometrów stąd, z dala od swojej matki, ojczyma, który go kocha oraz swoich braci i sióstr. Tam wychowywany jest przez służących, a ojca widzi kilka godzin na tydzień.

- Al-Habtoorowie go nie kochają. Upierają się, żeby z nimi mieszkał tylko dlatego, że jest najstarszym synem Ra-shida. Chcą go mieć przy sobie i przygotować do przejęcia

/87

jednego z ich przedsiębiorstw, ale on wciąż jest jeszcze małym chłopcem.

Duże, starannie pomalowane oczy Sary zaszklily się od łez i wtedy postanowiłam jej pomóc. Wyjaśniła, że zaszła w ciążę w trakcie romansu z Rashidem Al-Habtoorem, a gdy on się o tym dowiedział, ich związek zakończył się w nieprzyjemny sposób.

- Poznaliśmy się w trakcie jazdy konnej - wyjaśniła. - Pracowałam jako stewardesa w Emirates Airlines i podczas jednej z przerw pojechałam do stajni położonej niedaleko hotelu Metropolitan. Tam właśnie Rashid trzymał swoje kucyki do gry w polo.

Właścicielem stajni oraz hotelu był jego ojciec. Miałam wtedy dopiero dwadzieścia trzy lata, zaczęliśmy rozmawiać, a on zaprosił mnie na kolację. Niedługo przedtem wrócił z Ameryki i zachowywał się jak ktoś wychowany na Zachodzie. Nie mówił ani o swojej rodzinie, ani o religii, był niezwykle czarujący, wykształcony i zabawny. Zauważyłam, że jest bogaty, ale nie miałam pojęcia, że posiada tak wielką fortunę. Nie wiedziałam także, że jego rodzina zaaranżowała już jego małżeństwo z inną dziewczyną.

Dobrze pamiętałam swoje zetknięcie z bogatym arabskim rodem oraz to, jak skutecznie odseparowali ode mnie swojego potomka i sprawili, że ożenił się ze swoją kuzynką. Historia brzmiała ludożęco podobnie do mojej i nie miałam powodu, by nie wierzyć Sarze. Przeżyłam prawie dokładnie to samo. Opowiedziała, jak wróciła do Wielkiej Brytanii, by urodzić dziecko, a Rashid jasno dał jej do zrozumienia, że nie chce się nim opiekować. Oskarżył ją, że celowo zaszła w ciążę, by w ten sposób zatrzymać go przy sobie. Twierdził też, że i tak nie jest to jego dziecko.

I 88

- Po urodzeniu Tarika wysłałam Rashidowi informację o tym, że ma syna. Później dowiedziałam się, że ożenił się z kobietą wybraną dla niego przez rodzinę. Domyślałam się, jak mogło do tego dojść - znałam to z własnego doświadczenia. Sara wyszła za męża, gdy Tarik miał cztery lata. Poślubiła Brytyjczyka, policjanta Neila Fortherighnama. Neil oficjalnie adoptował chłopca. W tym czasie także ochrzczili go i wychowywali jako chrześcijanina. Założyli, że Rashid nigdy nie będzie chciał uznać Tarika za swojego syna. Sara i Neil mieli jeszcze trójkę wspólnych dzieci. Ich rodzina bardzo przypominała moją, ja także miałam najstarsze dziecko z innym mężczyzną, a trójkę z obecnym mężem. Wiedziałam, jaką ulgę musiała poczuć Sara, gdy poznała kogoś, kto nie wyróżniał żadnego z dzieci. Zdawałam sobie także sprawę, że nie można było tak po prostu zapomnieć, że ojcem jednego z dzieci jest inny mężczyzna.

- Gdy Tarik miał siedem lat ponownie skontaktowałam się z Rashidem - kontynuowała swoją opowieść. - Choć

- tworzyliśmy z Neilem szczęśliwą rodzinę, czułam potrzebę, by Rashid uznał swojego syna. Bardziej zależało mi na dobru Tarika niż na czymkolwiek innym. Miał oliwkową skórę i ciemne włosy. Od razu widać było różnicę pomiędzy nim a resztą rodzeństwa, poza tym byłam zdania, że powinien poznać swojego ojca.

- Rashid odpisał i nalegał na wykonanie testów DNA, które mogłyby potwierdzić, że Tarik rzeczywiście jest jego synem. Wydaje im się, iż bogate rodziny zawsze atakowane są przez kobiety, które chcą skorzystać z ich pieniędzy i każdą tego typu sprawę rozwiązują prawnicy. Najwyraźniej Rashid miał nadzieję, że takie żądanie raz na zawsze mnie uciszy. Choć czułam się urażona tym, że sugerował,

/89

iż mam na celu jedynie wyłudzenie majątku, uznałam, że badanie DNA rozwiąże sprawę raz na zawsze, postanowiłam więc je wykonać. Wyniki potwierdziły, że mówię prawdę - Rashid był biologicznym ojcem Tarika. To zmieniło całą sytuację. Nagle okazał zainteresowanie swoim najstarszym synem i oświadczył, że chce się z nim spotkać. Do tego czasu jego żona urodziła już dwóch chłopców i dziewczynkę, co zapewne sprawiło, że bardziej zdawał sobie sprawę z ojcowskich obowiązków.

Powiedział, że poinformował swojego ojca o tym, że ma wnuka. Teraz wiem, że była to bardzo ważna informacja - dziadek Tarika jest głową rodu Al-Habtoorów.

Pomyślałam, że to dobrze, iż Rashid i jego ojciec chcą poznać TT.

Sara opowiedziała, jak Rashid kilkakrotnie przyjeżdżał do Wielkiej Brytanii, by spotkać się z synem, a następnie przedstawił jej pewną propozycję. Powiedział, że jeśli zechcą z Neilem przeprowadzić się z dziećmi do Dubaju, jego rodzina pokryje wszystkie wydatki, zapewni im mieszkanie, znajdzie Neilowi pracę w charakterze instruktora na siłowni i zapłaci za edukację dzieci w prywatnej szkole.

- Twierdzili, że chcą, aby Tarik poznał kulturę, w której wychowany został jego ojciec - powiedziała - a nam propozycja wydawała się korzystna.

Rodzina Fortheringhamów przyjęła ofertę i wkrótce przeprowadziła się do rozkwitającego, bogatego Dubaju. Rashid dotrzymał słowa i pokrył wszystkie wydatki związane z ich przeniesieniem. Jednak mimo wielkiej szczodrości okazanej przez Al-Habtoorów, Sara i Neil wkrótce przestali cieszyć się swoim nowym życiem. Uznali, że dom jest dla nich zbyt mały (ze zgorzeniem poinformowała mnie,

I CO

mi% miał tylko jeden pokój dla służby), a Rashid coraz więcej czasu spędzał z Tarikiem.

- Prawie przestałam widywać syna - wyjaśniła. - Wciąż był u swojego ojca.

)Neil stwierdził, że praca, którą mu zapewniono, nie spełnia jego oczekiwań. Był asystentem do spraw rekreacji w jednym z hoteli należących do rodu Al-Habtoorów. Z czasem jego złudzenia się rozwiały. Dziewięć miesięcy po przyjeździe do Dubaju Sara uznała, że popełniła błąd i powiedziała Rashidowi, że chce wracać do Wielkiej Brytanii. Przez ten czas jednak Rashid pokochał syna i nie chciał się z nim rozstawać. Powiedział, że bardzo mu przykro, że nie są zadowoleni z przeprowadzki i zrobi wszystko, co będzie mógł, by pomóc im w powrocie do ojczyzny, ale chce, aby Tarik pozostał z nim w Dubaju.

- Oczywiście nie zamierzałam się na to zgodzić - powiedziała Sara - ale Rashid podjął już decyzję, a w swoim kraju jest bardzo wpływowym człowiekiem. Kiedy poskarżyłam mu się, że prawie wcale nie widuję Tarika, poinformował mnie, że jest on jego dzieckiem i kategorycznie zabronił mi spotkania się z synem. Jego dom był pilnie strzeżony, więc nie mogliśmy się do niego dostać. Poszliśmy do ambasady brytyjskiej, ale powiedzieli nam, że nie mogą nic zrobić - chłopiec przebywa ze swoim ojcem w jego kraju i jest to absolutnie legalne.

Gdy skończyła swoje opowiadanie, oczy miała pełne łez i wyglądała na zupełnie przybitą utratą syna. Nie była w stanie wyobrazić sobie życia bez niego. Podobne historie słyszałam już wielokrotnie i nie miałam podstaw, by jej nie wierzyć.

Wydarzenia, które opisywała, dokładnie pasowały do znanego mi już wzorca. Po powrocie do kraju rozpoczęli z mężem walkę prawną o umożliwienie Tarikowi powrotu

/Q/

do matki, ale jedyne, co udało im się uzyskać, to prawo do jednej rozmowy telefonicznej w tygodniu. Mogłam sobie wyobrazić, jak bolesne musiały być dla niej takie rozmowy. W ciągu kilku minut próbowała podtrzymać więź z dzieckiem oddalonym od niej o ponad trzy tysiące kilometrów. Za każdym razem? gdy odkładała

słuchawkę, musiała czuć rozpacz na myśl, że musi czekać kolejny tydzień, by usłyszeć głos syna.

- W sądzie powiedziano nam, że wywożąc Tarika do Dubaju, zrezygnowaliśmy z mieszkania na terytorium Wielkiej Brytanii. Oświadczone, że jedynie sąd w Dubaju jest władny decydować o przyszłości chłopca. Jednak tam ogromne wpływy ma rodzina Rashida, która w dodatku dysponuje prawie nieograniczoną ilością pieniędzy. Nie mieliśmy żadnych szans na wygraną z nimi w ich kraju. Oczywiście opiekę nad Tarikiem przyznano jego ojcu.

Później, gdy byłam w Dubaju, pokazano mi akt ślubu, Rashida i Sary.

- Gdy masz dokument podpisany przez szejka, nie masz szans podważyć jego wiarygodności - wyjaśniła. - Poza tym tam nie uznają adopcji, więc Neil nie miał żadnych praw jako legalny opiekun Tarika. Kilka miesięcy temu, gdy byłam w Dubaju, pozwolono mi na kilkugodzinne spotkanie z synem, oczywiście pod nadzorem Al-Hab-toorów. Teraz jednak, gdy wróciłam do Wielkiej Brytanii, odebrano mi nawet prawo do cotygodniowych rozmów. Jestem przerażona, wydaje mi się, że powoli go ode mnie odsuwają. Uczą go arabskiego i wpajają mu nauki islamu.

Pomimo znakomitego akcentu i pretensjonalnego zachowania odniosłam wrażenie, że Sara jest dobrą, młodą matką. Pomyślałam, że sprowadzenie chłopca z powrotem do kraju nie powinno być zbyt trudne. Nie widziałam po-

/Q2

wodu, dla którego nie miałabym jej pomóc. Najwyraźniej bardzo jej zależało na czasie, ponieważ jak najszybciej chciała zaplanować naszą podróż. Pokazała mi e-maile od Tarika, z których wynikało, że chłopiec bardzo chce wrócić do domu.

Zauważyłam, że chłopiec wcale nie pisze źle o ojcu, ani nie skarży się na nieodpowiednie traktowanie. Są to raczej zwykłe narzekania młodego człowieka z powodu ograniczeń, jakie na niego nałożono i dotyczą spraw mało istotnych, o których zapomina się następnego dnia. Sara jednak wiele wyczytywała między wierszami, a ja nie miałam powodu, by jej nie wierzyć. W końcu to ona była jego matką i powinna najlepiej wiedzieć, co chłopiec ma na myśli, pisząc listy.

Tarik w swoich listach często wspominał człowieka imieniem Adel. Sara wyjaśniła mi, że chodzi o marokańskiego ochroniarza, co sugerowało, że miałyśmy do czynienia z bardzo wpływową rodziną. Jak się dowiedziałam, Adel został zatrudniony specjalnie po to, by chronić Tarika i uniemożliwić Sarze zbliżenie się do chłopca. Obecność osobistego ochroniarza komplikowała nieco sytuację, ale nie stanowiła przeszkody nie do pokonania. Oznaczało to po prostu konieczność bardzo dokładnego i uważnego wyboru chwili porwania.

Na nasze kolejne spotkanie przyszedł także mąż Sary, Neil. Był policjantem w sekcji ruchu drogowego. Nie zapalałam do niego szczególną sympatią, nie sprawiał wrażenia specjalnie bystrego i wydawało mi się, że nie bardzo rozumie, co zamierza zrobić jego żona. Był człowiekiem o słabym charakterze, chyba śmiało mogę nazwać go pan-toflarzem. Mimo wszystko im lepiej poznawałam Sarę, tym większą czułam do niej sympatię. Choć od czasu do czasu zachowywała się jak rozkapryszona księżniczka, jej słowa

wydawały mi się uczciwe, a intencje szczerze. Postanowiłam jej pomóc i zaczęliśmy planować sprowadzenie Tanka do domu. Zamierzałyśmy w tym celu posłużyć się paszportem Marlona - obaj chłopcy byli mniej więcej w tym samym wieku, poza tym mieli podobną karnację i figurę. Neil wiedział o naszych planach, ale to Sara podejmowała decyzje.

Założyłam, że rodzina taka jak Al-Habtoorowie jest w stanie od razu rozpocząć poszukiwania dziecka i prawie natychmiast zamknąć lotniska. Musiałam opracować inny plan ucieczki. Najbardziej podobał mi się taki pomysł: po porwaniu Tarika wsiąść z nim na statek, który w ciągu dwóch dni dopłynie do wybrzeży Iraku; stamtąd przedostaniemy się do Jordanii i z powrotem do Wielkiej Brytanii - tę trasę znałam już bardzo dobrze. Zamożni ludzie, przyzwyczajeni do podróżowania w pierwszej klasie samolotami lub prywatnymi odrzutowcami, raczej nie spodziewaliby się, że uciekniemy statkiem. W ten sposób podróżowali jedynie ludzie biedni. Zaletą tego środka transportu było także to, że dopóki przebywaliśmy na morzu, pozostawaliśmy prawie niewidoczni. Sara opuściłaby Dubaj samolotem bez żadnych problemów, ponieważ nie miałyby przy sobie syna. Dla nas lepiej byłoby, gdyby zajęto się obserwowaniem Sary, próbując odgadnąć, co planuje. Wtedy nie szukaliby wcale mnie i chłopca. Zresztą i tak nie mogłaby wjechać z nami do Iraku, ponieważ nie była obywatelką tego państwa. Poza tym jej obecność byłaby dość kłopotliwa - nie należała do kobiet, które łatwo wtapiają się w tłum, zwłaszcza w muzułmańskim kraju.

Sara i Neil dali mi trzy tysiące dolarów, które przekazałam mojemu współpracownikowi w Iraku, aby zorganizował naszą ucieczkę przez granicę z Jordanią. Chciałam, aby

/Q4

czekał na nas w małym hotelu niedaleko irackiego portu, a potem pojechał razem z nami. Dzięki temu wyglądalibyśmy jak normalna rodzina. Ponieważ nie miałam pojęcia, kiedy uda nam się porwać Tarika, mój znajomy musiał przynajmniej przez tydzień mieszkać w wyznaczonym hotelu, więc kwota trzech tysięcy dolarów nie była wygórowana.

Gdy przekazałam już pieniądze, a w Iraku wszystko zostało zorganizowane, Neil zawiózł mnie i Sarę na lotnisko Heathrow.

- Nie martwcie się, jeśli nie uda się wam porwać go tym razem - powiedział. - Wystarczy, że nawiążecie z nim kontakt.

Wiedziałam, co miał na myśli, rozumiałam, że stara się pocieszyć żonę, by się mniej denerwowała. Jego wypowiedź świadczyła jednak o tym, że zupełnie nie ma pojęcia o tym, jak działa umysł matki - teraz jedyne, czego pragnęła Sara, to odzyskanie syna. Niestety, wiedziałam, że to, co powiedział Neil, jest rozsądne. Byłam jednak pewna, że gdyby nie udało nam się wyjechać z Dubaju razem z Tarikiem, nie miałybyśmy już drugiej szansy. Gdyby Al-Habtoorowie zorientowali się, że Sara planuje porwanie chłopca, zatrudniliby dodatkową ochronę i pilnowaliby dziecka jak oka w głowie. Musiałyśmy działać szybko i zdecydowanie, ponieważ mogłyśmy działać tylko raz.

Poleciałyśmy do Abu Żabi, aby nasze nazwiska nie zostały odnotowane na lotnisku w Dubaju. Nie byłam pewna, czy rodzina Rashidiego ma swoich informatorów

pracujących w kontroli paszportowej, którzy natychmiast zawiadomią o przybyciu Sary. Miałam nadzieję, że nie są jeszcze tak podejrzliwi wobec niej, ale nie chciałam ryzykować. Po

/Q5

wylądowaniu wypożyczyłyśmy samochód i Sara zawiozła nas do Dubaju.

Zameldowałyśmy się w Hiltonie i przygotowałyśmy do działania.

- Muszę zobaczyć dom i spędzić trochę czasu na jego obserwacji - powiedziałam, gdy rozpakowałyśmy bagaże. - Dzięki temu będziemy mogły określić, kiedy najlepiej byłoby uderzyć.

Zamierzałam działać tak samo jak podczas moich poprzednich wypraw, które kończyły się powodzeniem. Nie chciałam zbyt wcześnie atakować i zdradzić w ten sposób naszej obecności. Do późna w nocy rozmawiałyśmy o całej sytuacji - nie mogłyśmy zasnąć ze zdenerwowania.

Następnego dnia zaparkowałyśmy samochód w niczym nie wyróżniającej się dzielnicy a Sara wskazała dom, który miałyśmy obserwować. Wyglądał na przyjemne miejsce, ale wcale nie ekstrawaganckie. Nie tego się spodziewałam po tak zamożnej rodzinie. Zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem Sara nie wyolbrzymiła bogactwa i wpływów rodziny Al-Habtoorów.

- Tutaj mieszka dziadek Tarika, który jest głową całego rodu - powiedziała, wskazując na inny, zdecydowanie bardziej imponujący dom, stojący po drugiej stronie ulicy. Fakt, że oba pokolenia mieszkają tak blisko siebie, pasował do tego, co już wiedziałam o kulturze muzułmanów. Tak właśnie mieszkają arabskie rodziny.

Bogactwo Dubaju wynikające z dostępu do złóż ropy naftowej nie zmieniło elementarnych wartości rodzinnych, które były takie same jak w rodzinach Karima, Mahmuda i wielu innych, które miałam okazję poznać w ciągu minionych lat.

Wiejskie domy zastąpiono luksusowymi rezydencjami w mieście, ale zasada pozostawania w pobliżu rodziców i wspólnoty interesów pozostała ta sama. W krajach tego regionu za-

IQÓ

wsze tak było i tak jest do tej pory. Wiedziałam, że działanie przeciw Rashidowi oznacza walkę z każdym członkiem jego rodziny, bardzo żywej i zwartej.

Kolejne dwa dni spędziłyśmy w samochodzie obserwując, jak domownicy poruszają się między domem a międzynarodową szkołą (Emirates International School), do której uczęszczał Tarik. Byłam już przyzwyczajona do tej części działania i podczas obserwacji czułam się prawie komfortowo. Przez jakiś czas siedziałyśmy w samochodzie zaparkowanym przed frontowym wejściem, a kiedy wydawało nam się, że pozostajemy tam zbyt długo i możemy zacząć wzbudzać podejrzenia przechodniów, objeżdżałyśmy dom dookoła i parkowałyśmy z tyłu. Nie byłam pewna, czy wokół domu nie było zainstalowanych kamer i tym bardziej nie chciałam przebywać zbyt długo w jednym miejscu. Udało nam się zauważyć samochód Rashida, którym jeździli różni członkowie rodziny, ale nie zauważyłyśmy w nim Tarika. Służące, szoferzy i ochroniarze wozili do szkoły inne dzieci. Byłyśmy pewne, że gdzieś pośród nich znajduje się także syn Sary, ale nie udało nam się go dostrzec. Biorąc pod uwagę liczbę wchodzących i wychodzących osób, w domu musiało być dość tłoczno, ale założyłam, że część służby mieszka w okolicznych domach.

Sara wiedziała, że raz w tygodniu Tarik chodzi do pewnej kawiarenki internetowej. O wyznaczonej porze czekałyśmy przed wejściem do niej, ale chłopiec się nie zjawił. Zupełnie jakby jego opiekunowie wiedzieli, że przyjechaliśmy, i specjalnie zmienili tryb zajęć, by nas zmylić. Poczułam się nieswojo. Ta rodzina była zdecydowanie lepiej zorganizowana niż wszystkie pozostałe, z którymi do tej pory miałam do czynienia.

- Może chłopiec gdzieś wyjechał - zasugerowałam.

'97

Gdybyśmy teraz musiały wracać do Wielkiej Brytanii, nawet go nie zobaczywszy, byłybyśmy bardzo zawiedzione. Trzeba byłoby zorganizować kolejną wyprawę, co zwiększyłoby ryzyko rozpoznania Sary na lotnisku oraz oznaczałoby dodatkowe koszty dla nas wszystkich.

- Może jakoś potajemnie wysyłają go do szkoły - próbowała zgadywać Sara.

- W takim razie spróbujmy wykorzystać plan B - powiedziałam. - Pójdę do jego szkoły i udam, że chcę, by moje dzieci w niej się uczyły. Już tak robiłam, to zawsze działa.

Sara miała wydany przez rodzinę Al-Habtoorów wyraźny zakaz wchodzenia na teren szkoły. Byli właścicielami szkoły i mogli wydawać wszelkie zarządzenia, na jakie tylko mieli ochotę. Personel został poinformowany, jak wygląda Sara i pod żadnym pozorem nie wolno jej było zbliżyć się do Tarika. W rzeczywistości rodzina ta przestrzegała wszystkich zasad, których uczyłam matki obawiające się o swoje dzieci w Wielkiej Brytanii. Chyba nie wzięli jednak pod uwagę, że Sara mogła przyjechać z osobą towarzyszącą. Mnie raczej nie spodziewali się w szkole. Z tego, co wiedziałam, nie mieli żadnych podstaw, by łączyć mnie z Sarą albo jej rodziną. Nie powinnam była wzbudzać żadnych podejrzeń. Gdybym dostała się do budynku szkolnego, mogłabym poznać rozkład klas i zorientować się, w której części budynku powinien mieć zajęcia Tarik. Potem mogłybyśmy opracować plan uprowadzenia go bez wzbudzania podejrzeń nauczycieli.

Następnego dnia Sara zaparkowała samochód w pewnej odległości od szkoły.

Wysiadłam z auta i skierowałam się do wejścia. Zauważyłam strażników przy bramie, ale nie zwrócili na mnie uwagi. Niby dlaczego mieliby mi się przyglądać? W ciągu dnia musiała tamtędy przechodzić setka

/98

matek i nauczycielek. Od razu weszłam do budynku i zapytałam, czy mogę obejrzeć szkołę. Szczególnie zależało mi na zorientowaniu się w zajęciach piątej klasy, ponieważ mój najstarszy syn był właśnie w tym wieku. Poprosiłam o spotkanie z wychowawczynią klasy, do której miałby chodzić mój syn. Powiedziałam pracownikom szkoły, że przeprowadziłam się do Dubaju z Jordanii. Byli bardzo uprzejmi i oprowadzili mnie po całym budynku, który okazał się bardzo rozległy. Wewnątrz nie zauważyłam żadnych strażników, nie było też kamer, a drzwi do pomieszczeń nie były strzeżone. Zdziwiło mnie to, zważywszy na fakt, że uczyło się tu wiele dzieci z bardzo zamożnych i wpływowych rodzin. Najwyraźniej polegali wyłącznie na strażnikach przy bramie.

Na korytarzu panował zwykły szkolny chaos. Wokół mnie sunął tłum ciemnowłosych, prawie jednakowych dzieci ubranych w szkolne mundurki. Chociaż

widziałam zdjęcie Tarika, nie miałam szans na wyłowienie go z szybko poruszającego się tłumu. Moje wysiłki przypominały szukanie igły w stogu siana. Place zabaw podzielone były na grupy wiekowe, a plac Tarika znajdował się niedaleko bramy, co ułatwiłoby nam ucieczkę, gdybyśmy miały porywać go właśnie stamtąd. Zorientowałam się, że nawet gdyby znajdował się w szkole, nie udałoby nam się wywołać go z klasy. W każdym pomieszczeniu znajdował się nauczyciel. Każda inna matka mogłaby zapukać do drzwi i powiedzieć, że chce zabrać dziecko do dentysty, ale w szkole należącej do Al-Habtoorów nikt by na to nie pozwolił Sarze. Jedynym wyjściem była próba porwania go podczas zabawy na podwórku. Miałybyśmy tylko kilka minut na przeprowadzenie całej akcji, a właśnie na placu zabaw dzieci było najwięcej, poza

/99

tym nieustannie przemieszczały się w biegu z jednego miejsca w drugie. Patrzyłam zrozpaczona na otaczające mnie dzieciaki. Jakim sposobem miałam wśród nich odszukać Tarika? Potrzebna mi była Sara, musiałabym ją zabrać ze sobą i kazać jej zasłonić twarz. Może instynkt macierzyński pomógłby jej rozpoznać synka, choć przecież nie widziała go już od kilku miesięcy.

- Na pewno gdzieś tam jest - powiedziałam, wsiadając z powrotem do samochodu - ale nie potrafię go odnaleźć. Będziemy musiały wrócić w poniedziałek, musisz pójść tam ze mną, żeby go wskazać. Ochrona jest dosyć szczelna, ale jeśli przyjedziemy rano, kiedy wszystkie dzieci zaczynają zajęcia, powinno nam się udać - o ile oddzielimy chłopca od Adela. Gdy będziemy wiedziały na pewno, że znajduje się na terenie szkoły, zaplanujemy jak najszybszą ucieczkę z kraju.

W poniedziałek wstałyśmy bardzo wcześnie, żeby znaleźć się przed szkołą, zanim uczniowie zaczną się schodzić. Kiedy podjechało dużo samochodów z rodzicami przywożącymi dzieci, Sara wjechała na parking znajdujący się na terenie szkoły. Uznałyśmy, że będziemy wyglądać mniej podejrzanie w aucie niż idąc piechotą. Wyglądało na to, że żadne dziecko nie jest odprowadzane do szkoły, wszystkie są podwożone samochodami.

Zaparkowałyśmy i wysiadłyśmy z auta. Miałyśmy przy sobie paczki z kanapkami i niosłyśmy książki, żeby wyglądało, że przyjechałyśmy z dziećmi. Obie założyłyśmy długie czarne suknie oraz zasłoniłyśmy twarze. Widać było tylko nasze oczy przeszukujące otaczający nas tłum. Upał i nerwy spowodowały, że byłam bardzo spocona, a trzeba było się spieszyć. Nie mogłyśmy sobie pozwolić na zbyt częste odwiedziny. Weszłyśmy do budynku, poruszałyśmy

200

się tak szybko, jak tylko było to możliwe, by nie zwrócić na siebie uwagi. Nerwowo wchodziłyśmy i schodziłyśmy schodami, przechodziłyśmy korytarzami wśród tłumu dzieci. Odwiedzałyśmy wszystkie miejsca, które mi pokazywano, desperacko poszukując znajomej twarzy.

Do dzwonka oznajmiającego rozpoczęcie pierwszej lekcji pozostało zaledwie pięć minut, gdy wyszłyśmy na plac zabaw przeznaczony dla grupy wiekowej Tarika. Po drugiej stronie zauważyłyśmy jego ochroniarza, Adela, który ukradkiem palił papierosa. Był bardzo potężnym mężczyzną, miał na sobie skórzaną kurtkę i podkoszulek. Wyglądał na profesjonalistę, zawodowego żołnierza w cywilnym



ubrani. Raczej nie miałybyśmy szans na ucieczkę, gdyby nas zauważył. Najwyraźniej nie spodziewał się żadnych problemów - nie rozglądał się, nie zwracał nawet uwagi na dzieci znajdujące się obok niego. Zapewne myślał o tym, że za kilka minut będzie miał luźniejszą część dnia, aż do zakończenia zajęć szkolnych. Nawet profesjonaliści mogą dać się czasem zaskoczyć.

- Gdzie on jest? - szepnęłam przez zasłaniającą mi twarz chustę i przyglądając się dzieciom znajdującym się najbliżej ochroniarza.

- Nie wiem - syknęła Sara. - Może go tu nie ma.

- Musi być - warknęłam.

- Nie widzę go! - usłyszałam w jej głosie panikę, więc już się nie odezwałam.

Szukałyśmy nadal, wydawało mi się, że trwa to w nieskończoność, jednocześnie wciąż spoglądałyśmy na Adela. Nagle Sara odwróciła głowę i dostrzegła grupkę chłopców grających w piłkę w najbardziej oddalonej części boiska. Wszyscy ubrani byli w granatowe szorty i granatowo-białe koszulki. Dla mnie niczym się od siebie nie różnili.

20/

- Tam jest - powiedziała.

Zerknęłam na Adela - nie patrzył w naszą stronę. Byłyśmy dla niego kolejnymi anonimowymi kobietami, na które nie zwracał najmniejszej uwagi. Wszystko nam sprzyjało i zaczęłam wahać się, co robić. Mogłyśmy nie mieć drugiej takiej szansy. Czy powinnyśmy zabrać chłopca od razu? A może lepiej byłoby trzymać się naszego planu i wrócić tu następnego dnia, po wcześniejszym przygotowaniu drogi ucieczki? Na podjęcie decyzji miałam zaledwie kilka sekund. Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, Sara zdecydowała za mnie. Podeszła do syna, kucnęła przed nim i odsoniła twarz. Z miejsca, w którym stałam widać było, że Tarik jest całkowicie pochłonięty grą z kolegami. Podeszłam bliżej, by zasłonić ich przed wzrokiem Adela, w razie gdyby spojrzął w tę stronę. Przestałam kontrolować sytuację, nie miałam innego wyjścia, po tym jak Sara ujawniła swoją obecność, mogłam tylko kontynuować akcję.

- Witaj, Słoneczko - zaszczebotała, nie próbując go przytulić ani dotknąć. - To ja, twoja mama, musisz pójść ze mną.

- Nie chcę iść z tobą, mamusiu - odparł, nerwowo spoglądając na ochroniarza, który wciąż był nieświadomy całej sytuacji. - Tatuś będzie zły, a poza tym pilnuje mnie Adel. Musi być ze mną, gdziekolwiek idę.

- Nonsens, TT - fuknęła. - Jestem twoją mamusią, możesz iść ze mną.

Zdziwił mnie brak kontaktu fizycznego między nimi. Podczas każdego spotkania matki z dzieckiem po miesiącach rozłąki dzieci wpadały w ramiona matek, które zawsze pragnęły wchłonąć zapach odzyskanego dziecka. Co prawda Sara była nieco starsza niż pozostałe matki, które znałam, ale chłopiec był w wieku Marlona i wiedziałam, że

202

gdybym to ja była w takiej sytuacji, nikt nie mógłby mnie oderwać od syna.

- Szybciej, Sara - wymamrotałam. - Zaprowadź go do samochodu.

Spojrzałam na zegarek. Do dzwonka wzywającego uczniów na lekcję pozostały tylko dwie minuty. Potem zostałybyśmy same na placu zabaw, doskonale widoczne dla

Adela. Musiałyśmy działać natychmiast albo zrezygnować z całej akcji. Złapałam Tarika za ramię.

- Wsiadaj do samochodu, i to już - syknęłam. Prawie go uniosłyśmy, trzymając za ręce i biegnąc na parking. Pozostałe dzieci widziały nas, ale żadne z nich nie wszczęło alarmu. Wokół nas znajdowały się kobiety i dzieci, panował ogólny harmider, a my nie wyróżniałyśmy się zbyt w tłumie. Tarik wyrwał się, ale nie miałyśmy czasu, by się zatrzymać i tłumaczyć mu wszystko. Nie udało mu się uciec i wsadziliśmy go na tylne siedzenie samochodu. Wskoczyliśmy zaraz za nim.

Z perspektywy czasu, a nawet kilka minut po tym wydarzeniu, doszłam do wniosku, że coś wtedy było nie w porządku. Nigdy wcześniej nie musiałam zmuszać dziecka do ucieczki, więc teraz miałam wrażenie, że źle postąpiłam. Bałam się jednak, że Adel nas złapie i dlatego nie posłuchałam swojego instynktu. Pomyślałam, że mogłam źle ocenić Sarę, ale było już za późno. Byłyśmy zmuszone kontynuować akcję. Zdawałam już sobie sprawę, że rzeczywiście zadzieraliśmy z bardzo zamożną i wpływową rodziną. Wyobrażałam sobie, że strażnicy przy bramie są uzbrojeni. Po doświadczeniach z Kate w Jordani sama myśl o broni sprawiała, że byłam podwójnie zdenerwowana. Chciałam jak najszybciej wydostać się z tego kraju, a o wolę Tarika martwić się później, gdy nie będzie groziło

203

nam żadne niebezpieczeństwo. Był przecież ze swoją matką, nie robiłam mu krzywdy.

Położyliśmy go na tylnym siedzeniu i przykryliśmy niebieskim kocem. Wciąż protestował: „Mamusi, ja muszę wracać. Musisz mnie odprowadzić”.

- Nie, TT - mówiła Sara. - Twój tata jest złym człowiekiem. Zabrał cię od mamusi, a ty należysz do mnie. Pojedziemy do domu i spotkasz się z dziadkiem.

Zaczynałam mieć złe przeczucia. Zauważyłam, że nie wspomniała o Neilu, aby go uspokoić, tylko o dziadku. Zastanowiłam się, czy więź między ojczymem a adoptowanym synem rzeczywiście była tak silna, jak mnie o tym zapewniali. Sara usiadła za kierownicą, ale nie mogła wydostać się przez bramę, ponieważ wszystkie samochody wyjeżdżały w tym samym momencie. Strażnicy obserwowali każde przejeżdżające obok nich auto. Próbowaliśmy jakoś wepchnąć się między inne pojazdy, aby szybciej opuścić teren szkoły. Byłam przerażona na myśl, że możemy zderzyć się z którymś z lśniących mercedesów albo bmw, opóźnić w ten sposób naszą ucieczkę i zwrócić na siebie uwagę. Spodziewałam się, że dosłownie za chwilę zaczną szukać chłopca i Adel z innymi ochroniarzami będą nas ścigać z rewolwerami w rękach. Konieczne chciałam oddalić się z terenu szkoły tak szybko, jak tylko to było możliwe.

Próbowałam także wymyślić dalszą drogę ucieczki. Statek do Iraku odpływał w każdy poniedziałek po południu. Początkowo zakładałam, że najpierw rozpoznamy teren, porwiemy chłopca pod koniec tygodnia, a dopiero w następny poniedziałek odpłyniemy statkiem. Teraz jednak musiałam zdobyć bilet na popołudniowy rejs tego samego dnia. Nie mogłyśmy zostać w Dubaju przez kolejny ty-

204

dzień. Nie miałybyśmy też zbyt dużych szans na wydostanie się poza granice kraju -

ani samolotem, ani drogą lądową - po wszczęciu przez rodzinę chłopca alarmu. W końcu dotarliśmy do strażników i wstrzymałam oddech, wpatrując się w drogę przed nami, by uniknąć ich wzroku. Nie zwrócili na nas uwagi, gdy sunęliśmy w kolejce innych aut z rodzicami i kierowcami.

Nagle minęliśmy ich i znalazłyśmy się na drodze. Poczułam, jak kamień spadł mi z serca. Tymczasem Tarik zaczynał krzyczeć coraz głośniej, mówiąc, że chce wrócić do swojego ojca. Musiałyśmy jakoś go uciszyć, a jednocześnie jak najszybciej trzeba było zdobyć bilety na statek. Chciałam uprzedzić ewentualne działania policji, która mogłaby wypytywać o nas w porcie.

- Zadzwońmy do dziadka w Anglii - powiedziała Sara, wystukując numer w telefonie komórkowym. - Chciałby usłyszeć, że do niego przyjeżdżasz.

Tarik porozmawiał z dziadkiem, ale wcale nie polepszyło to jego nastroju. Coraz bardziej przejmował się tym, że tata będzie niezadowolony. Musiałam go uspokoić, by móc spokojnie pomyśleć, poza tym nie chciałam zwrócić niczyjej uwagi podczas wsiadania na statek. Pomyślałam, że głos mężczyzny mógłby na niego podziałać uspokajająco, a szczególnie kogoś, kto mówi po arabsku. Zadzwołam więc do Mahmuda, opowiedziałam mu całą historię i poprosiłam, by porozmawiał chwilę z chłopcem.

Oczywiście Mahmud zaniepokoił się tym, że nie mamy zapewnionej drogi ucieczki, ale zachował spokój. Poprosiłam, by uspokoił Tarika. Sytuacja zaczynała wymykać mi się spod kontroli i bardzo chciałam, żeby Mahmud był teraz ze mną, by mnie wspierał. Zawsze mi pomaga w kryzysowych sytuacjach.

205

Rozmawiali przez kilka minut, a gdy skończyli, Tarik poprosił Sarę o swojego Gameboya. Zająty grą przestał zwracać uwagę na to, co się wokół niego dzieje. Wyglądało na to, że się uspokaja.

- O której odpływa statek? - zapytał Mahmud, gdy wzięłam telefon od Tarika.

- Późnym popołudniem - odpowiedziałam. - Zaczynam się zastanawiać, czy powinniśmy czekać tak długo. Może lepiej byłoby dostać się do Kataru i tam złapać samolot. Chyba najszybciej rozpoczną poszukiwania w porcie i na lotnisku w Dubaju.

- Będziecie musiały przejechać przez terytorium Arabii Saudyjskiej - przypomniał. - Żeby tylko nie zamknęli granic, zanim tam dojedziecie.

Wiedziałam, że znalazłam się w największych do tej pory opałach. Zadarłam z wpływową rodziną i istniało duże prawdopodobieństwo, że zamkną mnie w więzieniu. Skończyłam rozmowę z Mahmudem, myśląc o tym, że bardzo chciałabym, żeby był teraz przy mnie, a nie trzy tysiące kilometrów stąd.

- Najpierw musimy zabrać nasze bagaże z hotelu - powiedziałam - żebyśmy były przygotowane do ucieczki bez względu na trasę, jaką wybierzemy.

Wróciłyśmy do Hiltona, wbiegłam do środka, pozostawiając Sarę z Tarikiem w samochodzie. Mały chłopiec w hotelu w godzinach zajęć szkolnych mógłby wzbudzać niepotrzebne zainteresowanie, szczególnie jeśli zacząłby krzyczeć, że chce wracać do taty. W pokoju otworzyłam walizki i wrzuciłam wszystkie nasze rzeczy tak szybko, jak tylko mogłam. Nawet przez chwilę nie zastanowiłam się, jak pognieciona będzie nasza garderoba. Zeszłam na dół z bagażami i uregulowałam należność.

Wszystkie

206

czynności zdawały się trwać w nieskończoność. Dlaczego ci ludzie tak się guzdrzą? Nie chciałam nic mówić, ani okazywać zniecierpliwienia, ponieważ bałam się, że zostanę przez to zapamiętana przez personel hotelowy. Chciałam wyglądać jak zwykła kobieta z zasłoniętą twarzą. W końcu recepcjonistka skończyła wypełniać dokumenty i mogłam wrócić do samochodu. Sara wciąż siedziała na miejscu kierowcy, a Tarik zajęty był grą. Nie wyglądało na to, że rozmawiali ze sobą. Gdy ruszyła, zadzwonił jej telefon - to był Neil.

- Nie martw się, Słoneczko - zaszczebiotała. - Wszystko jest w porządku. Nic nam nie będzie.

Zastanowiłam się, czy tylko udawała odważną, czy rzeczywiście myślała, że jesteśmy bezpieczne. Osobiście wiedziałam, że jesteśmy w ogromnym niebezpieczeństwie, a fakt przebywania z osobą, która nie była tego świadoma, wcale mi nie pomógł.

Czekała nas długa podróż. W pewnym momencie Sara potrąciła jakiegoś ptaka, który wydał z siebie strasznie głośny dźwięk, gdy jego ciało przemknęło obok okna.

Zderzenie sprawiło, że Tarik podskoczył i podniósł wzrok znad swojej gry.

Zdenerwował się widokiem martwego ptaka toczącego się po autostradzie. Sara była raczej zniecierpliwiona jego sentymentalnym zachowaniem, być może uważała, że w ten sposób chłopiec krytykuje sposób prowadzenia przez nią samochodu.

- Wygląda na to, że jednym kamieniem upolowałaś dwa ptaszki -. wymamrotałam, a ona obdarowała mnie jednym ze swoich uśmiechów.

Gdy dotarliśmy do granicy z Arabią Saudyjską, zatrzymałyśmy się na poboczu drogi, by zorientować się, czy nie przedsięwzięto jakichś szczególnych środków ostrożności,

207

które wskazywałyby na rozpoczęcie poszukiwań. Jechaliśmy wiele godzin bez jedzenia i picia, nie zatrzymaliśmy się nawet, by skorzystać z toalety. Czułam się nie najlepiej, zważywszy że nie zdążyłam zjeść śniadania przed wyjściem z hotelu.

Pomyślałam, jak musiał się czuć biedny Ta-rik, ale on nie narzekał.

Przez całą drogę z Dubaju Sara raczyła syna opowieściami o tym, jakim złym człowiekiem jest jego ojciec. Wciąż powtarzała: „Zabrał cię od mamusi. Nikt nie powinien zabierać małych dzieci od ich mam”.

- Tata nie mówi o tobie źle, mamusiu - powiedział w końcu Tarik roztrzęsionym głosem. Chyba żadne dziecko nie lubi, jak ktoś niepochlebnie wyraża się o jego rodzicach, a szczególnie gdy rodzice wzajemnie się oskarżają. Dziecko dziedziczy geny w połowie po matce i w połowie po ojcu, więc krytykowanie jednego z nich oznacza po części krytykę samego dziecka. Uważam, że jak na tak małego chłopca, zachowywał się bardzo dojrzałe.

Chętnie skorzystałam z możliwości uwolnienia się od Sary i wysiadałam z samochodu, próbując zorientować się, czy władze już nas szukają. Starłam zachowywać się normalnie, rozpoczęłam rozmowę z arabskim kierowcą ciężarówki, który odpoczywał w cieniu, paląc papierosa i popijając chłodny napój. Powiedziałam mu, że chcemy się dostać na lotnisko w Katarze.

- Kto jest waszym kierowcą? - zapytał, szukając towarzyszącego nam mężczyzny.

- Jedziemy same - odpowiedziałam.

- Nie - pokręcił głową. - Nie wpuszczą was. W Arabii Saudyjskiej kobiety nie mają prawa prowadzić samochodu. Jeśli chcecie lecieć do Londynu, musicie wrócić na lotnisko do Abu Żabi. Macie wizy do Kataru?

208

- Nie, nie mamy - odpowiedziałam. Zdałam sobie sprawę, że wybierając tę drogę, popełniłyśmy błąd. Nie powinnam była pozwolić Sarze na porwanie chłopca przy pierwszej nadarzającej się okazji. Zupełnie zapomniałam, że w Arabii Saudyjskiej nie wolno kobietom kierować pojazdami, przez co straciłyśmy kilka godzin. Nie pamiętałam też o konieczności posiadania wizy umożliwiającej wjazd do Kataru. Kilka dni wcześniej dowiadywałyśmy się o odpowiednie wnioski, ponieważ przewidywałyśmy, że możemy uciekać przez ten kraj. Miałyśmy nawet przy sobie dokumenty niezbędne do złożenia wniosków. Jednak powiedziano nam wtedy, że na ich wyrobienie musimy poczekać cztery dni.

- W takim razie - kierowca obruszył się, jakby wzburzony kobiecą głupotą - nawet jeśli ktoś was przewiezie przez Arabię Saudyjską, nie będziecie mogli wjechać do Kataru.

- Nie możemy tedy jechać - powiedziałam Sarze, gdy wróciłam do samochodu. - Musimy wrócić do naszego poprzedniego planu i uciekać statkiem do Iraku. Nie mamy innego wyjścia, jak wrócić do portu i mieć nadzieję, że nie jest obserwowany. Być może jeszcze nie zorientowali się, że chłopiec zniknął. Wciąż możemy mieć kilka godzin przewagi. Jeśli wyruszymy od razu, jest szansa, że zdążymy na popołudniowy rejs.

Rozpoczęłyśmy podróż powrotną, wciąż głodni, spragnieni i w coraz większym poczuciu uwięzienia w tym kraju. Nie mogłam uwierzyć, że pozwoliłam wpłatać się w tak niebezpieczną sytuację. Nie byłam już wcale pewna tego, że chcę uciekać z Tarikiem, który nie miał ochoty opuszczać swojego ojca. Dopóki była przy nim Sara, to nie ja za niego odpowiadałam, ale zostając z nim sam na sam, musiałabym uznać fakt, że niechętnie jedzie do Wielkiej

209

Brytanii. Jeśli podróż statkiem miała być podobna do tych, które już odbyłam, to zapewne po kilku godzinach zmagania się z wysokimi falami, chłopcu zupełnie przestanie się podobać nasz pomysł ucieczki.

- Dokąd jadę? - zapytał w pewnej chwili Tarik.

- Słoneczko, najpierw pojedziesz z Donyą do Iraku, a potem polecisz do Wielkiej Brytanii - poinformowała go Sara. - A ja przyjadę do ciebie trochę później.

- Ale nie będziemy lecieć ekonomiczną klasą, prawda mamusi? Muszę siedzieć w klasie biznesowej.

Pomyślałam, że lepiej będzie, jak zarezerwuję miejsca na statku w pierwszej klasie. Nie chciałam, żeby zaczął wybrzydzać na standard kajuty - zależało mi na wtopieniu się w otoczenie. Zastanowiłam się, jak ten chłopiec poradzi sobie, mieszkając w zwykłym domu w Camberley i chodząc do publicznej szkoły. Wyglądało na to, że już zbyt przyzwyczał się do luksusu, by teraz bez problemu powrócić do dawnego trybu życia.

Czas nas gonił. Mimo że coraz silniej odczuwaliśmy głód oraz pragnienie, nie

mogłyśmy sobie pozwolić na postój i robienie zakupów. Jadąc samochodem, czułam się w miarę bezpiecznie i wręcz zaczynałam obawiać się opuszczenia go i ujawnienia swojej tożsamości. Pokonywałyśmy piaszczyste i skaliste tereny emiratu Abu Żabi, kierując się w stronę Dubaju i portu Rashid. Wszyscy odczuwaliśmy już zmęczenie i wzajemne towarzystwo zaczynało nas irytować. Niepokoiło mnie to, że Sara w najmniejszym stopniu nie przejmowała się napotykanymi przez nas przeszkodami. Im dłużej przebywałyśmy na terytorium Zjednoczonych Emiratów Arabskich, tym większe istniało niebezpieczeństwo zablokowania wszystkich dróg ucieczki. Tymczasem ona była święcie przekonana, że uciekniemy bez żadnego problemu.

2/0

Podczas naszej podróży Neil nieustannie wydzwaniał do niej i radził, co powinniśmy robić. Zaczynał mnie irytować. Co, do cholery, mógł wiedzieć, siedząc w swoim domu, podczas gdy my desperacko szukałyśmy jakiejś drogi ucieczki, krążąc po pustyni?

Do portu Rashid dotarłyśmy na godzinę przed odpłynięciem statku, co bardzo mi odpowiadało. Chciałam jak najszybciej znaleźć się na jego pokładzie i ukryć się w kajucie. Ruch w porcie wyglądał normalnie, nic nie wzbudziło moich podejrzeń. Nie zauważyłam żadnych blokad dróg ani wzmożonych patroli.

Pomyślałam, że nasze szanse rosną. Być może jeszcze nie rozpoczęto poszukiwań. Mogłam być pewna, że odkryją zniknięcie Tarika, gdy Adel przyjedzie odebrać go po zakończeniu zajęć szkolnych.

- Zatrzymaj samochód przy kasie i okrążaj zabudowania aż wyjdę z biletami i od razu zabiorę chłopca - powiedziałam. - Wtedy będziesz mogła jechać prosto na lotnisko i złapać pierwszy lepszy samolot.

Sara posłuchała mojego polecenia, a ja weszłam do portowego budynku. Nie zauważyłam, żeby ktokolwiek mi się przyglądał. Byłam po prostu kolejną anonimową kobietą z zakrytą twarzą. Gdy wyszłam z biletami, Sara właśnie jechała w moim kierunku, okrążywszy budynek. Podjechała bliżej chodnika, a ja otworzyłam tylne drzwi, by Tarik mógł wysiąść. Gdy przesuwiał się na siedzeniu w moją stronę, nagle otoczyli mnie policjanci w cywilnych ubraniach. Mieli na sobie tradycyjne arabskie stroje. Ich dowódca pokazał mi swoją legitymację i aresztował nas w imieniu władz Abu Żabi i Dubaju. Poczułam, jak nogi się pode mną uginają. Po raz pierwszy złapano mnie na gorącym uczynku. Przez wszystkie te lata wyobrażałam sobie taką chwilę

2/ /

i z przerażeniem myślałam o tym, co nastąpi później, byłam dosłownie chora ze strachu.

Do tego wszystkiego miałam jeszcze poważne wątpliwości, czy słusznie postąpiłam, pomagając Sarze w porwaniu syna. Podczas naszej długiej podróży przez pustynię ani przez chwilę chłopiec nie przytulił się do matki, ani w żaden inny sposób nie okazał przywiązania do niej. Często za to powtarzał, że chce wrócić do taty. Czułam, że popełniłam straszny błąd i właśnie miałam za niego zapłacić. Po raz pierwszy w życiu bałam się tak bardzo. Nawet wtedy, gdy ścigali mnie uzbrojeni mężczyźni w Ammanie, nie byłam tak przerażona - tym razem nie miałam już żadnych szans na ucieczkę.

- O mój Boże - rozpaczliwie próbowałam wybrnąć jakoś z sytuacji. - Jestem w ukrytej kamerze? - Dobrze wiedziałam, że nie jest to żaden telewizyjny żart. Zauważyłam, że Sara sięga po telefon.

- Do kogo dzwonisz? - zapytałam.

- Do Neila. Jest policjantem, pomoże nam.

- Zapomnij o Neilu - warknęłam. - Dzwon do ambasady brytyjskiej.

Prowadząc nas z samochodu na posterunek policji, znajdujący się w porcie oficerowie nie okazywali żadnych oznak poczucia humoru. Z ulgą dostrzegłam, że nie przeszukali samochodu. Dokumenty, które miałyśmy w naszym bagażu, zdradziłyby, że od samego początku planowałyśmy porwanie. Byłoby znacznie lepiej, gdybyśmy mogły zeznać, że przyjechałyśmy tylko odwiedzić chłopca i nie miałyśmy zamiaru go uprowadzić. Przy odrobinie szczęścia mogłyśmy przekonać policjantów, że przepelniona macierzyńskimi uczuciami Sara zobaczywszy syna po długim okresie rozłąki, chciała po prostu spędzić z nim

2/2

więcej czasu. Powiedziałybyśmy, że rozumiemy, iż popełniłyśmy błąd, czego bardzo żałujemy. Taka historyjka nie brzmiała zbyt wiarygodnie nawet dla mnie, ale była naszą jedyną szansą na uwolnienie.

Na posterunku wszyscy wokół mówili jednocześnie, ale nikt nie wyjaśnił nam, co się dzieje. Wykonano kilka telefonów, a gdy próbowałyśmy się czegoś dowiedzieć, kazano nam czekać. Poczułam obezwładniający strach - na myśl o tym, co mogą z nami zrobić, wydałam głuchy jęk. Było bardzo prawdopodobne, że zostaniemy osadzone w więzieniu. Dotarło do mnie, że przez następnych kilka lat mogę nie zobaczyć własnych dzieci.

To sprawiło, że wpadłam w panikę. Czy przez tak długi czas nie zapomną o mnie? Z całego serca chciałam, aby Mahmud był teraz przy mnie, objął mnie ramieniem i uspokoił. Nie wiem, co jeszcze mógłby zrobić, ale przynajmniej wiedziałby, że o nim myślę. Wyobraziłam sobie, że zupełnie nieświadomy sytuacji, w jakiej się znalazłam, opiekuje się dziećmi i domem, odprowadza i przyprowadza maluchy ze szkoły, pierze ich ubranka, karmi i pilnuje, by odrabiały pracę domową. Najbardziej na świecie chciałam znaleźć się wtedy z nimi w domu.

Gdy minął pierwszy atak paniki i zorientowano się, że nie będziemy sprawiać żadnych kłopotów, umundurowani policjanci byli na tyle uprzejmi, że nawet zaoferowali nam kawę i rozmawiali z nami, jakbyśmy były zwykłymi gośćmi na posterunku. Jednak ci, którzy nas zatrzymali i mieli na sobie cywilne ubrania, wciąż zachowywali się agresywnie, podejrzewając, że coś planujemy.

Najwyraźniej oczekiwali na przybycie kogoś bardzo ważnego, kto by się nami zajął, ale nikt nie poinformował nas, kto to miał być. Wciąż powtarzali nam, że musimy

213

czekać. Gdy pojawili się dziadek i ojciec Tarika, okazało się, że do samego końca nie doceniłam władzy, jaką posiadali. Dziadek był niezwykle szanowanym człowiekiem, co można było wywnioskować po zachowaniu policjantów. Obaj nosili tradycyjne szaty i wyglądali na wyjątkowo miłych mężczyzn. Byłam już wtedy pewna, że podjęłam się tego zadania zbyt pochopnie, nie próbując uzyskać więcej informacji na własną rękę.

Wiedziałam już, z tego co mówiła Sara, że Al-Habtooro-wie są zamożni i wpływowi, ale wkrótce dowiedziałam się o tej rodzinie dużo więcej. Od wielu pokoleń zajmowali się handlem i inwestowali na całym świecie. O Rashidzie mówiło się, że miał okazję grać w polo z księciem Karolem i uważano, że przyjaźni się z takimi osobistościami jak książę Mi-chael, Omar Sharif czy Jean-Claude Van Damme. Mieli ogromne posiadłości na całym świecie, także w Wielkiej Brytanii, a brat Rashida spotykał się kiedyś z Naomi Campbell. Nie tak dawno kupili Monkey Island na Tamizie\*, na której znajduje się stu pięćdziesięcioletni hotel, a poza tym byli właścicielami wielu innych ogromnych hoteli w Egipcie, Dubaju, Libanie i Jordanii. Dysponowali flotą odrzutowców, które wynajmowali biznesmeni na całym świecie. Posiadali także wypożyczalnię samochodów, która oferowała swoim klientom samochody marek Rolls-royce, Bentley czy Aston Martin, mieli także apartamentowiec w Dubaju, kilka kompleksów kinowych i rozrywkowych na terenie Zjednoczonych Emiratów Arabskich oraz inne luksusowe inwestycje. Do nich należały firmy budowlane, które w ostatnich latach wykonały większość zrealizowanych w Dubaju projektów.

\* Wyspa Monkey Island położona jest niedaleko Londynu oraz królewskiego Windsoru.

2/4

Dzięki nim miasto to stało się jednym z najbardziej imponujących metropolii współczesnego świata. W skład ich majątku wchodziły także stajnie i międzynarodowy klub gry w polo (Standard Polo Club), organizowali turniej tenisowy, rozgrywany raz do roku. Prócz tego byli właścicielami wydawnictwa publikującego książki i czasopisma. W sumie zatrudniali sześć tysięcy osób i dysponowali naprawdę nieograniczonymi środkami finansowymi.

- Chodź - powiedział Rashid, wyciągając rękę do Tarika.  
- Nie dostaniesz go - warknęła Sara, wyzywająco wysuwając brodę.  
- Chwilowo, zanim nie zostanie ustalone, kto ma sprawować opiekę nad dzieckiem, musimy zostawić chłopca z matką - powiedział z najgłębszym respektem starszy rangą oficer.

Ojciec Tarika skinął głową ze zrozumieniem. Nie próbował się kłócić ani podnosić głosu. Był przekonany, że wszystko ułoży się po jego myśli, może więc pozostawić sprawy swojemu biegowi. Byłam pewna, że Sara posiadała prawo do opieki nad synem, jednak w ciągu następnej godziny okazało się, że władze Dubaju wcale tak nie uważały. Według nich nie miała żadnych praw do dziecka.

Sara, Tarik i ja zostaliśmy przewiezieni do głównej komendy policji w mieście. Ojciec i dziadek chłopca pojechali za nami innym samochodem, a nasze auto eskortowane było przez radiowozy na sygnale. Od ryku syren i błyskających lamp kręciło mi się w głowie.

Przesłuchiwano nas przez dziewięć godzin, aż w końcu o mało nie zemdlałam ze zmęczenia. Oczy same mi się zamykały, a głowa opadała, gdy próbowałam znaleźć właściwe odpowiedzi na niekończące się pytania. Ponieważ Sara nie znała arabskiego, przesłuchanie prowadzono w języku

2/5

angielskim, a zeznania spisywano po arabsku. Chociaż znam arabski, nie potrafię



czytać w tym języku, więc nie miałam pojęcia, co podpisałam pod koniec składania zeznań. Nie miało to dla mnie znaczenia, zostałam doprowadzona to takiego stanu, że podpisałabym wszystko. Policjanci nie byli wobec nas nieuprzejmi, podali nam nawet napoje. Byli jednak zdecydowani dowiedzieć się, z jakimi zamiarami przyjechaliśmy do ich kraju. Myślę, że traktowali mnie bardziej uprzejmie, ponieważ jestem muzułmanką i zwracałam się do nich z szacunkiem. Sara natomiast zachowywała się nonszalancko, jakby wszystkich traktowała z góry.

Zeznałyśmy, że nie miałyśmy żadnych planów, a dzisiejsza sytuacja była efektem spontanicznej reakcji kochającej matki na widok syna. W mojej torbie znajdowały się jednak wypełnione wnioski o wizy do Kataru, mapy oraz inne dokumenty, które zbierałyśmy w ciągu minionych tygodni podczas planowania ucieczki z Dubaju. Obawiając się przeszukania naszych rzeczy, wykorzystałam moment, gdy przesłuchujący nas mężczyzna opuścił pokój i włożyłam te dokumenty pomiędzy papiery znajdujące się na jego biurku. Najprawdopodobniej niezauważone wciąż tam leżą.

Rozdzielono nas, abyśmy nie mogły się porozumiewać, ale już wcześniej ustaliłyśmy wersję, której miałyśmy się trzymać w razie aresztowania. Zeznałyśmy, że nie było to zaplanowane porwanie, ale było oczywiste, że nikt nam nie uwierzył.

Po dziewięciu godzinach podjęto decyzję odnośnie Tanka, pozwalając mu wrócić do ojca. Sytuacja nie układała się dla nas pomyślnie. Zostałyśmy przewiezione na kolejny posterunek, a po przybyciu na miejsce posadzono nas w jednym pomieszczeniu i poinformowano, że nastąpi kolejne przesłuchanie.

2/6

- Pani - policjant wskazał na Sarę - jest oskarżona o uprowadzenie dziecka. Pani - pokazał w moją stronę - jest oskarżona o pomoc w porwaniu dziecka.

Nie mogłam zrozumieć, jakim sposobem Sara zachowała spokój w takiej chwili.

Najwyraźniej zamierzali nas zamknąć w więzieniu, a ona zachowywała się, jakby cała sytuacja stanowiła jakąś przejściową niedogodność - zupełnie, jakby znalazła się w sklepie i sprzedawca nie chciał zaakceptować karty kredytowej. Jakby wszystko można było wyjaśnić, gdy zjawi się jej mąż albo po wykonaniu kilku telefonów do odpowiednich ludzi.

- Jesteśmy w ogromnych tarapatach - powiedziałam, gdy zostałyśmy same.

- Nie martw się - powiedziała wyjątkowo pyszałkowa-tym tonem. - Neil nas z tego wyciągnie.

Poznałam Neila i według mnie nie był w stanie poradzić sobie z korkiem na ulicy w swoim mieście, a co dopiero z oskarżeniem o uprowadzenie dziecka w Dubaju.

- Prasa w Wielkiej Brytanii będzie o nas pisać - kontynuowała radośnie. - Wydostaną nas stąd.

Nie mogłam sobie wyobrazić tego, że prasa miałaby się interesować naszą sprawą. A jeśli nawet, to nie wydawało mi się, żeby władze Dubaju miały przejmować się tym, co się dzieje w Wielkiej Brytanii. Cały świat wydawał się bardzo odległy, gdy patrzyło się na niego z perspektywy nieprzyjemnego pokoiku, w którym się znajdowałyśmy.

Zaprowadzono nas na dół do celi, gdzie zabrano nam pieniądze, biżuterię i pozostałe rzeczy, i polecono wejść do małego, betonowego pomieszczenia z okratowanymi

drzwiami. Warunki panowały tam spartańskie, ale przynajmniej było czysto, stała też malutka kuchenka. Gdy we-szliśmy, znajdujące się tam dwie potężne kobiety właśnie

2/7

o nas rozmawiały. Jedna z nich miała na twarzy ostry makijaż. Gdy odpowiedziałam im po arabsku, były zaskoczone i natychmiast się wycofały. Wiedziały już, o co jesteśmy oskarżone i z zainteresowaniem przyglądały się nam, gdy rozmawialiśmy po angielsku.

- Zostaniecie tu dziesięć minut - powiedział do nas policjant i zaryglował za nami drzwi. Zaczęłam odliczać czas.

Po godzinie przyszli do nas i powiedzieli, że możemy kupić karty telefoniczne, by powiadomić rodziny. Zadzwoiłam do Mahmuda, wyjaśniłam mu w ogromnym skrócie, co się stało, ponieważ nie wiedziałam, na ile wystarczy mi impulsów na karcie.

- Opiekuj się dziećmi - powiedziałam. - Myślę, że zostanę tu dość długo. Z nikim się nie kontaktuj. I tak nic nie mogą zrobić w Wielkiej Brytanii, trzeba to załatwić tutaj.

- Dobrze - powiedział spokojnie jak zwykle, ale tym razem głos miał smutny. - Kocham cię.

- Ja też cię kocham - powiedziałam. - Ucałuj ode mnie dzieci.

Koszmar mojej sytuacji dotarł do mnie naprawdę wtedy, gdy usłyszałam głos męża.

Nigdy nie opuszczałam dzieci na dłużej niż kilka tygodni, a teraz nie wiedziałam, kiedy znów będę mogła je zobaczyć. Równie dobrze mogło to nastąpić za kilka lat.

Wiedziałam, że źle zrobiłam, decydując się na akcję bez głębszego rozpoznania sytuacji i teraz przyszło mi zapłacić za nieprzemyślane i pospieszne działanie. Do tej pory miałam szczęście, ale właśnie przestało mi ono sprzyjać. Zaczęłam płakać, wyobrażając sobie buzie moich dzieci podczas naszego swoistego wieczornego rytuału. Przypominałam sobie, jak krzyczałam na Marlona za to, że nie odrobił pracy domowej i od razu tego pożałowałam. Ganiłam go za to, że o dziesiątej wieczorem wciąż

2/8

siedział przy komputerze zamiast spać. Był takim dobrym chłopcem. A Khalid, mój kochany przyszły doktor o słabym zdrowiu, wymagający ciągłej opieki. No i jeszcze mój aniołek o kręconych włoskach - Amira. Przypominałam sobie, jak wymyślałyśmy różne gry: trzymała moją dłoń swoimi drobniutkimi paluszkami i ścisnęła ją, w odpowiedzi ja ścisnęłam jej dłoń dwa razy, potem ona moją trzy, ja cztery, i tak aż skręcała się ze śmiechu. Oczywiście był jeszcze Alla, najmłodszy z całej gromadki, ale za to najgłośniejszy i najsprytniejszy.

Dziesięć minut przerodziło się w całą noc, podczas której leżąc na brudnym materacu płakałam, zastanawiając się, czy jeszcze kiedykolwiek zobaczę swoje dzieci.

Następnego dnia przeniesiono nas do nowej celi, a policjanci wypełniali w tym czasie kolejne dokumenty. Wszystkie cele znajdowały się po bokach długiego korytarza, każda wyposażona była w muszlę klozetową. W każdej były uwięzione kobiety, razem około trzydziestu. Nie było okien, przez które mogłyby wpaść słoneczne promienie i które umożliwiłyby wywietrzenie papierosowego dymu. W rogu jednego z pomieszczeń stał telewizor z migającym ekranem.

Gdy poznałyśmy kobiety zamknięte z nami w jednej celi, okazało się, że pochodzą z wielu krajów: Rosji, Rumunii, Wielkiej Brytanii, Bośni. Wiele z nich trudniło się prostytu-III. Wszystkie były dla nas miłe, sprawiały wrażenie pogodzonych ze swoim losem.

Jedna z nich, Vicky, Brytyjka z ufarbowanymi na czerwony kolor włosami, poinformowała nas, że została aresztowana za handel narkotykami. Mnóstwo czasu spędziłam na rozmowie z nią, próbując w ten sposób choć na trochę uwolnić się od Sary. Szybko się zaprzyjaźniłyśmy z Vicky.

2/9

- Staniecie przed oskarżycielem publicznym - wyjaśniła nam. - On zdecyduje, co się z wami stanie i o co zostaniecie oskarżone.

W tym momencie wszystkie kobiety w pomieszczeniu zaczęły przekrzykiwać się, radząc, na którego oskarżyciela najlepiej trafić, a który jest naprawdę okrutny. To był ich świat, o ich losie decydowali urzędnicy. Spotkanie z kimś łagodnym oznaczało dla nich odzyskanie wolności, ale napotkanie surowego, który chciał dać im nauczkę, mogło sprawić, że spędziłyby w więzieniu bliżej nieokreślony czas. Pomyślałam, że przypominają dzieci w szkole, które oceniają swoich nauczycieli, zastanawiając się, który jest najłagodniejszy w wymierzaniu kar za złe zachowanie.

- Najgorszy jest główny oskarżyciel - powiedziała jedna z nich. - Jest naprawdę ostry.

Wszystkie się z nią zgodziły. Najwyraźniej każda z nich już się z nim kiedyś spotkała i nie wspominała tego miło. Znając nasze szczęście podejrzewałam, że to właśnie jego nam przydzielą. Na myśl o tym bezwiednie się wzdrygnęłam.

- Nigdy im się nie spieszy - kontynuowała Vicky. - Jestem tu już cztery miesiące, a jeszcze nikt się ze mną nie spotkał. Pewnie dostanę dziesięcioletni wyrok, a zanim go wydadzą, zdążę już tyle odsiedzieć.

Każda z nich miała ciężkie życie. Jedna z prostytutek otrzymała już karę dwóch lat więzienia, a inna kobieta została aresztowana za posiadanie nieślubnego dziecka. Ich przestępstw nie dało się w żaden sposób porównać z tym, za które zostałyśmy zatrzymane. Skoro wydawali takie wyroki za rzeczy, które w Wielkiej Brytanii nie są nawet przestępstwem, to za próbę porwania z pewnością szykowali dla nas o wiele dłuższy wyrok. Słuchałyśmy opowie-

220

ści tych kobiet całymi dniami i następnego dnia wieczorem zauważyłam, że Sara w końcu zaczyna rozumieć, w jakiej sytuacji się znalazłyśmy. Gdy zgaszono światła, położyłyśmy się obie na materacu na podłodze, wtulając się w siebie jak przestraszone dzieci. Udało nam się przespać całą noc, a następnego dnia obudzono nas o szóstej rano. Po przebudzeniu poczułam, że dusi mnie zatechłe powietrze, przesiąknięte zapachem potu.

Później tego samego dnia Sarę zabrano na górę na rozmowę z pracownicą ambasady brytyjskiej, kobietą o imieniu Suzanne. Spotkanie trwało półtorej godziny, a ja przez cały ten czas siedziałam w celi, zastanawiając się, co się dzieje. Modliłam się, by Sara nie wydała nas, przyznając się, że planowałyśmy podróż w celu uprowadzenia Tarika.

- Wszystko będzie dobrze - zapewniła mnie, gdy spotkałyśmy się znów w celi.

Powróciła jej pewność siebie. Podziwiałam, jak szybko potrafi wrócić do równowagi. Obudziła we mnie nadzieję.

Nadeszła moja kolej. Suzanne z ambasady była piękną kobietą z długimi włosami, sięgającymi pasa. Co jednak najbardziej zapamiętałam to zapach świeżości i perfum. Nie była jedyną nieznaną mi osobą, którą miałam wkrótce spotkać. Doprowadzono także do konfrontacji z policjantem odpowiedzialnym za przestrzeganie praw człowieka - ogromnym, grubym mężczyzną o ciemnej, gęstej brodzie. Nie sprawiał wrażenia zawziętego i moje nadzieje zaczęły rosnąć. Pomyślałam, że może cały ten koszmar zakończy się szybciej, niż się tego spodziewałam.

- Muszę skontaktować się z moją rodziną - powiedziałam, gdy Suzanne się przedstawiła. - Muszę wysłać im pieniądze, żeby być pewną, że w domu wszystko jest w porządku.

22/

- Dopilnuję tego - zapewniła mnie. - Czy potrzebuje pani jeszcze czegoś? Było kilka rzeczy, które mogły mi się przydać, ale znajdowały się w samochodzie. Nie chciałam, aby ktoś przeglądał nasze bagaże. Znaleźliby wtedy pozostałe dokumenty świadczące o tym, że razem z Sarą od samego początku planowałyśmy porwanie dziecka.

- Nie - powiedziałam szybko. - Nic mi nie potrzeba.

- Wasze uwięzienie wywołało duży rozgłos w prasie brytyjskiej - poinformowała mnie Suzanne. - Artykuły o was ukazały się w każdym dzienniku.

Nadzieja mnie opuściła. Czyżby miało to oznaczać, że Neil opowiedział o naszych planach porwania dziecka? Dużo szumu w prasie mogło sprawić, że opinia publiczna stanie po naszej stronie, ale jednocześnie przyczyni się do tego, że wsadzą nas do więzienia.

- Czy on? - zaczęłam ostrożnie, nie chcąc się wydawać.

- Zostaniecie oskarżone o uprowadzenie dziecka - przerwał mi potężny mężczyzna, zapewne mało zainteresowany tym, co się działo poza Dubajem. - Możecie otrzymać wyrok trzech lat pozbawienia wolności.

- Ale Sara przed chwilą powiedziała mi, że wszystko będzie w porządku - zaprotestowałam, od razu zdając sobie sprawę, jak głupio zabrzmiały moje słowa.

- Nie wiem, na jakiej ona żyje planecie - powiedziała Suzanne, kręcąc głową z dezaprobatą. - Najprawdopodobniej obie zostaniecie postawione w stan oskarżenia.

- Dobrze - próbowałam przyjąć tę informację do wiadomości. Czułam, jak łzy napływają mi do oczu, więc ponownie zwróciłam się do Suzanne. - Jeśli pójdę do więzienia, czy może pani pozostać w kontakcie z moją rodziną, żebym wiedziała, iż wszystko u nich w porządku?

222

- Oczywiście - odpowiedziała. - W tych dokumentach jest wszystko. Określają panią mianem kobiety, która trudni się porwaniem dzieci. Zastanawiają się, jak udało się pani uprowadzić dziecko spod opieki wyszkolonego ochroniarza. Powstało mnóstwo teorii, niektórzy mówią, że działał z panią w zмовie. W Internecie pojawiły się informacje o tym, jak wsadziła pani Tarika do dużego pudła i schowała w bagażniku samochodu.

Pomimo wagi sytuacji nie mogłam się powstrzymać i roześmiałam się. Suzanne i

policjant zajmujący się prawami człowieka przez chwilę śmiali się razem ze mną, wyobrażając sobie, jak na oczach ochroniarza razem z Sarą próbujemy wepchnąć opierającego się chłopca do pudła.

Moje przesłuchanie nie trwało długo i wkrótce znów wróciłam do zatechłej celi. Sara nie zadała mi żadnego pytania. Wydaje mi się, że próbowała nie dopuszczać do siebie tego, jak naprawdę wygląda nasza sytuacja. Chciała choć jeszcze przez chwilę przebywać w swoim nierealnym świecie. Nie miałam ochoty pozbawiać ją złudzeń, byłam zresztą zbyt zajęta analizowaniem tego, co przed chwilą mi powiedziano. Pozostałe kobiety nie zadawały zbyt wielu pytań, widząc po mojej minie, że nie mam żadnych dobrych wiadomości.

Po godzinie czy dwóch ponownie nas przeniesiono, tym razem nie na kolejny posterunek, ale do prawdziwego więzienia. Jechałyśmy zamkniętą furgonetką wraz z innymi kobietami. Policjanci starali się nas pocieszyć, mówiąc, że tam, gdzie jedziemy, jest ogród, a Vicky słyszała, że to podobno całkiem przyjemne więzienie. Ja miałam wrażenie, jakbyśmy coraz bardziej oddalały się od znanego nam świata i zagłębiały w ciemnym labiryncie coraz to kosz-marniejszych więzień. Mój dom i rodzina stanowiły dla mnie odległe wspomnienie.

223

Gdy samochód podjechał do bramy i dokładniej przyjrzałyśmy się obiektowi, w którym miałyśmy być przetrzymywane, poczułyśmy się jeszcze bardziej przybite - przypominał Fort Knox. Kiedy weszłyśmy do środka, zatrzasnęły się za nami drzwi i usłyszałyśmy zgrzyt kluczy w zamkach.

- Czas zameldować się w dubajskim Hiltonie - próbowałam żartować, gdy urzędnicy rejestrowali nasze przybycie. Miałam nadzieję, że odtąd będą nas już trzymać w jednym miejscu. Jazda w furgonetce po wyboistych drogach sprawiła, że czułam się zmęczona i obolała. Pomyślałam, że im częściej będą nas przenosić, tym trudniej będzie nas odnaleźć, a łatwiej w ogóle zapomnieć o naszym istnieniu. Wtedy nie wyobrażałam sobie, że jest możliwe, aby ktokolwiek mógł nas uchronić przed czekającym wyrokiem.

Zdażyłam już zaprzyjaźnić się z Vicky, która została przydzielona do tej samej celi wraz ze mną i Sarą, razem z nami przebywała" jeszcze kobieta pochodząca z Filipin, która mieszkała w Zjednoczonych Emiratach Arabskich i pracowała jako pomoc domowa. Polubiłyśmy ją. W więzieniu znalazła się z powodu kłopotów ze swoimi pracodawcami. Nie powiedziała dokładnie, co się stało, a ja nie chciałam się dopytywać o szczegóły. Kiedy ktoś nie ma ochoty się zwierzać, najlepiej jest pilnować własnego nosa. Bardzo chciałam zachować pogodę ducha i wciąż żartowałam, że wysłano nas na wakacje. Nasza grupka próbowała zachować optymizm, ale tylko częściowo udawało się nam ukryć strach i smutek. Naczelnikiem więzienia była kobieta, która okazała nam wiele ciepła - twierdziła, że za to co zrobiliśmy, wcale nie zasłużyłyśmy na więzienie. Widać było, że przykrość sprawiał jej fakt, że musi nas pilnować, ale przecież nie ona tutaj podejmowała decyzje.

224

Po obu stronach celi stały piętrowe prycze, ale nie miałyśmy ani poduszek, ani koców. Poza łózkami nie było ani jednego mebla, na którym mogłybyśmy położyć swoje rzeczy czy ubrania. Pomieszczenie przesiąknięte było okropnym zapachem

męskiego potu - przez lata przetrzymywani byli tu mężczyźni, zanim zakład przekształcono w więzienie dla kobiet. Zająłm dolną pryczę - nie chciałam wspinać się na górę z bolącymi plecami i Sarze przypadła górna. Położyłam się na brudnym materacu i zaczęłam wpatrywać się w łóżko nade mną. Zauważyłam mnóstwo małych papierowych kuleczek wciśniętych między listwy. Było ich około czterystu, domyśliłam się, że w ten sposób poprzedni więzień odliczał dni do zakończenia kary. Uznałam, że to dobry pomysł, ale nie miałam papieru, więc przesunęłam jedną kulę na bok - jak na liczydło. Następnego dnia przesunęłam następną. Wszystko wskazywało na to, że będę musiała ich przesunąć dużo, dużo więcej.

Warunki w więzieniu były ciężkie. Przez cały czas przebywałyśmy w naszej celi, jedynym wyjątkiem był posiłek w innym pomieszczeniu, również pozbawionym okien. Jedzenie było niejadalne - nie mogłam zmusić się, aby je przełknąć. Byłam zbyt spięta i zdenerwowana, bardzo potrzebowałam także świeżego powietrza. Nie podawano nam żadnych sztuców, więc trzeba było jeść palcami. Nie miałam także kubka, ale Vicky pożyczyła mi swój. Prysznic i toalety znajdowały się na końcu korytarza i chyba nigdy nie były czyszczone. Sara nie mogła pogodzić się z faktem, że większość toalet nie ma drzwi. Ja nie potrafiłam zmusić się do skorzystania z nich, tym bardziej że zauważyłam, jak korzystają z nich prostytutki i bałam się, że mogę się od nich czymś zarazić. Raz dziennie pozwalano nam

225

wziąć prysznic i właśnie wtedy opróżniałam pęcherz, przez resztę dnia próbowałam nad nim zapanować. Nie było to zbyt trudne, ponieważ piłam bardzo mało. Skorzystanie z prysznicia wymagało niezłej gimnastyki - należało wciąż przyciskać kurek, by płynęła woda, a jednocześnie blokować samoczynnie otwierające się drzwi. Po kilku próbach wymyśliłam skuteczną metodę: plecami opierałam się o kurek, a stopą przytrzymywałam drzwi. Dzięki temu miałam wolne ręce i mogłam się umyć. Strażniczki były wobec mnie i Sary miłe, ale gnębiły wszystkie inne kobiety nie znające arabskiego. Ich ubrania przypominały wojskowe mundury, a wszystkie miały bardzo wyzywający makijaż. Wciąż słyhać było ich ostre, nieprzyjemne głosy, jak klóciły się między sobą bądź żartowały w agresywny sposób. Były zaskakująco nieorganizowane - zebranie trzydziestu kobiet na apelu zajmowało im pół godziny. Fakt, że jestem muzułmanką i znam arabski uznały za coś fascynującego. To nam bardzo ułatwiło życie.

Pomieszczenia, w których nas przetrzymywano, były zbudowane z betonu, a ściany pomalowano na biało, przez co nie było na czym skoncentrować uwagi. Nie było też okien, byłyśmy całkowicie odcięte od światła słonecznego, dźwięków i zapachów świata zewnętrznego. Mały ogródek, o którym nam opowiadano, okazał się jeszcze jedną celą, w której normalny sufit zastąpiono wysoko zamontowaną metalową kratownicą, przez którą można było spoglądać na bezchmurne niebo i zaczerpnąć świeżego powietrza. Panujący skwar sprawiał jednak, iż „ogródek” bardziej przypominał piekarnik.

Pewnego wieczoru odwiedził nas przedstawiciel ambasady brytyjskiej ze swoją żoną. Zachowywał się bardzo sztucznie - wykonywał teatralne gesty dłońmi o delikat-

226

nych, długich palcach, był też idealnie opalony. Polubiłam go jednak, gdyż stanowił

dla mnie połączenie ze światem, w którym kiedyś żyłam. Poprosił nas, byśmy powiedziały, czy czegoś nie potrzebujemy. Najbardziej potrzebowałam powrotu do domu i wpadnięcia w ramiona rodziny.

- Czy może nam pan dostarczyć pastę do zębów i ręcznik? - poprosiłam.

Czułam, że mam koszmary oddech. Nasze kosmetyki wciąż znajdowały się w samochodzie, ale nie chciałam, aby ktokolwiek szperał w naszym bagażu. Przyniósł nam kilka miniaturowych past do zębów, takich, które są wyposażeniem pokoi hotelowych oraz jeden mały szorstki ręcznik. Pomyślałam, że z pewnością jakaś międzynarodowa konwencja wyznaczyła podstawowe wyposażenie dla więźniów, nawet tych, którzy popełnili najgorsze zbrodnie i to bez względu na kraj, w którym odbywają karę, ale nic nie powiedziałam. Byłam wdzięczna za każde udogodnienie, poza tym nie chciałam robić złego wrażenia na pracownikach ambasady.

Następnego dnia zakuto nas w kajdanki, poprowadzono do furgonetki i poinformowano, że staniemy przed oskarżycielem publicznym. Po raz kolejny transportowano nas w takich warunkach, jak wozi się towar na targ. Znowu przyjechałyśmy na posterunek, na którym wcześniej spotkałyśmy potężnego, brodatego mężczyznę odpowiedzialnego za przestrzeganie praw człowieka. Chciałam się z nim spotkać i spełniono moją prośbę.

- Proszę posłuchać - zaczęłam, czując że nie mam zbyt wiele do stracenia. - Tam, gdzie jesteście przetrzymywane, nie ma kocy, poduszek ani świeżej wody dla więźniów. Jeśli te warunki się nie poprawią, zgłoszę to do prasy. Kobiety tam przebywające nie mają należytej opieki.

227

Wyglądał na zaskoczonego taką informacją, a po chwili się uśmiechnął. Zauważyłam, że moja wypowiedź go poruszyła. Sprawiał wrażenie miłego człowieka i pomyślałam, że może mnie wysłucha.

- Jest pani przemiłą osobą - powiedział czule. - Dla pani zajmę się tą sprawą.

Dzięki temu spotkaniu nabrałam nieco otuchy, ale zaraz potem znowu załadowano nas do furgonetki, by zawieźć do biura prokuratora. Przynajmniej niektórzy przedstawiciele władzy nie uważali mnie za osobę z zimną krwią porywającą dzieci dla niecznych celów. Jazda trwała w nieskończoność, ponieważ kierowca i strażnicy co kilka kilometrów zatrzymywali się, żeby kupić wodę i melony. Nam nikt nic nie zaproponował, ale przecież byłyśmy więźniarkami. W końcu przyjechaliśmy na miejsce i okazało się, że czekają już na nas brytyjscy dziennikarze, łącznie z ekipą programu Tonight With Trevor McDonald. Jednak przed naszym przyjazdem przez trzy godziny wszyscy przetrzymywani byli w celi, co nie poprawiło im raczej nastroju. Na ich widok poczułam przyływ nadziei; byli kolejnym łącznikiem z moim wcześniejszym światem. Ich obecność dowodziła, że nie zapomniano o nas, ale zaczęłam się niepokoić, że media mogłyby dodatkowo zirytować władze Dubaju. Obawiałam się, że mogą wykorzystać zainteresowanie naszymi osobami i dla przykładu wymierzyć nam surowszą karę.

Przedostaliśmy się do prokuratora i kogo nam przydzielono? Oczywiście samego oskarżyciela generalnego, przed którym wszyscy nas ostrzegali. Sarę jako pierwszą wprowadzono do jego gabinetu, a ja czekałam pod drzwiami. Wydawało mi się, że jej przesłuchanie trwa kilka godzin, aż wreszcie wyszła oszołomiona z otwartymi

szeroko

22o

oczami. Nie pozwolono nam rozmawiać i od razu wprowadzono mnie do tego samego gabinetu. Na pierwszy rzut oka prokurator nie sprawiał wrażenia groźnego. Miał ciemną karnację, nosił okulary w złotych oprawkach, zauważyłam też, że ma ciemny osad na zębach. Nie był potężny, ale swoim zachowaniem budził respekt. Gdy tylko zaczął mówić, od razu zorientowałam się, czemu wszyscy się go boją. Nigdy nie spotkałam kogoś, kto potrafiłby przyprowadzić mnie o drżenie swoim spojrzeniem, a ten człowiek właśnie to uczynił. Był przepelniony gniewem. Chciał przykładnie nas ukarać, a szczególnie mnie, kobietę, która śmiała wykradać dzieci ich ojcom, nie okazując żadnego szacunku prawu, które reprezentował i w które święcie wierzył.

Niski mężczyzna pracujący dla ambasady uczestniczył w przesłuchaniu jako tłumacz. Najwyraźniej nie wiedzieli, że znam arabski, a ja nie chciałam im tego uświadamiać. Temu człowiekowi udało się sztuka, która do tej pory udawała się niewielu osobom - potrafił mnie uciszyć. Moje życie, a przynajmniej następne kilka lat, zależało właśnie od niego. Gdy Sara wychodziła z przesłuchania, wciąż zachowywała się tak, jakby wszystko miało się dobrze ułożyć. Ja czułam, że walczę o swoje życie.

- Proszę ją zapytać, jak czułaby się, gdyby była na miejscu ojca i ktoś porwał jej dziecko - zażądał prokurator.

- Byłabym bardzo rozżalona - odpowiedziałam po arabsku, nie czekając na tłumacza i chcąc jak najszybciej mówić w swojej obronie i wykorzystać dany mi czas. - Ale dlaczego najpierw dziecko porwano matce?

- Ta kobieta zna arabski? - uniósł ramiona w pytającym geście, zwracając się do mężczyzny z ambasady.

22Q

- Tak, znam arabski - burknęłam.

- Skąd?

- Mój mąż jest Irakijczykiem - odparłam. Uznałam, że taka informacja o mojej przeszłości powinna mu wystarczyć.

- Ile razy to już robiłaś? - zapytał, zwracając się bezpośrednio do mnie.

- Nigdy - skłamałam. - Pomagam matkom skontaktować się z ich dziećmi, ale nigdy ich nie porywam.

Marzyłam o tym, żeby mu dokładnie opowiedzieć, co udało mi się osiągnąć w przeszłości i wyjaśnić, dlaczego byłam z tego dumna i czemu zrobiłabym to ponownie, gdybym miała szansę. Udało mi się jednak zapanować nad językiem, przerażała mnie myśl o odseparowaniu mnie od moich dzieci na następne trzy lata. Przesłuchanie trwało długo i w pewnym momencie przedstawiciel ambasady wyszedł na korytarz, by porozmawiać z Sarą. Przyprowadził go z powrotem jakiś mężczyzna z biura prokuratora i oskarżył o przekazywanie Sarze informacji o moich odpowiedziach na pytania i pomoc w ustaleniu wspólnych zeznań. Nastąpiła ostra wymiana zdań, atmosfera stawała się coraz bardziej napięta. Prokurator we wszystkim widział spisek, mający na celu postawienie władz Dubaju w kłopotliwej sytuacji.

- Mówiła, że to wszystko twoja wina - powiedział prokurator, wskazując głową



drzwi, by dać mi do zrozumienia, że ma na myśli Sarę.

- Jeśli tak powiedziała, to skłamała - odpowiedziałam, pewna, że Sara nigdy by czegoś takiego nie zrobiła. Poprzedniego wieczoru dokładnie powtarzałyśmy swoje zeznania aż do chwili, gdy byłyśmy pewne, że opowiemy tę samą historię bez względu na to, jak wiele podchwytliwych

230

pytań by nam zadano. Powiedziano nam, że prokurator lubi oszukiwać ludzi i nastawiać podejrzanych przeciwko sobie, więc byłyśmy na to przygotowane. Przepytywał mnie strasznie długo i zaczynałam się zastanawiać, czy nie planuje trzymać mnie tam tak długo, aż nie będę miała już siły ustać na nogach i przyznam się do wszystkiego, byle tylko zostawił mnie w spokoju. W końcu zamilkł, zapisał kilka słów, oparł się na krzesło i wbił we mnie swój wytrącający z równowagi wzrok.

- Dobrze - powiedział. - Zgadzam się, żebyście do procesu pozostały na wolności, ale będziecie musiały wpłacić kaucję. Zatrzymamy wasze paszporty, a jeśli w jakiś nielegalny sposób spróbujecie opuścić Dubaj, wrócicie do więzienia i już stamtąd nie wyjdziecie.

Wiedziałyśmy, że będziemy musiały wrócić do więzienia na trzy lata albo nawet dłużej, w zależności od wyroku, ale przynajmniej teraz nas wypuszczono i mogłyśmy wyspać się w porządnym łóżku, wziąć prysznic i zjeść coś normalnego. Oznaczało to także, że mogłam regularnie kontaktować się z Mahmudem i dziećmi. Bardzo chciałam usłyszeć ich głosy i zapewnić ich, że nic mi nie jest. Będąc na wolności, mogłyśmy rozmawiać z dziennikarzami, nagłaśniać naszą sprawę i pracować nad umorzeniem postępowania. To był duży krok naprzód, ale wciąż jeszcze nie byłyśmy w domu. Gdyby dowiedziono naszej winy i skazano, trafiłybyśmy z powrotem do więzienia na bardzo długo.

Żebyśmy jednak mogły choć na jakiś czas odzyskać wolność, ktoś musiał oddać swój paszport wraz z naszymi jako gwarancję, że nie uciekniemy z kraju. Prokurator nie zamierzał ryzykować.

- Kto mógłby nam pomóc? - zapytałam Sarę, wyobrażając sobie, że spędzimy w celi kilka kolejnych miesięcy tylko dlatego, że nie znajdzie się nikt, kto chciałby poręczyć za nas swoim paszportem.

- Nie martw się - odparła radośnie Sara. - Mam przyjaciółkę, Jackie, która nam pomoże.

Podawała urzędnikom adres przyjaciółki, żeby się z nią skontaktowali, a my czekałyśmy i czekałyśmy w biurze prokuratora. Jackie jednak się nie zjawiła. W końcu stwierdzono, że nie przyjdzie i na noc odesłano nas do więzienia. Musiałyśmy wierzyć, że zjawi się następnego dnia.

Gdy zaprowadzono nas do celi, pozostałe kobiety zaczęły klaskać i krzyczeć na nasz widok. Nie rozumiałam dlaczego. Czy klaskały dlatego, że będziemy mogły opuścić więzienie po wpłaceniu kaucji, oczywiście jeśli znajdziemy kogoś z paszportem?

Współczuły nam, ponieważ wiedziały, że cały dzień musiałyśmy spędzić z okrutnym prokuratorem? Po chwili dowiedziałam się, czemu zawdzięczałyśmy tak miłe przyjęcie. Moja skarga na posterunku policji przyniosła pożądaną efekt: otrzymałyśmy czyste prześcieradła, koce i poduszki. Wszystko zostało wysprzątane,

zupełnie jakbyśmy się znalazły w innym miejscu. Poczułam przyływ ciepłych uczuć wobec policjanta odpowiedzialnego za przestrzeganie praw człowieka - najwyraźniej dobrze zapamiętał moją tyradę. Strażniczka była tak samo wdzięczna za zaistniałe zmiany jak skazane kobiety.

Sara wciąż próbowała zachować pogodę ducha i optymizm, pomimo że jej przyjaciółka się nie zjawiała, by nam pomóc i najwyraźniej czekała nas kolejna noc w więziennej celi. Wtedy poczułam do niej większą sympatię niż w ciągu kilku ostatnich dni. Wiedziałam, że dobrze poradziła sobie podczas spotkania z prokuratorem, wykazała też odwagę i za to ją podziwiałam. Było widać, że jest już

232 prawie na skraju wytrzymałości, a problem z przyjaciółką dodatkowo ją przygnębił, choć nie przyznała się do tego.

- Wszystko się ułoży - powiedziałam, mając nadzieję jakoś ją pocieszyć, ale wybuchnęła płaczem. Dotarło do niej, że znalazłyśmy się w rozpaczliwej sytuacji i nie potrafiła już dłużej udawać.

Więzienie było dla niej boleśniejszym doświadczeniem niż dla mnie. Nie знаła arabskiego, więc trzymała się nieco z boku od pozostałych kobiet, przez co musiała czuć się samotna. Wszystkie myślały, że odsuwa się od nich, ponieważ uważa się za lepszą od innych i nie próbowały nawet z nią rozmawiać. Była zupełnie sama.

O północy, zaraz po tym jak położyłyśmy się spać, obudził nas zgrzyt kluczy i głośna rozmowa. Powiedziano nam, że jesteśmy wolne. Ktoś wpłacił za nas kaucję i oddał swój paszport. Myślałam, że to tajemnicza Jackie w końcu się zjawiała, ale okazało się, że na ratunek pospieszyła nam ekipa programu Trevor McDonald. Poczułam ogromną wdzięczność dla przedstawicieli brytyjskich mediów. Jeden z realizatorów programu, mężczyzna o imieniu Neil, oddał swój paszport i wpłacił za nas kaucję. To był wspaniałomyślny gest, byłam tym naprawdę wzruszona.

W drodze do hotelu zdałam sobie sprawę, że jestem bardzo słaba. Przez trzy dni prawie nic nie jadłam i niemal mdlałam z głodu i ze strachu. Od leżenia na niewygodnych materacach i siedzenia na twardych ławkach bolały mnie wszystkie mięśnie. Przez kilka dni nie zmienialiśmy ubrań, marzyłam o prysznicu i przebraniu się w czyste rzeczy.

Zabrano nas do luksusowego Trade Centre Hotel - teraz, gdy dziennikarze znajdowali się w pobliżu, nie szczczędono pieniędzy na nasze wygody, żebyśmy tylko mogły

233 opowiedzieć swoją historię, by widzowie i czytelnicy na całym świecie mogli o nas usłyszeć. Pierwszą rzeczą, jaką zrobiliśmy po wejściu do hotelowego pokoju, było zaparzenie herbaty. Tym razem to ja zaczęłam płakać, gdy siedziałyśmy w wygodnym pokoju hotelowym, popijając herbatę z czystych filiżanek. Waga całej sytuacji mnie przytłaczała, a dobro wyświadczony nam przez dziennikarzy przeważało. Poza tym nie mogłam się pogodzić z myślą, że podczas gdy ja siedzę w luksusowym hotelu, Vicky i pozostałe kobiety wciąż są zamknięte w więzieniu. Nie miałam ze sobą ubrań na zmianę, więc Vicky pożyczyła mi swoje ciuchy. Tuż przed wyjazdem oddałam je do pralni, by móc je zwrócić. Zawsze zadziwia mnie to, jak hojni potrafią być ludzie, którzy sami posiadają niewiele. Natychmiast zadzwoniłam do Mahmuda, by dowiedzieć się, co z dziećmi. Obudziłam go i zebranie myśli zajęło

mu kilka chwil. Poinformował mnie, że u dzieci wszystko w porządku, choć Khalid nieco się przeziębził. Poczułam się winna, że nie ma mnie przy nim. Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że Mahmud nie mówi mi całej prawdy, nie chce mnie denerwować, co oczywiście sprawiło, że zdenerwowałam się okropnie. Powiedział mi także o dziennikarzach z różnych gazet, którzy wciąż próbują się ze mną skontaktować. Oferują mu tysiące funtów za udzielenie wywiadów, a nawet zaproponowali, że zapłacą za jego przelot do Dubaju, żeby mógł się ze mną spotkać. Pomyślałam, że byłoby cudownie mieć go przy sobie - pomógłby mi radzić sobie z dziennikarzami i pocieszał w trudnych chwilach. Wiedziałam jednak, że nie zostawi dzieci bez opieki i byłam mu za to bardzo wdzięczna. Obawiałam się tego, co mogą nagłośnić brytyjskie media, nie chciałam, żeby pisano coś, co mogłoby zirytować prokuratora.

234

- Pytają mnie, czy to prawda, że już wcześniej robiłaś coś podobnego - kontynuował Mahmud. - Słyszeli plotki o poprzednich twoich wyprawach, byli nawet w szkole naszych dzieci. Niektóre z matek, którym pomogłaś, wystąpiły w programach telewizyjnych, opowiadając, że jesteś osobą o złotym sercu.

- - Nie mów nic dziennikarzom - powiedziałam, czując przyływ paniki. - Jeśli tutejszy oskarżyciel dowie się poprzez media o tym, że planowałam to porwanie, nic nie powstrzyma go przed skazaniem nas na długoletnie więzienie.

Obiecał zachować dyskrecję i ucałować ode mnie dzieci. Ja powiedziałam, że zadzwonię, gdy wszyscy już się obudzą. W domu działo się wiele rzeczy, o których dowiedziałam się dopiero dużo później. Moja siostra, Sandra, bardzo pomagała Mahmudowi, ściągnęła nawet ze Szkocji do Londynu moje ciotki i wujków, żeby zajmowali się naszymi dziećmi. Podczas jednej z rozmów telefonicznych mąż powiedział, że był bardzo dumny z Marlona, który doskonale radził sobie w tak trudnej sytuacji. Okazał się bardzo dojrzały i nieugięty, odbierał nawet telefony od dziennikarzy i rzeczowo odpowiadał na ich pytania. Pewnego ranka przeprowadziła z nim wywiad stacja telewizyjna GMTY która była dla nas ogromnym wsparciem i przyjaźnie traktowała zarówno Mahmuda, jak i dzieci.

- Tęsknisz za mamą? - zapytała Marlona dziennikarka.

- Które dziecko nie tęskniłoby za mamą - odpowiedział, patrząc jej prosto w twarz swoimi dużymi, ciemnymi oczami. Byłam z niego taka dumna.

Dzieci na swój własny sposób radzą sobie ze stresem i zmartwieniami. Mahmud na samym początku wyjaśnił im całą sytuację i upewnił się, że dobrze wszystko zrozumiały.

235

Chciał je w ten sposób przygotować na ewentualne pytania kolegów w szkole czy dziennikarzy, którzy próbowaliby się od nich czegoś dowiedzieć. Od tego momentu nigdy więcej już o tym nie rozmawiali. Po prostu dalej żyli normalnie, czekając na mój powrót. Myślę, że dzieci wiedziały, że nie są w stanie mi pomóc, więc zaufały dorosłym, którzy rozwiążą problem. Gdybyśmy tylko mieli taką władzę, jak wyobrażają sobie nasze pociechy...

Mogły nie mówić o całej sytuacji, ale z pewnością myśl o mnie wciąż im towarzyszyła. Pewnego wieczoru, gdy Mahmud już położył wszystkie dzieci do

łóżek i oglądał wiadomości, by sprawdzić, czy coś mówi się o mnie i Sarze, usłyszał odgłos małych kroczków Amiry. Zeszła na dół i zapytała zaspanym głosem: „Czy mamusia już jest bezpieczna?”.

- Tak - zapewnił ją. - U mamusi wszystko w porządku.

- Właśnie przyszła mnie odwiedzić - powiedziała, pozwalając, aby ojciec wziął ją na ręce i zaniósł z powrotem do łóżka, żeby mogła dalej śnić.

Gdyby opowiedział mi to wtedy, gdy wciąż znajdowałam się w Dubaju, chyba bym się załamała. Denerwowało mnie, że wciąż próbowano wyszukać jakieś brudy na mój temat, sprawdzając moich przyjaciół i dawne miłości. Słyszałam, że nawet udało im się odszukać mojego ojca, by móc zamieścić jego wypowiedź w jakimś artykule.

Powiedział mi później, że jeden z dziennikarzy śledził go, gdy jechał drogą na jednym ze swoich motocykli. Zapewne wypowiedź, jaką usłyszał ten dziennikarz, była na tyle niecenzuralna, że nie mógł jej zacytować.

Chociaż znajdowałam się w luksusowym hotelu w pokoju z klimatyzacją, wciąż czułam się jak więzień. Dopóki trzymali mój paszport, nie mogłam wrócić do domu, do

236

moich dzieci; nie byłam zamknięta w celi, ale nie byłam też wolna. Często dzwoniłam do domu i rozmawiałam z Mah-mudem i dziećmi. Każdego dnia obiecywałam im, że „jutro” będę w domu i codziennie okazywało się, że kłamałam, ponieważ władze nie zamierzały zrezygnować z oskarżenia nas i wciąż nie zwracały nam paszportów. Nie potrafiłam dzieciom powiedzieć, że nie wiem, kiedy znów zobaczą swoją mamusię. Z drugiej strony okłamywanie ich wcale nie poprawiało mi nastroju. Gdyby sprawdził się najgorszy scenariusz i otrzymałabym wyrok trzech lat pozbawienia wolności, zapewne zniosłabym jakoś fizyczne niedogodności, ale rozłąka z dziećmi zniszczyłaby mnie psychicznie. Wciąż prześladowałaby mnie myśl o tym, jak dorastają beze mnie. Amirze urosłyby włosy, a ja nie mogłabym ich czesać, Marlon poszedłby do średniej szkoły, a mnie nie byłoby przy nim, żeby przygotować mu nowy mundurek szkolny i wysłuchać jego obaw.

Zauważyłam, że zaczynam tęsknić do najprostszych czynności, które wykonywałam, gdy byłam w domu. Brakowało mi siedzenia na sofie z cudowną czystą narzutą i poduszką. Gdy zamykałam oczy, wyobrażałam sobie, jak Mahmud budzi mnie, przynosząc filiżankę herbaty. Przypominałam sobie zapach dzieci, gdy całowałam je na dobranoc i ich głosy, gdy biegły ulicą, wracając ze szkoły do domu. Kiedy nachodziły mnie takie myśli, nie mogłam powstrzymać łez.

Jedna z moich londyńskich przyjaciółek, Mage, regularnie do mnie dzwoniła. Była w ciąży i zapytała, czy zechciałabym być matką chrzestną jej dziecka.

- Może się okazać, że nie wrócę na czas, by ochrzcić twoje dziecko - powiedziałam jej podczas jednej z naszych rozmów.

237

- Nie mów tak - odrzekła. - Jeśli wciąż będziesz w Du-baju, przyjedziemy do ciebie, żeby urządzić przyjęcie. Przywieziemy ze sobą szampana, by skropić dziecku główkę. Ale nie opowiadaj bzdur, oczywiście że zdążysz wrócić do domu - jej optymizm dobrze na mnie wpłynął.

Wśród tych wszystkich telefonów i wiadomości, które otrzymałam, nie było ani

słowa od mojej matki. W dniu jej urodzin wysłałam jej kwiaty, żeby pokazać, iż o niej nie zapomniałam, ale nie przyszła od niej żadna odpowiedź. Do mojego pokoju wciąż przynoszono bukiety kwiatów od osób mi życzliwych, zarówno z Wielkiej Brytanii, jak i z Dubaju. Najwyraźniej nie wszyscy uważali mnie za przestępcę. Sara odzyskała swój optymistyczny nastrój zaraz po tym, jak przeniosłyśmy się do hotelu. Większość dni spędzała, opalając się przy basenie, a wieczorami popijała mocną szkocką whisky. Chyba zakładała, że wszystko się teraz dobrze ułoży i niedługo znajdziemy się na pokładzie samolotu lecącego do Londynu. Otrzymała zaledwie kilka telefonów od członków swojej rodziny, którzy nigdy nie zamienili ze mną nawet kilku słów, gdy to ja podnosiłam słuchawkę. Czasami czułam, jakbym wcale nie pojawiła się w ich życiu. Pewnego dnia przyjaciółka Sary, Jackie, zjawiała się, by zaprosić ją na grilla do swego domu. Kiedyś pracowały razem jako stewardesy i utrzymywały ze sobą kontakt. Jackie była nieco skruszona w sprawie paszportu. Nie pomogła nam, gdy bardzo tego potrzebowałyśmy, ale powiedziała, że zabronił jej tego mąż, który nie chciał zadzierać z Al-Habtoorami. Chyba był egipskim bankierem i nie mógł pozwolić sobie na zniszczenie dobrych stosunków z jedną z najbogatszych rodzin w tym rejonie. Sara nie miała jej tego za złe i oczywiście była szczęśliwa, że może opuścić hotelowy pokój, by pobyć z innymi ludźmi.

238

Obserwując zachowanie Sary na posterunkach policji i w więzieniu oraz wiedząc, że jej rodzina prawie wcale nie zauważa mojego istnienia, zdałam sobie sprawę z tego, że nie mogę liczyć na to, że ona czy Neil pomogą mi się wydostać z Dubaju. Sama musiałam postarać się o adwokata, zastanowić nad linią obrony i zadbać o wszystko, co było mi jeszcze potrzebne. W przeciwnym wypadku Sara wróciłaby do domu, uznana za zdesperowaną matkę, która tylko chciała zobaczyć się z synem, a ja zostałabym skazana za zorganizowanie porwania.

Po kilku dniach przeniesiono nas do hotelu Intercontinental -wciąż zmienialiśmy miejsce pobytu. Próbowałam skontaktować się telefonicznie z Vicky, która została w więzieniu i w końcu udało mi się to po czterech dniach. Dziwnie czułam się, będąc na wolności, podczas gdy ona wciąż przebywała w celi. Jej rodzice także nas odwiedzili i poprosiłam ich, by oddali Vicky ubrania, które mi pożyczyła.

Jedna ze stacji telewizyjnych opłaciła przelot Neila do Dubaju, by mógł towarzyszyć Sarze. Ich spotkanie w hotelu zostało sfilmowane przez ekipę programu Trevor McDonald, a telewizyjny prezenter, Colin Baker, przeprowadził z nimi wywiad. To całe medialne zamieszanie bardzo mnie niepokoiło. Już sobie wyobrażałam reakcję prokuratora na nasze zdjęcia w każdej brytyjskiej gazecie. Mógł odczytać to jako krytykę ich wymiaru sprawiedliwości, co z pewnością zaogniłoby jeszcze całą sytuację. Istniało także niebezpieczeństwo, że z gazet dowiedziałyby się o mojej przeszłości i skłoniłoby go to do uznania, że nasze działanie w Dubaju było dokładnie zaplanowane. Słyszałam o całostronicowych artykułach pojawiających się w „Sunday Times” i innych poważnych gazetach, w których zastanawiano się,

239

kim jestem, i sugerowano, że zajmuję się porywaniem dzieci. Nie takiego rozgłosu potrzebowałam tuż przed oskarżeniem mnie właśnie o taki czyn.

Nie podobało mi się także to, że ekipa telewizyjna trzykrotnie kazała Neilowi i Sarze

powtarzać ich powitanie, żeby dobrze wypadło w telewizji. Wypadło bardzo teatralnie i sztucznie, zupełnie nie przypominało relacjonowania wydarzeń na żywo, czego się spodziewałam. Nic nie wydawało się prawdziwe ani podyktowane szczerą troską o przyszłość Tarika, czy lepiej mu będzie pod opieką ojca, czy matki. Teraz najistotniejsze stawałyśmy się ja i Sara, a główne pytanie, jakie zadawano, to czy powinnyśmy zostać ukarane za swój czyn. Cała sytuacja stała się wielkim medialnym przedstawieniem, nad którym nikt już nie panował.

- Och, to jest niesamowite, trzeba zaprosić je do programu Parkinsona\*. Spójrzcie na te dwie kobiety - powiedział Neil do dziennikarza z The Mail on Sunday, wskazując na mnie i Sarę. - Tak dobrze się rozumieją, to bratnie dusze.

Nie odezwałam się. Zaczynałam się dowiadywać od dziennikarzy brytyjskich, co Neil naopowiadał prasie, zanim do nas przyleciał. Twierdził, że porwanie było zaplanowane, ale on nic o tym nie wiedział. Doprawdy, nie mógł powiedzieć nic gorszego, by nas pogrążyć. Jednocześnie kłamał w żywe oczy, przecież dokładnie wiedział, co zamierzałyśmy zrobić.

Coraz trudniej mi było znieść jego obecność. Wciąż ob-rażliwie wypowiadał się o Arabach. Wiedział, że moim mężem jest Irakijczyk, ale nie pomyślał chyba, że krytykując Arabów, krytykuje tym samym mojego męża i dzieci.

-----

\* Talk-show prowadzony przez Michaela Parkinsona.

240

Prawnicy pracujący dla Rashida robili wszystko, co mogli, by bez względu na decyzję sądu zabezpieczyć swojego klienta. Przygotowali dokumenty zawierające przyrzeczenie, że Sara nigdy więcej nie będzie próbowała porwać Tarika. Miała je podpisać, a gdyby złamała porozumienie, odebrano by jej wszelkie prawa rodzicielskie. Oczywiście ona nie chciała nic podpisywać. Nigel, który w zastaw za naszą wolność oddał swój paszport, a teraz widział szansę na jego odzyskanie, zaczynał się niepokoić zachowaniem Sary.

- Podpisz te papiery - powiedział w końcu. - Chcę odebrać mój paszport.

- Przykro mi - odpowiedziała. - Nie podpiszę.

- Donya ma rodzinę, do której musi wrócić - argumentował. - Nie ma na to szansy, dopóki nie zgodzisz się na zaproponowaną ugodę.

- No cóż, trudno - powiedziała Sara.

Mimo wszystko zgodziła się pójść do ambasady brytyjskiej i podpisać dokument, w którym zobowiązała się nie rozmawiać z dziennikarzami po powrocie do Wielkiej Brytanii. Rashid był gotów pozwolić jej wrócić do domu, pod warunkiem podpisania takiego oświadczenia. Sam również przygotował dokument stwierdzający, że nie będzie stawiał zarzutów wobec mojej osoby, dzięki czemu ja również mogłam wracać do domu. Uznałam, że to bardzo wspaniałomyślny gest, zważywszy że próbowałam odebrać mu syna. Niewielu ojców, z którymi miałam do czynienia, potrafiłoby okazać tak wielką wyrozumiałość. Mimo wszystko fakt, że osobiście nie zamierzał skierować przeciwko mnie aktu oskarżenia, nie oznaczał jeszcze, że nie zrobi tego prokuratura.

Co wieczór rozmawiałam przez telefon z Mahmudem i w trakcie jednej z takich rozmów przyznał, że Khalid gorzej

się czuje i musi zostać w szpitalu. Poczulałam się okropnie. Jak mogłam spędzić tyle czasu poza domem, narażając się na niebezpieczeństwo, podczas gdy moje dziecko było chore. Wtedy też pomyślałam, że moje przeżycia są niczym w porównaniu z torturami, jakie przechodziły niektóre kobiety, którym pomagałam. Bardzo trudno mi było znieść taką rozłąkę. Wprost nie potrafiłam sobie wyobrazić, co czuły kobiety, które zmuszone były prosić mnie o pomoc w odzyskaniu swoich dzieci.

Po kilku dniach Neil wrócił do domu, a ja i Sara ponownie zostałyśmy wezwane przed oblicze oskarżyciela generalnego. Byłam strasznie zdenerwowana szumem medialnym, jaki wokół nas powstał. Od razu gdy weszłam do gabinetu prokuratora, zauważyłam, że jest w złym nastroju. Hazel, jedna z kobiet pracujących dla programu Trevor McDonald, wzięła mnie za rękę, próbując jakoś wesprzeć, gdy prokurator wbił we mnie swoje nieustępliwe spojrzenie. Czując jej palce w swojej dłoni, przypominałam sobie grę, w którą bawiłam się z Amirą: jeden uścisk mój, dwa jej, moje trzy, jej cztery...

- Ty! - krzyknął. - Dla ciebie nie ma paszportu.

Czułam, że cała się trzęsę. Hazel ścisnęła moją dłoń i wyobraziłam sobie, że to Amira stoi przy mnie i patrzy w górę swoimi ufnymi, pytającymi oczkami. Poczulałam, że robi mi się słabo. Myślałam o chorym Khalidzie, który mnie teraz bardzo potrzebował oraz o pozostałych dzieciach, które od kilku tygodni nie widziały swojej mamy. Nasz prawnik wyglądał na tak samo zdumionego jak ja. Próbował rozmawiać z prokuratorem, ale ten nie chciał słuchać żadnych argumentów. Już podjął decyzję. Łzy napłynęły mi do oczu i nie potrafiłam powstrzymać się od płaczu.

242

- Sprawdzamy cię przez Interpol, by dowiedzieć się, czy już robiłaś podobne rzeczy - powiedział. Z jego zachowania wywnioskowałam, że spodziewał się uzyskać informacje wystarczające do skazania mnie na długoletnie więzienie.

Wierzyłam, że Interpol ma sporo wiadomości na mój temat. Stawało się coraz bardziej prawdopodobne, że Sara wróci do domu, a ja zostanę w Dubaju. Gdy razem z Hazel wyszłyśmy z gabinetu prokuratora i opowiedziałyśmy Sarze, co się stało, chyba nie zrozumiała, w jak trudnej sytuacji się znalazłam.

- Wracaj do swoich dzieci - powiedziałam. - Nie martw się o mnie.

- Dobrze - odpowiedziała radośnie. - Tak zrobię. Zauważyłam, że Hazel była zszokowana tym, że Sara

zgodziłaby się pozostawić mnie własnemu losowi, podczas gdy ja, porzucając własną rodzinę, przyjechałam tutaj, by jej pomóc. Sara jednak nic nie spostrzegła, zaczęła opowiadać o zdjęciach Tarika, które udało jej się kupić za połowę ceny, pokazywała je nam, każąc podziwiać jej syna. Miałam wrażenie, że całkowicie straciła kontakt z rzeczywistością.

Po powrocie do hotelu otrzymywałam wiele ciepłych telefonów i e-maili, w których różni ludzie wyrażali poparcie dla mnie i starali się mnie wesprzeć. Dostałam nawet list ze szpitala, w którym leżał Khalid, oficjalnie potwierdzający jego chorobę oraz informujący o tym, że chłopiec potrzebuje obecności mamy. Do Sary natomiast nikt ani nie dzwonił, ani nie pisał. Otrzymała jedynie kilka nieprzyjemnych komentarzy od osób, które widziały ją w programie Trevor McDonald. W gazetach pojawiły się

artykuły na mój temat i prawie we wszystkich stawano po mojej stronie. Niektóre z kobiet, którym w przeszłości pomagałam, udzielały teraz

243

wywiadów. Kate Hamilton bardzo pochlebnie wypowiedziała się na mój temat; nazwała mnie „prawdziwą bohaterką” o sercu wielkim jak ocean. A ja wciąż czułam, że ją zawiodłam, ponieważ udało mi się wywalczyć jedynie godzinne spotkanie z jej córeczkami i nie odzyskałam ich dla niej. Byłam głęboko poruszona wszystkimi wyrazami sympatii ze strony przyjaciół oraz ludzi, których nigdy nie poznałam, a którzy stawali w mojej obronie.

Gdzieś zacytowano wypowiedź Mahmuda, który nazwał mnie „aniołem bez skrzydeł”. Uważam tę wypowiedź za najbardziej romantyczną, jaką kiedykolwiek słyszałam. Tym bardziej, że nie jestem bezproblemową osobą, a poza tym często wyjeżdżałam, pozostawiając dom i dzieci na jego głowie.

Podczas gdy Sara spędzała czas na odwiedzaniu przyjaciół, odpoczywaniu przy basenie czy na zakupach z Neilem, ja każdą chwilę wykorzystywałam na próby skontaktowania się z osobami, które mogłyby mi pomóc w wydostaniu się z tego kraju. Raz czy dwa nawet zadzwoniłam z hotelu do Rashida, dziękując mu za okazaną wyrozumiałość i prosząc o wstawienie się za mną u prokuratora.

Zapewniłam go, że bardzo żałuję swojego czynu.

- Jeśli będzie to dla pana jakimś pocieszeniem - powiedziałam mu - to Tarik nie chciał jechać z matką, wolał zostać z panem.

- Dziękuję za te słowa - odpowiedział. - Wie pani, że nie potępiam tego, co pani robi, ale ja nigdy nie porwałem syna. Ich wyjazd z Dubaju był całkowicie dobrowolny, a Ta-rika zostawili pod moją opieką.

Wtedy przysięgłam sobie w duchu, że nigdy więcej nie podejmę się żadnego zadania bez dokonanego wcześniej dokładnego rozpoznania. Rashid zapewnił mnie, że nie

244

wniesie oskarżenia przeciwko mnie, stwierdził jednak, że nie ma żadnego wpływu na prokuratora. Sprawiał wrażenie, jakby nie wierzył, że uda nam się ujść bezkarnie.

Musiałśmy szukać pomocy gdzie indziej. Potrzebowałyśmy kogoś jeszcze bardziej wpływowego od rodziny Al-Hab-toorów, kogoś, kto stanowił prawo.

- Chcę napisać do szejka Al-Maktoum - powiedziałam pewnego ranka, gdy siedzieliśmy w pokoju hotelowym, zastanawiając się, co robić dalej. - Sara, pomożesz mi napisać ten list.

Wiedziałam, że Al-Maktoum, jako wszechpotężny władca w Dubaju, będzie miał ostatnie słowo w podjęciu decyzji o moim powrocie do domu bądź pozostaniu. Wiele lat wcześniej poznałam tego człowieka w hotelu w Londynie. Siedzieliśmy w kawiarni przy sąsiednich stolikach i był bardzo miły dla Marlona, który był wtedy jeszcze malutki. Zapamiętałam go jako przyjaznego człowieka, kogoś, kto mógłby przychylnie spojrzeć na osobę zwracającą się do niego o pomoc. Sara twierdziła, że również z nim kiedyś się umówiła, zanim poznała Rashida. Te powiązania były bardzo nikłe, nie mogłam tego zignorować, ale uznałam, że warto spróbować.

Zeszliśmy do sali, w której znajdował się komputer i podyktowałam jej list, w którym prosiłyśmy o pomoc. Przeprosiłam w nim za najście rodziny Al-Habtoorów i obiecałam, że podobne zdarzenie nigdy więcej już nie będzie miało miejsca.



Podkreśliłam, że zależy mi na możliwości powrotu do domu, by zaopiekować się chorym dzieckiem. Wydrukowałyśmy nasz błagalny list, a Sara zabrała go ze sobą. Następnego dnia siedziałyśmy z Sarą w hotelowej kawiarni z kobietą z kancelarii adwokackiej, do której zwróciłam się

245

o pomoc. Mieszkanie w hotelu w ciągłym oczekiwaniu, aż coś się zdarzy, powoduje, że czas dłuży się w nieskończoność. Byłam bardzo szczęśliwa, gdy cokolwiek przerywało tę monotonię. Byłyśmy pogrążone w rozmowie na temat naszego położenia, gdy przy recepcji zrobił się jakiś szum. Spojrzałyśmy w tamtą stronę i zobaczyłyśmy, jak mnóstwo ochroniarzy skupia się wokół jakiejś bardzo ważnej osoby, która kieruje się do prywatnej restauracji.

Zdałam sobie sprawę, że to właśnie szejk Al-Maktoum i wstałam, by lepiej przyjrzeć się całej scenie. Gdy przechodził obok naszego stolika, udało mi się spotkać jego wzrok. Uśmiechnął się, a ja odwzajemniłam jego uśmiech. Potem zniknął w prywatnej restauracji i, zanim zdążyłam ochłonąć, ochroniarze stanęli przed drzwiami, tworząc żywy mur.

- Gdzie jest nasz list? - zapytałam Sarę.

- Na górze - odparła.

- Idź szybko go przynieś. Teraz mamy doskonałą okazję. Po kilku minutach była już z powrotem razem z listem.

Podeszłyśmy do drzwi, za którymi niedawno zniknął szejk, ale jego ochroniarze zagrodzili nam drogę.

- Bardzo proszę, przekażcie mu ten list - błagałam.

- Nie - byli niewzruszeni, o kamiennych twarzach, profesjonalni i nie miałyśmy najmniejszych szans, by jakoś ich ominąć. - Musi pani iść do sądu szejka, jeśli chce pani do niego napisać. Tam trzeba poprosić, by przekazano mu list.

- Ale to może trwać wiele tygodni! - zaprotestowałam, ale oni tylko wzruszyli ramionami, bez cienia uśmiechu na twarzy. Wyglądało na to, że nie ma innego sposobu.

Jeszcze przez chwilę ich prosiłam i błagałam, nie chcąc uwierzyć, że muszę dać za wygraną, ale najwyraźniej nic

246

nie mogli zrobić. Gdy zdałyśmy sobie sprawę, że w ten sposób nic nie załatwimy, wycofałyśmy się w głąb hallu i postanowiłyśmy poczekać - zupełnie jak fanki jakiegoś idola, mające nadzieję na to, że przechodząc obok spojrzy na nie. Przez jakąś godzinę czy dwie nic się nie działo. Potem nastąpiło poruszenie wśród ochroniarzy i otworzyły się drzwi. Gdy zobaczyłyśmy szejka idącego do wyjścia, zaczęłam skakać i wymachiwać w powietrzu listem. Zwróciłam tym jego uwagę i skierował się w naszą stronę.

Ochroniarze natychmiast chcieli odsunąć nas z drogi, ale powiedział im, żeby nas zostawili.

- Tak, moje drogie? - powiedział.

- Mamy do pana list - oświadczyła prawniczka.

- W porządku. Pan Kalifa się tym zajmie - wskazał na mężczyznę stojącego u jego boku. Następnie uśmiechnął się życzliwie i ruszył do wyjścia, przed którym czekała

na niego kolumna samochodów. Mężczyzna o nazwisku Kalifa wziął od nas list i podał numer swojego telefonu komórkowego - natychmiast go zapisałam w kalendarzu.

- Proszę zadzwonić do mnie za pięć minut - polecił, po czym zniknął wraz z szejkiem i resztą ludzi.

Pobiegliśmy do pokoju i natychmiast wykreśliśmy jego numer. Ledwo mogłam powstrzymać swój entuzjizm. Cóż mogło nam teraz przeszkodzić? Nie mogłam uwierzyć w ten szczęśliwy zbieg okoliczności.

Kalifa natychmiast odebrał telefon.

- Szejk Al-Maktoum - powiedział urzędowym tonem - mówi, że jutro rano możecie odebrać swoje paszporty.

Udało się! Szansa jedna na milion, a jednak nam się poszczęściło. Nie mogłam w to uwierzyć, tak naprawdę nie miałam odwagi, by w to uwierzyć. Polegałyśmy jedynie na informacji udzielonej nam przez telefon. A jeśli pójdziemy

247

tam rano i nikt nic nie będzie wiedział o takiej decyzji? Im bardziej byśmy się upominały o spełnienie woli szejka Al--Maktouma, tym mniej byłybyśmy wiarygodne. Przez całą noc próbowałam przekonać samą siebie, że mogę już spać spokojnie.

Następnego ranka, po prawie nieprzespanej nocy, poczułam, że nie mogę wstać z łóżka. Moje ciało odmówiło posłuszeństwa. Przez kilka ostatnich tygodni żyłam w tak wielkim stresie, że gdy napięcie opadło, okazało się, że nie mam już siły na nic. Przerażała mnie kolejna wizyta u prokuratora, bałam się, że uniemożliwi nam skorzystanie z jedynej szansy na uwolnienie, jaką miałyśmy.

- Nie mogę iść - powiedziałam. - Nie mogę się ruszyć. Leżałam w łóżku, wpatrując się w ścianę i czekając, aż

coś się stanie. W końcu jeden z prawników zadzwonił, by poinformować, że jest na posterunku policji, gdzie czekają na nas - możemy odebrać swoje paszporty.

Musiałam zdobyć się na ten ostatni wysiłek. Zwlekłam się z łóżka i na posterunek dotarłam podtrzymywana przez dwie osoby.

- Proszę podpisać tutaj i tutaj - powiedział policjant, jakby to była najprostsza formalność na świecie, a następnie podał nam nasze dokumenty.

Poczułam tak wielką ulgę, że o mało nie zaczęłam płakać.

- Gdzie jest paszport mojego syna? - chciała wiedzieć Sara, a jej głos odbił się echem od ścian posterunku. - Nosi nazwisko Fotheringham a nie Al-Habtoor. Chcę mieć jego paszport właśnie z tym nazwiskiem.

Niczego tak bardzo nie pragnęłam, jak wyjść stamtąd i natychmiast udać się na lotnisko. Czułam, że w tym momencie mogłabym udusić Sarę. Właśnie teraz, gdy byliśmy już tak bliskie wydostania się z Dubaju, chciała wszczynać awanturę.

248

- Pani syn należy do rodziny Al-Habtoor - urzędnik odrzekł grzecznie, ale pewnym tonem. - Jego paszport pozostanie u rodziny jego ojca.

Jeszcze przez chwilę Sara się sprzeciwiała, ale w końcu naszym prawnikom udało się ją uciszyć i wyprowadzić z budynku.

Gdy kierowaliśmy się do wyjścia z posterunku, przyszedł pożegnać się ze mną

mężczyzna odpowiedzialny za przestrzeganie praw człowieka. Miał ze sobą pudełko czekoladek dla moich dzieci i jemeńską kawę dla mnie. Uścisnął mi dłoń i życzył udanej podróży, byłam naprawdę wzruszona jego uprzejmością. Podczas jazdy samochodem do hotelu zabręczał mój telefon komórkowy. Dzwonił Mahmud.

- Gdzie jest teraz twój paszport? - zapytał.

- W mojej torbie - powiedziałam.

- W takim razie nie daj nikomu do niej zaglądać - zażartował. - Wracaj najszybciej, jak możesz.

Prawie nie pamiętam powrotnego lotu. Byłam tak bardzo wyczerpana, że co chwila traciłam kontakt z rzeczywistością. Na lotnisku Heathrow czekał na mnie Mahmud z ogromnym bukietem kwiatów. Miał dla mnie także dobrą wiadomość: Khalid najgorsze miał już za sobą i wrócił do domu ze szpitala. Wpadłam w ramiona męża i miałam ochotę nigdy go już nie puścić.

Gdy udało mi się już odzyskać siły, postanowiłam przejrzeć artykuły na mój temat, które ukazały się w prasie podczas mojej nieobecności w kraju. We wszystkich gazetach widniało moje prawdziwe nazwisko i moje zdjęcia. Zostałam zdemaskowana. Nie było już sensu ukrywanie tożsamości, ale stanęłam przed koniecznością wynalezienia jakiegoś sposobu, by nadal pomagać kobietom, którym porwano

24Q

dzieci. Choć nie mogłam już podróżować w tym celu osobiście, wciąż mogłam angażować się w takie problemy, gdy rodzice różnej narodowości prowadzili wojnę o swoje dzieci. Nigdy nie będę w stanie odrzucać próśb matek, które straciły swoje pociechy.

Pierwszego dnia po powrocie, gdy odprowadzałam swoje dzieci do szkoły, obawiałam się, jak zostaną przyjęta. Co prawda, gdy byłam w Dubaju, nauczyciele przysyłali mi wiadomości, w których zapewniali mnie o swoim poparciu, ale pracowało tutaj mnóstwo ludzi, którzy nie mieli pojęcia o tym, co robiłam w przeszłości, zanim nie przeczytali o tym w gazetach. Nie byłam pewna, jak zareagują. Wiedziałam, że będę musiała stawić temu czoło, ale nie chciałam, aby dzieci były świadkami nieprzyjemnych scen albo żeby stały się ofiarami moich przekonań. Jednak okazało się, że niepotrzebnie się martwiłam. Wszyscy podchodzili do mnie i opowiadali, że gorąco modlili się za mnie, gdy byłam w więzieniu i ofiarowywali wszelką pomoc w moich przyszłych poczynaniach. Poczułam, że naprawdę wróciłam do domu.

Napisanie książki o moich przygodach jako pierwsza zaproponowała mi producentka telewizyjnego programu Trisha. Uczestniczyłam w nagraniu jednego z odcinków i po zakończeniu pracy opowiadałam o swoich przeżyciach. Było to jeszcze przed poznaniem Sary Fotheringham.

- Myślałam o tym - powiedziałam wtedy. - Nie jestem jednak pewna, czy potrafię.

- Musisz znaleźć kogoś, kto ci w tym pomoże - zasugerowała.

- Tak zrobię - powiedziałam, nagle podejmując decyzję, choć nie miałam pojęcia o tym, jak znaleźć taką osobę. Równie dobrze mogła mi zaproponować, bym poleciała na Księżyc.

Pamiętałam, że kiedyś czytałam książkę pod tytułem Sold napisaną przez Zanę

Muhsen. Opowiadała ona o tym, jak autorka wraz z siostrą zostały w dzieciństwie sprzedane przez ojca. Miała wtedy piętnaście lat i wychowywała się w Birmingham. Była przekonana, że do Jemenu jedzie na niezapomniane wakacje, ale zaraz po przybyciu na miejsce okazało się, że transakcja już została zawarta - musi wyjść za mąż i pod koniec wakacji nie wróci do domu w Birmingham. Wraz ze swoją siostrą Nadią zostały zabrane w górzyste rejony kraju, a rodziny ich mężów traktowały je dosłownie jak

Epilog

25/

niewolnice. Odnalezienie córek zajęło ich matce około sześciu lat, a kolejne dwa lata trwały wysiłki, by Zana mogła wrócić do Wielkiej Brytanii. Słyszałam, że Nadia wciąż przebywa w Jemenie. Książka od pierwszych stron bardzo mnie wciągnęła, a podczas jej lektury kilkakrotnie płakałam, zresztą na całym świecie okazała się bestsellerem. Chciałam, żeby moja historia została opowiedziana właśnie w taki sposób.

Poszłam do biblioteki i od razu odnalazłam tę książkę. Na stronie redakcyjnej znalazłam informację o tym, że mężczyzna, który pomógł Zanie napisać książkę, nazywa się Andrew Croft. Uznałam, że właśnie ten człowiek powinien opisać moje przygody, ale nie wiedziałam, jak go odnaleźć. W końcu doszłam do wniosku, że skoro udawało mi się odszukiwać zaginione dzieci w krajach oddalonych o tysiące kilometrów od mojego domu, to powinnam znaleźć także i tego mężczyznę. Odnalazłam listę wydawnictw, zadzwoniłam do pierwszego, które było mi znane, i zapytałam, jak mogłabym odszukać Andrew Crofta. Redaktor, który odebrał telefon, poprosił, żebym opisała pokrótce swoje przeżycia i po usłyszeniu mojej opowieści zaprosił na spotkanie z jego kolegami w redakcji. Podczas tej wizyty wszyscy sprawiali wrażenie bardzo zainteresowanych moimi przygodami i zasugerowali, żebym sama w zarysie spisała, o czym miałyby być moja książka, by mogli przedstawić ten konspekt w dziale sprzedaży i zastanowić się, czy zechcą ją wydać. Zachęcona ich entuzjastycznym przyjęciem próbowałam pisać, ale oczywiście nic z tego nie wychodziło. Jeśli nie jest się pisarzem, bardzo trudno przelać na papier swoje myśli, uczucia i opisać wydarzenia ze swego życia w taki sposób, aby czytanie o nich było interesujące. W redakcji zapoznano się z tym, co udało mi się napisać

252

i z przykrością odrzucono mój projekt. Musiałam wznowić poszukiwania Andrew. Wtedy już byłam zdecydowana napisać książkę. Wróciłam do biblioteki, sprawdziłam nazwę wydawnictwa, które opublikowało książkę Sold i tam zwróciłam się z prośbą o kontakt z człowiekiem, którego poszukiwałam. Ku mojemu zdziwieniu

podano mi jego numer telefonu i już za kilka minut rozmawiałam z nim, opowiadając swoje przygody.

Uznaliśmy, że trzeba się spotkać i odwiedził mnie w moim domu. Rozmawialiśmy w pokoju na piętrze, a Mahmud przy włączonym telewizorze malował pokój. Nagle usłyszałam, jak krzyczy, byśmy szybko zeszli na dół. Zwykle jest bardzo spokojnym i opanowanym człowiekiem, tym razem niespodziewanie podniósł głos. Wyłączyliśmy dyktafon i pobiegliśmy do niego, by sprawdzić, co się dzieje. Stał na środku pokoju, wciąż trzymając w dłoni pędzel. Ściana była pomalowana do połowy, a on wpatrywał się w ekran telewizora. Zobaczyliśmy słup dymu wydobywającego się z jednej z bliźniaczych wież Światowego Centrum Handlu w Nowym Jorku. Przerażeni tym, co wydawało nam się tragicznym wypadkiem, nagle ujrzeliśmy samolot wbijający się w sąsiednią wieżę, po czym nastąpiła ogromna eksplozja. Przepaść dzieląca dwie kultury, w których żyłam, stała się nagle kanionem o straszniej i niewyobrażalnej głębokości. Minęło wiele godzin, zanim ktoś w ogóle pomyślał o tym, jakie konsekwencje pociągnie za sobą to wydarzenie, jednak od razu oczywiste było, że wstrząśnie ono całym światem. Wciąż wpatrując się w ekran, usłyszeliśmy, że zaatakowany został także Pentagon i miałam wrażenie, że cały świat zwariował. Natychmiast pomyślałam o dzieciach, które były teraz w szkole, najprawdopodobniej nieświadome tego, co się stało. Jak to wydarzenie wpłynie na ich życie?

253

niewolnice. Odnalezienie córek zajęło ich matce około sześciu lat, a kolejne dwa lata trwały wysiłki, by Zana mogła wrócić do Wielkiej Brytanii. Słyszałam, że Nadia wciąż przebywa w Jemenie. Książka od pierwszych stron bardzo mnie wciągnęła, a podczas jej lektury kilkakrotnie płakałam, zresztą na całym świecie okazała się bestsellerem. Chciałam, żeby moja historia została opowiedziana właśnie w taki sposób.

Poszłam do biblioteki i od razu odnalazłam tę książkę. Na stronie redakcyjnej znalazłam informację o tym, że mężczyzna, który pomógł Zanie napisać książkę, nazywa się Andrew Croft. Uznałam, że właśnie ten człowiek powinien opisać moje przygody, ale nie wiedziałam, jak go odnaleźć. W końcu doszłam do wniosku, że skoro udawało mi się odszukiwać zaginione dzieci w krajach oddalonych o tysiące kilometrów od mojego domu, to powinnam znaleźć także i tego mężczyznę.

Odnalazłam listę wydawnictw, zadzwoniłam do pierwszego, które było mi znane, i zapytałam, jak mogłabym odszukać Andrew Crofta. Redaktor, który odebrał telefon, poprosił, żebym opisała pokrótce swoje przeżycia i po usłyszeniu mojej opowieści zaprosił na spotkanie z jego kolegami w redakcji. Podczas tej wizyty wszyscy sprawiali wrażenie bardzo zainteresowanych moimi przygodami i zasugerowali, żebym sama w zarysie spisała, o czym miałyby być moja książka, by mogli przedstawić ten konspekt w dziale sprzedaży i zastanowić się, czy zechcą ją wydać. Zachęcona ich entuzjastycznym przyjęciem próbowałam pisać, ale oczywiście nic z tego nie wychodziło. Jeśli nie jest się pisarzem, bardzo trudno przelać na papier swoje myśli, uczucia i opisać wydarzenia ze swego życia w taki sposób, aby czytanie o nich było interesujące. W redakcji zapoznano się z tym, co udało mi się napisać

252

i z przykrością odrzucono mój projekt. Musiałam wznowić poszukiwania Andrew.

Wtedy już byłam zdecydowana napisać książkę. Wróciłam do biblioteki, sprawdziłam nazwę wydawnictwa, które opublikowało książkę Sold i tam zwróciłam się z prośbą o kontakt z człowiekiem, którego poszukiwałam. Ku mojemu zdziwieniu podano mi jego numer telefonu i już za kilka minut rozmawiałam z nim, opowiadając swoje przygody.

Uznaliśmy, że trzeba się spotkać i odwiedził mnie w moim domu. Rozmawialiśmy w pokoju na piętrze, a Mahmud przy włączonym telewizorze malował pokój. Nagle usłyszałam, jak krzyczy, byśmy szybko zeszli na dół. Zwykle jest bardzo spokojnym i opanowanym człowiekiem, tym razem niespodziewanie podniósł głos. Wyłączyliśmy dyktafon i pobiegliśmy do niego, by sprawdzić, co się dzieje. Stał na środku pokoju, wciąż trzymając w dłoni pędzel. Ściana była pomalowana do połowy, a on wpatrywał się w ekran telewizora. Zobaczyliśmy słup dymu wydobywającego się z jednej z bliźniaczych wież Światowego Centrum Handlu w Nowym Jorku. Przerażeni tym, co wydawało nam się tragicznym wypadkiem, nagle ujrzeliśmy samolot wbijający się w sąsiednią wieżę, po czym nastąpiła ogromna eksplozja. Przepaść dzieląca dwie kultury, w których żyłam, stała się nagle kanionem o straszniej i niewyobrażalnej głębokości. Minęło wiele godzin, zanim ktoś w ogóle pomyślał o tym, jakie konsekwencje pociągnie za sobą to wydarzenie, jednak od razu oczywiste było, że wstrząśnie ono całym światem. Wciąż wpatrując się w ekran, usłyszeliśmy, że zaatakowany został także Pentagon i miałam wrażenie, że cały świat zwariował. Natychmiast pomyślałam o dzieciach, które były teraz w szkole, najprawdopodobniej nieświadome tego, co się stało. Jak to wydarzenie wpłynie na ich życie?

253

To, co działo się po 11 września 2001 roku, sprawiło, że napisanie tej książki uznałam za jeszcze ważniejsze niż przedtem. Chciałam dodać swój głos do apeli tych osób, które zabiegają o porozumienie między kulturami Zachodu a świata islamskiego. Jednym z problemów związanych z pisaniem książki była moja anonimowość. Nie chciałam wystawiać swojej rodziny na pogrożki, z którymi się spotkałam w Jordanii, nie mówiąc już o ludziach takich jak ci, którzy zorganizowali ataki w Ameryce. Nie chciałam tak bardzo ryzykować. Kiedy jednak po kilku miesiącach artykuły o Sarze i o mnie znalazły się w gazetach, moje nazwisko stało się znane wszystkim, którzy chcieli o mnie przeczytać. Ostatnia przeszkoda w napisaniu książki została usunięta, więc Andrew zabrał się do pracy.

Teraz nadszedł czas na decyzję, czym zajmę się w przyszłości. Chciałabym oczywiście w dalszym ciągu dbać o swoją rodzinę, najlepiej jak potrafię, ale prócz tego moim największym marzeniem jest otwarcie sierocińca w Iraku. Mogłyby tam znaleźć schronienie dzieci, które teraz proszą o kawałek chleba w meczetach. W miejscu, które chciałabym utworzyć, mogłyby w spokoju spędzić dzieciństwo. Zamierzam także zbierać fundusze dla matek, które pragną odwiedzić swoje dzieci przebywające za granicą. Możliwe, że nie będę mogła osobiście zwracać kobietom ich dzieci, ale nie oznacza to, że nie będę pomagać w zażegnaniu różnic kulturowych w mieszanych małżeństwach. Te różnice sprawiają bardzo dużo bólu wszystkim osobom, których ten problem dotyczy.

Kupując egzemplarz mojej książki pomagacie w pogłębianiu zrozumienia między różnymi kulturami i za to serdecznie Wam dziękuję.

Spis treści	
Wstęp .....	7
ROZDZIAŁ PIERWSZY	
Matczyna prośba .....	9
ROZDZIAŁ DRUGI	
jak zostałam muzułmanką.....	42
ROZDZIAŁ TRZECI!	
Scarlet Pimpernel.....	55
ROZDZIAŁ CZWARTY	
Moja pierwsza ucieczka .....	71
ROZDZIAŁ PIĄTY	
Zła dziewczyna .....	79
ROZDZIAŁ SZÓSTY	
Zostaję mamą .....	88
ROZDZIAŁ SIÓDMY	
Ucieczka z Iraku.....	114
ROZDZIAŁ ÓSMY	
O mały włos.....	142
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY	
Zdemaskowana .....	182
Epilog .....	251
ISIS	
Książkę wydrukowano na papierze Amber Graphic 70 g/m2	
®Amber	
<a href="http://www.arcucpaper.com">www.arcucpaper.com</a>	

MUZA SA  
00-590 Warszawa  
ul. Marszałkowska 8  
tel. (0-22) 629 65 24, 827 7731  
e-mail: [mro@muza.com.pl](mailto:mro@muza.com.pl)  
Dział zamówień: (0-22) 628 63 60, 629 32 01 Księgarnia internetowa:  
[www.muza.com.pl](http://www.muza.com.pl)  
Warszawa 2004 Wydanie I  
Skład i łamanie: Avanti, Warszawa Druk i oprawa: Abedik, Poznań  
X